

KA-TET 19/99

ARTZIN

SF | FANTASY |

HORROR | THRILLER |

WEIRD FICTION |

NR 1, 2023



Cześć! ;)

Na początku chciałem serdecznie podziękować wszystkim osobom, które przysłały opowiadania, wiersze, komiksy, rysunki i fotografie. Powiem szczerze, że miałem nadzieję wydać tego zina już dawno, dawno temu – niestety na drodze stanęły mi zmyślenia (przedwieczna Szkarlatyna, pradawne Zapalenie Ucha, które już wieki temu upatrzyły sobie moje dzieci, lecz czekały na odpowiedni moment by zaatakować), a także demon zwany Prokrastynacja, wysłannik Karmazynowego Króla, który to po (kolejnej?) przegranej bitwie, szukał sposobu, aby „wieża upadła”...

Jednakże walka z mroczną połówką nadal trwa, a pismo, które trzymacie w rękach, jest jednym z przykłałów radzenia sobie z nieustającym tańcem śmierci... ;)

Tak na poważnie – zina ten jest przede wszystkim dowodem na to, że niezależne media i sztuka mogą w dalszym ciągu funkcjonować, a jednym z celów prasy alternatywnej (muzycznej, artystycznej, okołopolitycznej itd.) jest próba zbudowania społeczności, która chce się dzielić swoją twórczością, niekoniecznie czerpiąc z tego powodu wielkie profity.

Chciałbym również, aby wydawanie zina było jedną z inicjatyw ZINELIBRARY.PL, czyli projektu, prowadzonego przeze mnie od ponad 12 lat.

Dzięki jeszcze raz i zapraszam do dalszej współpracy.

kef, ka i ka-tet

Mateusz Flont

Nad klawiaturą słychać trzask,
dym niczym mgła gęstnieje.
To stukotrachów słychać wrzask.
Czy wiesz już, co się dzieje?

Ten mroczny człek to jego wróg,
przemierza bezkres pola.
Pustyni chłód zetnie cię z nóg...
Bo duchów przysła pora.

Gdy słyszysz głos zza czarnych drzwi,
rewolwer wnet odbezpiecz!
Pies ślini się, klaun marszczy brwi.
Strach – to pyszna rzecz.

To Stephen King, suspensu mistrz,
od ręki tworzy przekaz.
Tysiące stron pochwyć cię.
No, dalej, na co czekasz?

Rozterki swe na później złóż,
w Jeruzalem czekają.
Na ciebie? Tak, od dawna już.
Klawisze wciąż stukają...

(A)NONIM

CYFROWE ARCHIWUM POLSKIEJ PRASY ALTERNATYWNEJ

ZINELIBRARY.PL

TWORZYSZ COŚ?  NAPISZ DO NAS!!!

OD PONAD DZIESIĘCIU LAT ARCHIWIZUJEMY I DIGITALIZUJEMY ZINY, ULOTKI, BROSZURY, PLAKATY I RÓŻNE CUDA GŁÓWNIEM Z LAT 80 I 90. CHOĆ NIE ZAPOMINAMY O PISMACH UKAZUJĄCYCH SIĘ WSPÓŁCZEŚNIE.

SPIS TREŚCI

Marzenia i koszmary, czyli królewskie recki	4
Wszystkie newskie zimy (Krzysztof Saczuk)	7
Słowawiersz (Edmund „Mundek” Krajewski)	15
Problem (Piotr Burzyński, Łukasz Kiper)	16
Obietnica Alana (Mateusz Flont)	20
Na końcu już tylko wrzask (Rafał „Canulas” Pietrzyk)	31
Dom o dwunastu twarzach (Piotr S. M. Browarski)	37
Powrót do domu (Piotr Rymarczyk)	43
Anomalie (Talal Fleischmann)	47
Wiersze (Jacek Łabędzki)	49
Ketha... z aparatu (Mateusz Flont)	50
Wrota piekielne (Hanzel Jarosław)	53
Morderca (Dominik i Ewelina Szewczyk)	58
Siwa woda (Szawi Kuźnicka)	61
Kiosk (Michał P. Lipka)	65
Ich bin gesund und fühle mich gut (Michał P. Lipka)	68
Zwierzęta (Edmund „Mundek” Krajewski)	77
Orzech (Kacper Szydłowski)	79
Jakoś to będzie (Mateusz „Wolfgang” Oszust)	83
Czy filmy o zombi mogą nas czegoś nauczyć? (Wojciech Kajtoch)	87
Info o autorach	96

NAKŁAD AUTORSKI WYNOŚI 19 EGZEMPLARZY

ARTZIN „KA-TET” JEST PISMEM NIEKOMERCYJNYM – SKOPIUJ I PODAJ DALEJ

TWÓJ EGZEMPLARZ: / (, 2023)

REDAKCJA:

Red-nacz.: Mateusz Flont (połamanie i poskładanie, a także umiejętność posługiwania się korektorem i komputerem)

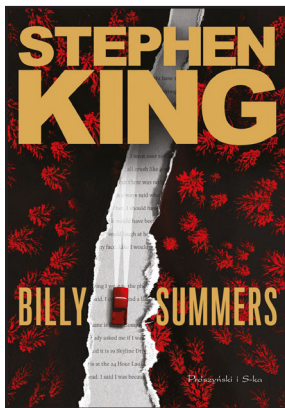
Numer współtworzą: osoby ze spisu treści oraz te, co przysłały fotki: H. Kalisiak (s. 46); K. Saczuk (s. 6, archiwum autora); M.P. Lipka i A. Przybylska (s. 48); M.F. (s. 1, 14, 20, 30, 31, 35, 36, 41, 42, 50-51, 52, 60, 68-69, 78, 81, 82).

Kontakt z redakcją: zinelibrarypolska@riseup.net

Redakcja pracuje przy stole w kuchni, w godz. 23-2.



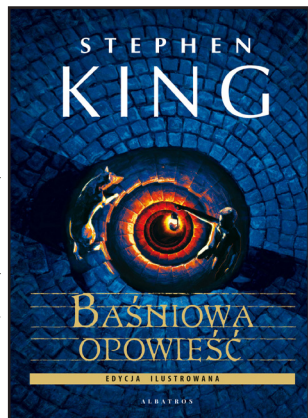
MARZENIA I KOSZMARY



OCENA: 5,5/6

Roboczy tytuł „The Assassin” budził we mnie znacznie więcej emocji, lecz swojski „Billy Summers” ostatecznie zwycięża. Tytułowy Billy jest płatnym zabójcą, byłym snajperem, planującym przed emeryturą „ostatnią akcję”. Chcąc się do niej przygotować, musi wtopić się w otoczenie małego amerykańskiego miasteczka (narracja w czasie teraźniejszym daje poczucie ciągłego napięcia). Czekanie na finalizację zlecenia się przeciąga, więc Billy zaczyna spisywać (w czasie przeszłym) wspomnienia z młodości (strumień świadomości niczym u Faulknera), by na koniec przejść do wojny w Iraku, w której brał udział. Kiedy akcja się rozpoczyna, plan nieco się zmienia. A to dopiero początek... King stworzył powieść sensacyjną, przywodzącą na myśl takich bohaterów serii literacko-filmowych jak Jack Reacher (Lee Childa) czy Jason Bourne (Roberta Ludluma). Odnajdziemy również nawiązania do „Leona zawodowca” Luca Bessona. Jest w tej książce również dużo tradycyjnego, gawędziarskiego Kinga. Książka, do której chętnie wrócę. (mf)

Ta książka miała naprawdę świetną promocję – niestety stałem się jej ofiarą. Pierwsze opisy treści „Baśniowej Opowieści” przywodziły na myśl „Pojętnego ucznia” oraz „Telefon Pana Harrigana” (motyw: młody chłopak opiekuje się starszym panem), a także „Talizman” czy rzecz jasna „Mroczną Wieżę” (motyw: podróży w innym świecie zmieni ciebie i wpłynie na losy świata; nota bene kłania się tu „Niekończąca się opowieść”). Bohaterem powieści jest Charlie Reade, nastolatek mieszkający z ojciem, niepotrafiącym poradzić sobie ze śmiercią żony i topiącym smutkiw alko. Charlie poznaje Howarda Bowditcha i jego pieska Radara. Ich relacja była poruszająca, a to, co czało się w szopie nieopodal domu, bardzo mnie zaintrygowało. Do około 200 strony pędziłem jak oszalały – to było wprost niesamowite, bo w zasadzie niewiele się przez te dziesiątki stron działo; wiadomo, że kto jak kto, ale King potrafi zahipnotyzować czytelnika. Problem pojawił się, gdy suspens sięgnął zenitu. Reklama „Baśniowej” twierdziła, że teraz to się zacznie... Eh, niestety świat, do którego trafił Charlie, okazał się niezwykle pusty – ale cóż, no taki był w oczach Kinga. Z drugiej strony właśnie w baśniach bohater musi przejść „pewną drogę”, żeby „spotkać kogoś”, kto „zaprowadzi go gdzieś” itd. Jak najbardziej rozumiem tę intertekstualną zabawę, a SK po 50 latach nieustannej pracy, po stworzeniu uni(czy też multi)wersum ma prawo się bawić. A my rzecz jasna bawimy się razem z nim. Nie podszedł mi niestety wątek „igrzysk śmierci” i motyw „wybrańca”, za to spodobał mi się wątek Cthulhu i nawiązanie do innych dzieł Lovecrafta. (mf)



OCENA: 4/6



FROM THE MIND
STEPHEN KING



Pierwszy raz z tą historią zapoznałem się, oglądając bodajże jeden z tzw. „Dollar Babies”, amatorskich filmów, za które SK nie bierze kasy itd. Było o.k. Później przeczytałem oryginał, czyli krótkie opowiadanie opublikowane w czasopiśmie „Cavalier” (1973), a następnie w zbiorze „Nocna Zmiana” (1978). I tyle... Jedno z wielu opowiadań Kinga. Pomysł wówczas oryginalny, dziś już wielokrotnie przetworzony przez popkulturę (a że ona się „królem horroru” inspiruje to już inna sprawa). Bohaterem tej historii w wersji tekstowej jest Lester Billings, facet „spowiadający” się psychiatrze z dziwnej sytuacji: jego dzieci nie żyją, to wszystko jego wina, a zabił tytułowy -->

Stephen King opisuje Lestera jako gościa, którego od razu nie lubimy – mówi, że dzieci trzeba trzymać krótko, a żonie miał ohot kiedyś przywalić. Odpowiedź nasuwa się sama - to pewnie Lester zabił dzieci, a teraz szuka możliwości złagodzenia wyroku. Jednaż zakończenie daje nam suspens a'la King - otóż „potwór z szafy” jednak istnieje. Buuu! A co robi film? Billings co prawda przychodzi do doktora Harpera, który staje się głównym bohaterem i ,wraz ze swoimi dziećmi, musi stawić czoła potworowi. Co następnie otrzymujemy? Jump scare'y, ciemność, drugo- i trzecioplanowe postaci „z kartonu”. Przyznaje, kilka razy dałem się podczas tego seansu nastraszyć, ale nic poza tym z filmu nic nie wyniosłem. A szkoda. (mf)

OCENA: 3+/6

MUSIC BY PATRICK JONSSON PRODUCED BY SHAWN LEVY DAN LEVINE DAN COHEN BASED UPON THE SHORT STORY BY STEPHEN KING
SCREEN BY SCOTT BECK & BRYAN WOODS SCREENPLAY BY SCOTT BECK & BRYAN WOODS AND MARK HEYMAN
DIRECTED BY ROB SAVAGE

PG-13
PARENTS STRONGLY CAUTIONED
SOME MATERIAL MAY BE INAPPROPRIATE FOR CHILDREN UNDER 13

ONLY IN THEATERS

JUNE 2

PS Do tych, co oglądali.

Czy Boogeyman (w sumie to Demogorgon?) nie pożywał się jak pewna miła staruszka kochająca książki?



W S Z Y S T K I E N E W S K I E Z I M Y

Jeżeli jesteś wrażliwy na piękno architektury, z pewnością powinieneś odwiedzić Sankt Petersburg. Jeśli interesuje cię wielka historia, tym bardziej. Stare mury wciąż noszą ślady przełomowych wydarzeń, które jakby upodobały sobie to miasto.

Jeśli chcesz znaleźć mroczną „dostojewszczyznę” również nie będziesz zawiedziony. W ciemnych podwórkach starych kamienic, połączonych ze sobą siecią przejść i korytarzy, jakimś sposobem nie zdołała zadomowić się krzykliwa nowoczesność. Między murami straszącymi ubytkami cegieł zawiśła atmosfera dawno już minionego czasu. Wyczujesz ją zwłaszcza zimowymi wieczorami, kiedy zamierające powoli odgłosy miasta tłumi świeży śnieg.

W tej osobliwej ciszy instynktownie wzmagają się czujność i bezwiednie zaczynasz czegoś nasłuchiwać. A kiedy nagle dojdzie cię dźwięk samochodowego silnika, jesteś szczerze zdumiony. Podświadomie bowiem oczekiwałeś usłyszeć stukot końskich kopyt na ulicznym bruku.

Odkąd przyjechałem do miasta nad Nową, miałem w zwyczaju spacerować całymi godzinami. W tych samotnych wędrówkach towarzyszył mi jedynie wytarty, skórzany płaszcz i termos z herbatą. Mogłem sobie pozwolić na takie eskapady zwłaszcza teraz, na ostatnim roku studiów wschodoznawczych.

Na horyzoncie majaczył kolejny etap obranej drogi, która kilka lat temu wyprowadziła mnie z małej miejscowości we wschodniej Polsce. W stolicy jednej z byłych republik radzieckich oczekiwało już obiecane stanowisko asystenta attaché w konsulacie. Teraz, mając wyjazd w bliskiej perspektywie, starałem się możliwie dużo spacerować i chłonąć atmosferę miasta, które wkrótce planowałem opuścić.

W jeden z cichych, zimowych wieczorów, trafiłem na zaułek Solny, małą uliczkę niedaleko miejsca, gdzie z Newy wypływa rzeka Fontanka. Tuż obok cerkwi św. Pantaleona

zwrócił moją uwagę budynek nowszy i znacznie bardziej okazały. Był to gmach muzeum należącego do uczelni artystycznej imienia barona Sztiglica. Niestety muzeum było już zamknięte, więc tym razem musiałem zadowolnić się oględzinami jego bogato zdobionej fasady.

Zatrzymałem się po przeciwległej stronie ulicy, aby móc objąć wzrokiem bryłę budynku. Gmach nosił wyraźne cechy charakterystycznego dla końca XIX wieku historyzmu. Na fryzie umieszczono medaliony z podobiznami wielkich twórców dawnych wieków, a w centralnej części fasady relief przedstawiający artystę w otoczeniu muz.

Powiodłem wzrokiem niżej, moją uwagę przyciągnęły dwie bogato zdobione latarnie. Na czterech rogach każdej z nich przysiadły tajemnicze, posągowe postacie. Jedna z nich była owinięta jakąś tkaniną, co od razu zwróciło moją uwagę. Zaintrygowany podszedłem bliżej.

Postacie okazały się chłopcami z atrybutami artystycznych rzemieślników w dłoniach. Szczególnie! U ich stóp leżało kilka cukierków, a szyję jednego z nich oplatał szalik. Rzeźby różniły się od barokowych putti, mających zazwyczaj nieco karykaturalne kształty. Podziwiając staranność wykonania szczegółów i realizm proporcji, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że patrzę nie na rzeźby, ale na prawdziwych chłopców pograżonych w twórczej pracy. Zachodziłem w głowę, kto mógł podarować małym artystom prezenty i w jakim celu?

Z zamyślenia wyrwał mnie czyjś głos.

– Młody człowieku, widzę, że zainteresowali was nasi chłopcy.

Dozorca od pewnego czasu musiał mnie obserwować. Był to wysoki, około sześćdziesięcioletni mężczyzna o twarzy okolonej krótką, starannie przystrzyżoną brodą. Na głowie nosił starą białą cienką, na nosie opierały się okulary w brązowej oprawie. Ubrany w płaszcz i przewiązany z wierzchu białym

fartuchem wyglądał jak relikw z kart podręcznika historii.

Wyjaśniłem, że zaintrygował mnie szalik na szyi jednego chłopców i cukierki, które pojawiły się tu zapewne w jakimś określonym celu.

– Faktycznie, młody człowieku, słuszna hipoteza. A jak sądzicie, w jakim? – zapytał z uśmiechem.

Jego ton sprawił, że poczułem się jak na egzaminie z antropologii, ale nie zbiło mnie to z tropu; w tej dziedzinie czułem się swobodnie. Odpowiedziałem, że słodczyce przywodzą mi na myśl dary wotywnie. Przyjmują one różne formy w zależności od tego, komu są ofiarowane. Niektórym duchom podobają się dym z cygar i alkohol. Innym: mleko, ziarno czy miód. A dla malców odpowiednie wydają się cukierki.

– Doskonale! Tak, macie rację. Studenci uczelni Sztiglica zostawiają chłopcom prezenty, prosząc o pomoc w egzaminach. Podobno to skuteczne.

– Bardzo sympatyczna miejska legenda, na pewno ją zapamiętam.

– Legenda? Cóż... Widzicie, w niektórych legendach jest ziarno prawdy. W innych, ziarno fantazji. Ale żadna nie powstaje ot tak, bez powodu.

Przyjrzałem mu się uważnie. Pomyślałem, że zapewne mam przed sobą człowieka, który podziela moje zainteresowania. Od kiedy przyjechałem do Petersburga, zafascynowałem się jego historią i folklorem, chłonałem wszystko, co mogłem znaleźć na ten temat. Przytaknąłem dozorczy i pociągnąłem rozpoczęty wątek w kierunku prób wyrugowania wiary w przesady na rzecz marksistowskiego materializmu. Zauważyłem, że po rozpadzie Związku Radzieckiego myślenie magiczne jednak powróciło, a z ukrycia wyszły ruchy religijne i wierzenia, które władza starała się wykorzenić.

Wśród miejskich legend Petersburga i innych miast Rosji pojawiają się takie, w których to partyjni działacze nagle zostają skonfrontowani z niewyjaśnionymi wydarzeniami. Jakby ta Druga Strona rzeczywistości upominała się o tych, którzy ją negują. Przytoczyłem kilka przykładów miejscowych legend

na poparcie swoich słów. Dozorca oparty o miotłę uśmiechał się i kiwał głową ze zrozumieniem.

– Widzicie, młody człowieku, te historie występują, jakby to ująć, na kilku poziomach. Przyjmijmy na tę chwilę trzy poziomy dla porządku. Przytoczone przez was, wszystkie co do jednej, to poziomy pierwszy. Nie wszyscy je znają, ale zainteresowany znajdzie je bez trudu w niektórych popularnych wydawnictwach. Te historie z reguły nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, świadczą raczej o naszym myśleniu życzeniowym. Nie należy ich wszakże ignorować; niosą ze sobą dużą wartość poznawczą o nas samych, naszych przekonaniach i tęsknotach. Poziom drugi, to niewyjaśnione historie, które przekazywane są zazwyczaj w formie ustnej, najbardziej zaufanym osobom. Raczej niechętnie zapisywane, przeczycanie ich mogłoby grozić społeczną infamią, nawet represjami, kto wie... Czasem tylko można je znaleźć na łamach osobistych dzienników i pamiętników. Trzeci poziom to przypadki, którymi zajmują się podobno tajne służby. Wydarzenia mistycznej natury, ważne z punktu widzenia państwa, obronności, najwyższych szczebli polityki. Ale to oczywiście sprawy, w które lepiej się nie mieszać...

Powrócił do przerwanej pracy. Odgłos zamiatania granitowych płyt trotuaru przywołał mnie do rzeczywistości.

– Macie dużą wiedzę na ten temat. Czy to wasze amatorskie zainteresowania? Bez urazy, ale nie wydają się powiązane z waszą profesją.

– Nie do końca macie rację. Dozorca musi widzieć i wiedzieć wszystko, co dzieje się w jego obiekcie i okolicy. To równie ważne, jak utrzymywanie porządku. A dozorca w takim specyficznym mieście... Ale wróćmy do naszych chłopców. Mielście rację w sprawie cukierków, jednak historia szalika ma zupełnie inne źródło. Widzę, że interesuje was ten temat. Spotkajmy się tutaj jutro o dziesiątej wieczorem, jeśli jesteście ciekawi pewnej historii z „poziomu drugiego”. Swoją drogą, nazywam się Wiaczesław Wasilicz.

– Jerzy – przedstawiłem się i uściśliłem sobie dłonie.

– A teraz wybaczcie, muszę zrobić obchód. Życzę spokojnego wieczoru. – Zniknął za

ciężkimi, muzealnymi wrotami, a ja zostałem na ulicy wpatrując się w wyobrażone na nich lwie paszcze.

Nie pamiętam dokładnie drogi do domu. Zatopiony w myślach prawie spowodowałem wypadek na Newskim проспекcie i dopiero wściekłe krzyki kierowcy zdołały mnie otrzeźwić. Nocą prawie nie zmrużyłem oka. Następnego ranka na uczelni przywitały mnie śmiechy i żartobliwe aluzje kolegów. Na zajęciach byłem rozkojarzony i nie mogłem się skupić. W końcu opuściłem fakultet, wymawiając się złym samopoczuciem

Postanowiłem nie wracać do domu, udałem się do katolickiej bazyliki św. Katarzyny, gdzie spędziłem pewien czas na modlitwie i rozmyślaniach. Następne kilka godzin spacerowałem bez celu. Najwyraźniej mam słabe nerwy i łatwo ulegam sugestiom. A może po prostu pod wpływem wczorajszej rozmowy zacząłem dostrzegać coś więcej w miejskim krajobrazie? Miałem wrażenie, że wody Newy są mroczniejsze niż zwykle. Wyniosłe pałace na nabrzeżach zdawały się kryć niebezpieczne sekrety, a okna kamienic zionęły smutkiem i rozpaczą.

Zjawiłem się przed muzealną bramą kwadrans przed wyznaczoną godziną. Wiaczesław nie zawiódł. Powitał mnie przyjaźnie i gestem zaprosił do budynku, który po chwili jednak opuściliśmy bocznym wyjściem. Znaleźliśmy się na podwórku. Parterowy budynek mieszczący służbowe mieszkanie dozorczy i stróżówkę, stał przytulony do ściany kotłowni. Podwórko pomiędzy gmachem muzeum a położoną po sąsiedzku uczelnią było wyłożone kostką brukową i pieczołowicie odśnieżone. Znak, że Wiaczesław Wasilicz traktował poważnie swoje obowiązki. Z podwórka na ulicę prowadziła brama z masywną kratą zaryglowaną od wewnątrz skoblem.

Zatrzymaliśmy się na chwilę. Dozorca sięgnął po pojemnik ze smarem, wylał kilka kropel na mechanizm, poruszył nim kilkakrotnie i uśmiechnął się zadowolony z efektu.

– Wystarczy pracy na dzisiaj. Zapraszam na herbatę.

Ruszył przez podwórko pewnym krokiem gospodarza, a ja posłusznie podążyłem za nim.

Znaleźliśmy się w niewielkiej stróżówce. Pod oknem wychodzącym na podwórkę stało biurko z lampą, a pod ścianą naprzeciwko kanapa przykryta narzutą. Stół i fotel zajmowały centralną część pomieszczenia. Całą boczną ścianę zasłaniał regał z książkami i różnymi ozdobami z poprzedniej epoki. Każdy mebel pochodził z innego kompletu i pamiętał inne czasy.

Na biurku leżała gruba księga służb oraz przybornik z materiałami do pisania.

– Proszę się rozgościć, wrócę za kilka minut. – Gospodarz zniknął w korytarzu.

Podszedłem do regału, aby przyjrzeć się książkom. Większość traktowała o historii Petersburga, poszczególnych dzielnic, zabytków i muzeów. Na jednej z półek zwróciło moją uwagę stare zdjęcie przyklejone na kartonik z nazwą fotograficznego atelier. Wziąłem je do ręki. Fotografia przedstawiała młodego mężczyznę siedzącego na rzeźbionym krześle. Jego prosty garnitur wydawał się o co najmniej dwa rozmiary za duży. Nosił drobny wąsik i patrzył w obiektyw głęboko osadzonymi oczami.

Po chwili wrócił mój gospodarz z dzbankiem herbaty.

– To mój poprzednik – wskazał na fotografię kiwnięciem głowy. – Z pochodzenia Polak, Karol Nikołajewicz Wierzbickij. Zajął stanowisko jeszcze w czasie blokady Leningradu, w grudniu czterdziestego drugiego roku – powiedział Wiaczesław, rozlewając napar do szklanek. – Zobaczcie, jak wygląda, skóra i kości. Poprzedni dozorca umarł kilka dni wcześniej. Wyszedł po wodę do przerebła na Fontance, ale nie dociągnął już swoich sanek z powrotem. Po prostu umarł z wyczerpania. Historia, jakich tysiące... Kilka dni później zastąpił go Karol Nikołajewicz. Dobrze pracował. Harmonogram każdego dnia, każdy obchód i każdą naprawę skrupulatnie zapisywał w księdze służb. – Dozorca wskazał cukiernicę, pokręciłem głowę. Wsympał do swojej szklanki trzy łyżeczki cukru i kontynuował. – Nikołajewicz umarł nagle, to był atak serca. Musiał zastać go tutaj, w stróżówce. Był oczywiście sam. Nie zdołał dojść do bramy, znaleziono go na podwórku następnego ranka.

Odstawiłem zdjęcie na półkę. Zająłem wskazane przez gospodarza miejsce na kanapie i spróbowałem herbaty. Była bardzo mocna.

– A wy, Wiaczesławie Wasiliczu, dawno na posterunku? – zapytałem, tłumiąc ziewnięcie.

– Ja objąłem służbę kilka dni później – odpowiedział spoglądając na fotografię na półce. – Przejąłem posterunek poprzednika wraz ze wszystkim, co po sobie zostawił. Przeczytałem zapisy z wszystkich lat jego służby, czasu miałem aż nadto. Komplet roczników mam w szafie na zapleczu. Ale widzicie, to nie wszystko. Nikołajewicz prowadził jeszcze dziennik, w którym zapisywał swoje przemyślenia i obserwacje. Trafiło tam wszystko, czego nie chciał w oficjalnych zapisach. Zapewniam was, że to fascynująca lektura. Znacznie bardziej niż te suche, służbowe księgi. W najbliższej okolicy na przestrzeni lat miało miejsce wiele dziwnych wydarzeń, a Nikołajewicz żywo się nimi interesował. Wszystko jest tutaj, w rocznikach służby i dzienniku mojego poprzednika. Jeśli oczywiście wciąż jesteście zainteresowani?

Nie musiał pytać, przytaknąłem z entuzjazmem.

– Przygotowałem je wczoraj i zaznaczyłem odpowiednie fragmenty.

Podszedł do biurka, wyciągnął z szuflady dwie grube księgi i położył przede mną na stole. Był to rocznik służby z roku 1942 oznaczony datą i jedna o wiele grubsza księga bez widocznych oznaczeń. Z obu wystawały zakładki. Sięgnąłem po grubszy wolumin. Nim zdążyłem go dotknąć, dłoń dozorca spoczęła na okładce uniemożliwiając otwarcie. Zdziwiony podniosłem wzrok.

– Mam do was tylko jedną prośbę, Jerzy – powiedział patrząc mi w oczy. – Czytajcie zaznaczone fragmenty. Tylko zaznaczone. Wczoraj obiecałem opowiedzieć o historii szalika i słowa dotrzymam. Ale nic ponad to. Zgoda?

– Zgoda – odpowiedziałem lekko zmieszany.

– Dobrze. – Dozorca cofnął dłoń. – Ale zaczynajcie od rocznika z czterdziestego drugiego roku, fragmenty od trzynastego grudnia.

Otworzyłem księgę na wskazanej dacie.

13.12.1942

Nazywam się Karol Nikołajewicz Wierzbickij. Dzisiejszego ranka przejąłem obowiązki dozorczy. Bez uwag.

12.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

15.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

18.00 – Obchód obiektu. Jeden z elementów latarni owinięty kawałkiem materiału. Przywróciłem porządek.

22.30 – Obchód obiektu. Bez uwag.

14.12.1942

9.00 – Obchód obiektu. Jeden z elementów latarni ponownie owinięty kawałkiem materiału. Przywróciłem porządek.

10.00 – Odsnieżanie chodnika, konserwacja narzędzi.

12.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

15.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

18.00 – Obchód obiektu. Jedna z rzeźb na latarni znów owinięta szmatą. Szmatę usunąłem.

22.30 – Obchód obiektu. Bez uwag.

15.12.1942

9.00 – Obchód obiektu. Szmata na latarni. Usunięta.

10.00 – Odsnieżanie chodnika.

12.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

15.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

16.00 – Odsnieżanie podwórka. Naprawa wózka.

17.50 – Interwencja milicji przy głównej bramie (posterunkowy A.S. Myszkim, 1 posterunek, Litijsny rejon).

22.30 – Obchód obiektu. Bez uwag.

16.12.1942

9.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

10.00 – Odsnieżanie chodnika.

12.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

15.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

18.00 – Obchód obiektu. Bez uwag.

22.30 – Obchód obiektu. Bez uwag.

– Wygląda na to, że nowy dozorca stał się celem jakiegoś żartownisia – powiedziałem

po krótkim namyśle, podnosząc wzrok na gospodarza. – Dopiero interwencja milicji rozwiązała problem.

– Tak może się wydawać. Co więcej, w kolejnych dniach problem owych „szmat” przestał występować, służbowe zapisy nie wspominają o nich więcej. Ale to nie tak...

Wiaczesław utworzył największą księgę.

– Teraz porównajcie z zapisami od czter-nastego do szesnastego grudnia w osobistym dzienniku Karola Nikolajewicza.

Ułożyłem opasły tom przed sobą, odnalazłem pierwszy fragment i zagłębiłem się w lekturze.

14.12.1942

Ledwie wczoraj przejąłem nowe stanowisko pracy, a już zaczęły się problemy... Dziś wieczorem po raz trzeci musiałem zdejmować z muzealnej latarni jakieś szmaty! Nie mam wątpliwości, że ktoś wieszka je tam celowo. Ale po co? Dla żartu? A może chce mnie zdyskredytować? Utrzymywanie porządku w budynku i jego otoczeniu to jeden z moich obowiązków. Jeśli ktoś będzie kręcił się pod obiektem i rozrzuczał śmieci, długo nie zagrzeję tu miejsca... Doprawdy podejrzane. Materiał zawsze jest starannie zawinięty wokół szyi tego samego chłopca, który trzyma w rękach glinianą figurkę. Dziś wieczorem na jego głowie była w dodatku czapka, a osobliwy szalik zawieszano w elegancki węzeł! Jutro skupię się bardziej na obserwacji ulicy.

15.12.1942

Podczas porannego obchodu zorientowałem się, że chuligan znów tu był. Szybko przywróciłem latarni godny wygląd. Postanowiłem spędzić dzisiaj możliwie dużo czasu na ulicy, pomiędzy zwyczajowymi obowiązkami. Najpewniej udaremnię w ten sposób kolejny „zamach” na latarnię. Być może któryś z przechodniów wzbudzi moje podejrzenia... Cały dzień trzymałem otwartą bramę na podwórko i wykonywałem niewielkie prace naprawcze tuż przy wyjściu. Od czasu do czasu robiłem przerwę, żeby zapalić i wyjrzeć na ulicę. (...)

To było wczesnym wieczorem. W pewnym momencie zauważyłem pod latarnią jakąś podejrzaną postać. Obserwowałem ją przez chwilę. Gdy podniosła rękę ku rzeźbie, bez zwłoki podjąłem interwencję z całej siły dmuchając w służbowy

gwizdek. Postać odwróciła się. To była kobieta. Ubrana, a właściwie owinięta w tachmany. Kilka warstw podartych sukni i spódnic, na głowie różnokolorowe chusty spod których wystawały pasma włosów. Płaszcz przewiązany sznurem miał w kilku miejscach naszyte łaty. Właśnie owijała szyję chłopczyka niebieską tkaniną. Zobaczywszy, że się do niej zbliżam, bynajmniej nie zamierzała przestać. Odwróciła się i kontynuowała! Gdy krótką chwilę potem znalazłem się bliżej, usłyszałem jej głos. Mówiła do rzeźby.

– Już dobrze, Antoszka, zaraz będzie ci ciepło... Mamusia przyniosła ci szalik. Już, już...

Zdumienie odebrało mi mowę! Stałem i patrzyłem na groteskowe przedstawienie, gdy nagle kobieta odwróciła się w moją stronę i zaczęła histerycznie krzyżeć.

– Ty hieno! Kanalio! Jak ci nie wstyd?! Kradniesz ubranka Antoszki, myślisz, że nie wiem?! Co z ciebie za człowiek?! Szła powoli w moją stronę, mimowolnie zacząłem się cofać.

– Jemu jest zimno, nie rozumiesz?! Zimno!! Co z ludźmi robi ta przekłęta blokada! Tracicie resztki godności! Jak można okraść dziecko?! Jesteś zwykłą hieną! Hieną!

Po chwili nie miałem już dokąd się wycofać, za plecami poczułem ścianę. Kobieta krzychała na całą ulicę, oskarżycielskim gestem wbijając mi palec w pierś. W oknach domu naprzeciwko pojawili się gapie, co za wstyd... Z niezręcznej sytuacji wybawił mnie milicjant, który przybiegł najwyraźniej zaalarmowany krzykami.

– Marfa Piotrowna, co się tu dzieje?! W tej chwili zostawcie tego człowieka w spokoju!

Kobieta przestała dźgać mnie palcem. Błagalnym głosem zaczęła tłumaczyć funkcjonariuszowi, że jestem złodziejem. Milicjant najwyraźniej od razu rozeznał się w sytuacji. Bezceremonialnie przerwał ten chaotyczny bełkot i obiecał, że zajmie się sprawą. Stanowczo nakazał jej iść do domu, po czym zapewnił, że... nie pozwoli nikomu skrzywdzić Antoszki. Byłem całkiem zbity z tropu! Ale obietnica podziałała. Kobieta w tachmanach uspokoiła się w końcu. Poglaskała rzeźbę, pocałowała w policzek i odeszła rzucając mi ostatnie, groźne spojrzenie.

Ciężko wypuściłem powietrze i podziękowałem za wybawienie z niezręcznej sytuacji. Posterunkowy miał poważną minę. Zapytał, czy możemy gdzieś spokojnie porozmawiać, więc

zaprosiłem go do stróżówki. Tak poznałem historię Marfy Piotrowny.

Kobieta całe życie mieszkała po sąsiedzku, ulicę dalej. Dużo przeżyła. Zbyt dużo. Jej rodzice umarli pierwszej zimy w blokadzie. Własnoręcznie ciągnęła ciała na sankach do kostnicy w Spaskim soborze. W marcu zbombardowali fabrykę, w której pracował jej mąż. Nie zdążył uciec do schronu. Już go nie zobaczyła; ofiary od razu wywieźli do pieców cegielni na Moskiewskiej. Marfa Piotrowna została sama z czteroletnim synem.

– Małeńki Antoszka, tylko on jej został. To... był piękny chłopiec – milicjant zawiesił głos.

– Rozumiem. Biedna kobieta...

– Nie rozumiecie. Mały przepadł. Były podejrzenia... Znaleźliśmy go szybko, w piwnicy u sąsiadów. Oni... Wyprowadziliśmy ich na podwórze i zastrzeliliśmy. Całą czwórkę. Bez sądu, jak psy.

16.12.1942

Muszę przyznać, że wczorajsze zdarzenie na ulicy i rozmowa z funkcjonariuszem milicji wstrząsnęły mną. Tak, ludzie w Leningradzie umierają tysiącami każdego dnia, z zimna, od głodu, chorób i bomb. Tracą dobytek, rodziny, zdrowie, życie. Czasem nadzieję, czasem człowieczeństwo. Ale dźwigać taki ciężar, jak ta nieszczęsna kobieta... Nie mogłem spać tej nocy. Wstałem wcześniej niż zwykle i wyszedłem na ulicę. Marfa Piotrowna stała pod latarnią. Nie wiedziałem jak zareaguje, ale podszedłem bliżej. Głaskała Antoszkę po policzku i opowiadała mi bajkę o dziadku, babci i kurze. Na szyi malca był szalik. Nawet nie myślałem, żeby go zdejmować. Już nie. (...)

29.12.1942

(...) Opowiada Antoszcze jak wspaniale będą obchodzić kolejny Nowy Rok. Z najprawdziwszą choinką, udekorowaną mnóstwem kolorowych zabawek i cukierków. Sanki w całym mieście, jak dawniej będą wozić roześmiane dzieci. Nie trupy.

31.12.1942

(...) Dochodzi północ, składam Marfie Piotrownie noworoczne życzenia.

– Szczęśliwego Nowego Roku – odpowiedziała. Po raz pierwszy spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się lekko. Kiedyś musiała być bardzo ładna. Kiedyś? Dobry Boże...

07.01.1943

(...)

Kupię synkowi walonki,
całkiem nowe walonki,
będzie biegał po drózkach,
w nowych walonkach na nóżkach.

(...)

Podniosłem oczy znad książki i spojrzałem w przestrzeń. Za oknem drobne płatki śniegu opadały powoli na bruk podwórka.

– Od piętnastego grudnia, kobieta stale pojawia się na kartach dziennika Karola Nikołajewicza – powiedział cicho Wiaczesław. – Jest pod latarnią nawet dwa razy dziennie. Czasem na chwilę, czasem na dłużej. Przynosi zabawki, opowiada bajki. Wieczorami śpiewa kołysanki i całuje chłopca na dobranoc. Początkowo Karol Nikołajewicz nie chce przeszkadzać Marfie w tych... spotkaniach. Później nabiera śmiałości i udaje mu się zamienić z nią kilka słów. Czasem przynosi jej kubek wrzątku, jeżeli akurat uda mu się zdobyć opał. Mam nawet wrażenie, że między wierszami dziennika można odczytać rodzące się ciepłe uczucia do kobiety. Kto wie, jak potoczyłaby się dalej ta historia, gdyby nie skończyła się tak nagle.

Widząc mój zdziwiony wyraz twarzy, przerzucił kilkanaście stron dziennika i zatrzymał się na ostatniej zakładce.

23.01.1943

Najbardziej mroźny dzień tej zimy. Temperatura spadła do ponad trzydziestu stopni poniżej zera. Rano ledwo ublażałem Marfę, żeby nie zatrzymywała się długo u Antoszki. Sam również staram się nie wychodzić na ulicę. Noc będzie ciężka (...)

24.01.1943

Nie usłuchała! Ostrzegałem, prosiłem... Ale to, co stało się zaraz potem... Nie wiem, nie potrafię tego wytłumaczyć.

Obudziłem się nagle, jakby za sprawą zewnętrzznego nakazu. Była piąta rano. W jakiś sposób od razu wiedziałem... Wyglądała jak bezkształtny kłęb szmat, który przrósł do podstawy latarni. Chłopca prawie nie było widać, Marfa szczerze owinęła go własnymi ubraniami. Zdjęła

je, żeby przykryć to odlane z metalu nagie ciało. Przywarła do niego, obejmowała bosc stópki. Na jej twarzy zastygł ten sam wyraz, który widziałem tyle razy, kiedy opowiadała bajki, gładziła włosy. Bezbrzeżna miłość. Jeśli istnieje, wierzę, że właśnie tak wygląda. W tym momencie podjąłem decyzję. Póki będę na posterunku, każdej zimy... Każdej przekletej zimy, na szyi Antoszki będzie szalik. Na pamiątkę wszystkich kobiet Leningradu i ich dzieci. Na pamiątkę miłości i szaleństwa, które legły u samych podstaw tego miasta. Petersburga, Piotrogradu, Leningradu. Miłości i szaleństwa, z których wyrosło i bez których istnieć już nie może.

Alc czy to za sprawą niewysłowionej miłości nieszczęsnej kobiety zaszło to, czego świadkiem byłem chwilę potem? Czy zrzucić to na karb szaleństwa? Byłem w stanie silnego wzburzenia, ale nie, nie mogę się mylić. Kiedy zabrali ciało Marfy Piotrowny i zacząłem zdejmować z rzeźby kolejne warstwy, w pewnym momencie dotknąłem małej rączki. Była... ciepła. Przeżyłem wstrząs. Czy mi się wydawało? Jeszcze raz. Tak. Druga tak samo... Nóżka. Druga. Dotknąłem dłonią policzka... Czy to możliwe, aby uczucie tak silne, mogło... Przyłożyłem dłoń do małej piersi. Dobry Boże! Jak podcięty osunąłem się na śnieg. W piersi... W rozgrzanej piersi Antoszki biło serce.

Dozorca zamknął dziennik i pospiesznie odłożył go na biurko, poza mój zasięg.

– Co o tym sądzicie, Jerzy? – spytał, przyglądając mi się uważnie. Byłem szczerze poruszony. Chwilę trwało, zanim zdołałem zebrać myśli.

– Proszę nie zrozumieć mnie źle, Wiaczesławie Wasiliczu – powiedziałem, ostrożnie dobierając słowa. – Dziękuję za zaufanie i poświęcony czas. I za podzielenie się tą niesamowitą historią.

Wiaczesław pokręcił głową, a jego usta wykrzywił ponury uśmiech. – Nie wierzycie...

– Mam wątpliwości. Blokada, głód i stres utrzymujące się przez wiele miesięcy... W końcu nagła śmierć znajomej osoby...

– Miłość jest wielką siłą, Jerzy. Pracoczątkiem. Dostatecznie silna jest zdolna tchnąć życie nawet w kamień czy metal. Energia może łączyć się z materią!

– Ludzie żyjący ze schizofrenikami też potwierdzają, że szaleństwo bywa zaraźliwe. Dodatkowo skrajne warunki...

– Chcecie się przekonać?

– Słucham?

– Myślicie, że wiem ten szalik dla ozdoby? Ciało chłopca jest ciepłe, a serce bije, jak każdej zimy. Chcecie sprawdzić? Moją odpowiedź zagłuszyło przeraźliwe wycie syreny.

– To w muzeum! – Dozorca zerwał się z fotela. – Zaczekajcie... Zaczekajcie tutaj!

Rzucił się do drzwi i wypadł na podwórkę. Obserwowałem przez okno, jak biegnie w stronę służbowego wejścia. W ostatniej chwili zatrzymał i spojrzał w moją stronę, jakby wahał się przez moment. Sekundę później zniknął za drzwiami.

Długo starałem się zrozumieć, dlaczego Wiaczesław Wasilicz podzielił się ze mną tą historią. Może to kwestia tłumionej wiele lat potrzeby zrozumienia? Wpuścił mnie do domu, rozbudził ciekawość tajemnicami dziennika i historią rodaka... Próbowałem sobie wmówić, że poniekąd sam jest winien, temu, co zaszło chwilę potem.

Resztę wydarzeń tego wieczoru zapamiętałem jak urwane klatki z filmowej taśmy. Dziennik. Plecak. Kurtka. Bruk podwórka, w tle świdrujący dźwięk syreny. Naoliwiony skobel u bramy z łatwością przesuwa się w zamku, wypadam na ulicę. Wrota muzeum otwierają się, przebiegam obok. Gwizdek dozorczy idzie w konkury z syreną. Kątem oka widzę latarnię. Kobieta w łachmanach podnosi rękę i wskazuje mnie palcem. Głowa chłopca powoli odwraca się w moim kierunku...

Noga uderza w jakąś przeszkodę, upadam. W tym momencie dozorca rusza w pościg. Rozpaczliwie podrywam się z chodnika i biegnę dalej. Słyszę jego krzyki. Potem prośby. Odgłosy pogoni oddalają się, jestem znacznie szybszy. Za plecami słyszę pisk opon, dźwięk pękającej szyby i uderzenia, którego nie można pomylić z niczym innym... Starszy mężczyzna leży na ulicy, jego czapka wala się na chodniku kilka metrów dalej. Nie chcę wiedzieć, biegnę dalej przez ciemne, klaustrofobiczne podwórkę. Na przemian znajduję przejścia i gubię się w labiryncie korytarzy...

...budzę się, z trudnością otwieram sklezione powieki. Leżę na kanapie w ubraniu, poznaję swoje mieszkanie. Czuję chyba wszystkie mięśnie, biodro promieniujące bólem. Próbuje przełknąć ślinę i zanoszę się suchym kaszlem. Zegar na ścianie wybija godzinę, odwracam się na drugi bok, żeby spojrzeć. Już prawie wieczór, spałem kilkanaście godzin. Wzrok pada na kurtkę i plecak rzucone pod ścianą. Plecak! Czuję bolesne uderzenie pulsu w skroniach. Zmuszam się, żeby wstać. Drżącymi rękami odpinam klamry i zaglądam do środka...

Dziennik był tam. W ciągu kilka następujących dni, walcząc na przemian z poczuciem winy, ciekawością i wstydem, poznałem całą jego zawartość. Wiaczesław Wasilicz nie kłamał. Jeżeli chociaż część wydarzeń, o których przeczytałem, faktycznie miało miejsce... Ile jeszcze podobnych historii kryje to miasto?

Czułem jednak dojmujące wyrzuty sumienia z powodu kradzieży i wypadku, który spotkał dozorcę. Próbowałem pokrzepiać się nadzieją, że nic poważnego mu się nie stało. Nie chciałem zakładać najgorszego, ale uporczywe myśli i poczucie winy dławiły mnie przez wiele bezsennych nocy. W końcu postanowiłem wyznać przewiny Bogu; udałem się do bazyliki św. Katarzyny przy Newskim prospekcie. Po spowiedzi, która przyniosła namiastkę ukojenia, zdecydowałem się pozbyć pamiątki swego grzechu, zostawiłem dziennik na ławce obok konfesjonału. Miałem nadzieję nigdy więcej go nie oglądać.

Niedługo potem opuściłem kamienne miasto nad Newą. Byłem daleko za Uralem, potem na gorącym Południu. Na placówkach w republikach, które przez lata przechodziły z rąk do rąk... Gdybyś mi powiedział, że powrócę do Wenecji Północy po niemal trzydziestu latach, zajmując stanowisko generalnego konsula, pewnie bym ci nie uwierzył.

Nie mam już tyle czasu na spacer, co kiedyś. Staram się odwiedzać miejsca z lat młodości, kiedy pozwalają mi obowiązki i zdrowie. Nie dziw się jednak, że zaułek Solny zawsze omijam szerokim łukiem.

Petersburg, Grudzień 2020



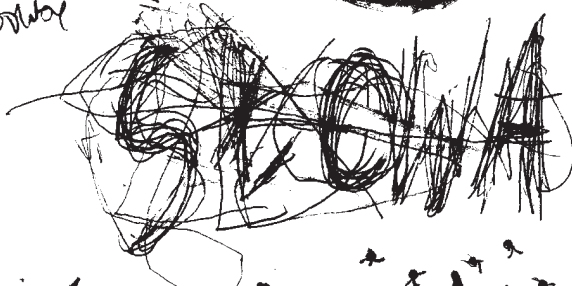
Stawa nas wychowaty
 Zbudowany, określony
 Teraz jesteśmy już dorośli
 a to my wychowamy świat
 Nie da się tego zrobić starymi sposobami

Zamiast, coraz mniej wartości
 Wemy w ogóle co one mają?
 Własność? Prawo? Wolność?
 Możemy jakieś wypisywać
 ale nie wiadomo czy będą nam służyć



Najlepiej zrobić nową
 Nie tworzyć to planety
 Nie zamknąć to pracowników
 Wtedy jest to proces
 a rezultatem łatwo się podzielić

Jak ciężki się pracuje stowem
 niż dłużej się nim z innymi?
 Poza tym nie zrobi się go mniej
 Wymyślono ono w podnóż
 tamtejszy i stowczy nowe odmiany



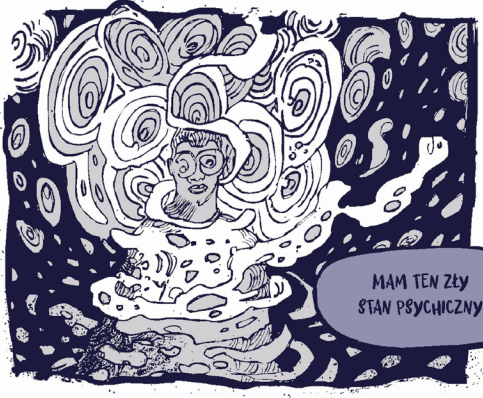
PROBLEM...

NIE SPALEM JUŻ
OD CZTERECH DNI, BEZSENNOŚĆ
ODREALNIA ZARÓWNO SEN,
JAK I JAWĘ

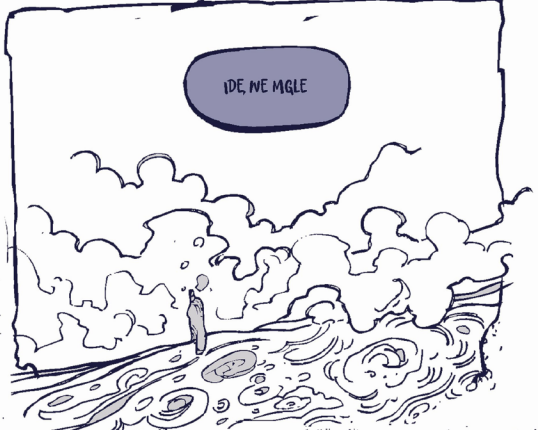
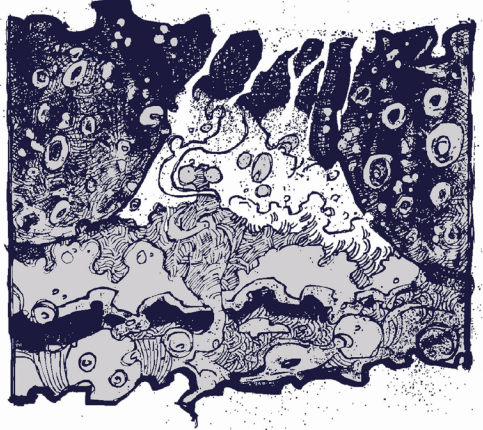
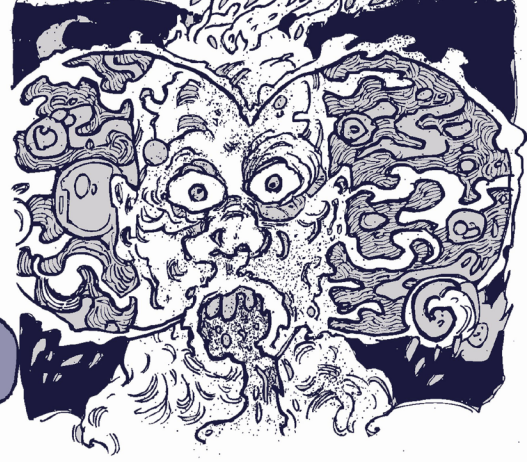
RYSONKI: PIOTR KECZUP BURZYŃSKI
TEKST: LUKASZ SKLERO REPO KIPER



ZNOW NIE ŚPIE



MAM TEN ZŁY
STAN PSYCHICZNY



IDE, NIE MGLE

TEN CAŁY ŚMIAT
TO SZPITAL
PSYCHIATRYCZNY



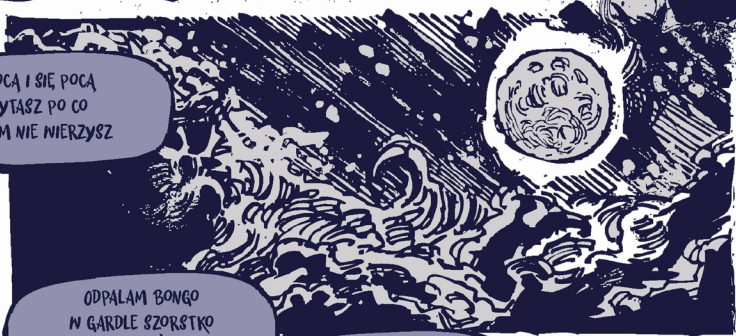
CI NIBY NORMALNI CHCĄ TU BYĆ
NICZYM PERSONEL MEDYCZNY



OŚTATNIO KIEPSKO SYPIAM
JAK CI CO ŁAPIĄ BIAŁE MYSZKI



NOCĄ I SIĘ POCA
PYTASZ PO CO
OCZOM NIE NIERZYSZ

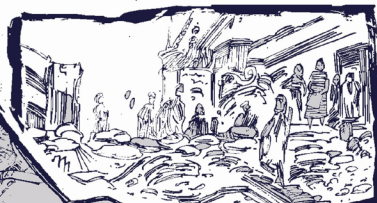


ODPALAM BONGO
W GARDLE SZORSTKO
JAK PAPIER ŚCIERNY
SIE, CZUJE CORAZ BARDZIEJ

ŚCIERAM SIĘ JAK TE TWARZE
CO NAD RANEM O ZGRZO
ROBIĄ SIĘ NIEMIDZIALNE



ŁATWOPALNE
MAM KAŻDE SŁOWO
BRODZĄC W BENZYNIE
JAK MOŁOTOW
NA BARYKADY
STOJĄC W KABINIE



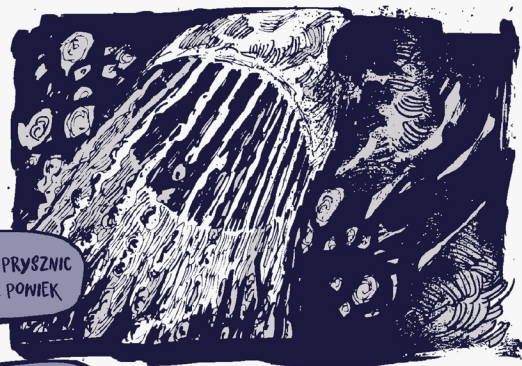
ZOSTANIAM ŚLADY
JAKBYM STAPAJ
PO CIENKIEJ LINIE



JAK SOBIE POŚCIELISZ
TAK SIĘ WYSPIESZ
ALE W GROBIE



NA RAZIE ZIMNY PRYSZNIC
SPĘDZA CI SEN Z POWIEK



CIĄGŁY NYŚCIG
ZA CZYMKOLNIEK
CHCESZ POBIEC
W DRUGĄ STRONĘ

NOCĄ PIEPRZYSZ
TO NIE ŚPIESZ
LUB DOPADAJĄ CIĘ
ZJANY



BIAŁE KRESKI JAK NA JEZDNI
MYTYCZĄJA CEL WYPRawy



MIASTO NIE ŚPI
SZCZERZY ZĘBY





OSTATNI GASI
SWIATLO

ZOSTAJE CIEMNY POKOJ
A WOKOLE NIEPOKOJ
NIE DA CI ZASNAC

OBIETNICA ALANA



Dzień przed wypadkiem mały Al miał sen.

Jechał rowerkiem po chodniku w stronę placu zabaw. Rodzice biegli za nim, krzycząc, żeby się zatrzymał. Słyszał ich, ale bawiło go uciekanie. Zbliżał się już do miejsca, słyszał nawet śmiech dzieci bawiących się na placu, gdy...

Tu sen się urywał.

Od kilku tygodni Al budził się w nocy, cały złany potem i zdążył przyzwyczaić się do myśli, że nie pozna zakończenia snu.

Tym razem było inaczej, bo Al nie był sam. Zjawili się Goście, gdy – jak mu się wydawało – otworzył oczy, żeby poprawić poduszkę i przewrócić się z boku na bok. Chciał zapytać, kim są, jednak zanim wydusił z siebie kilka słów, ostrzegli go. Pokazali mu wóz dostawczy zjeżdżający z trasy i uderzający w drzewo, a po drodze zabierający ze sobą chłopca.

Al obudził się rano i udawał, że jest chory, nic nie wspominając o swoim śnie. Rodzice postanowili zabrać go do lekarza. Wizyta była krótka – ah, gdyby tak trwała pięć minut dłużej – bo lekarz zalecił mu jedynie odpoczynek i witaminy.

W drodze powrotnej, gdy byli już w okolicach placu zabaw, w samochód rodziny Edwardsów uderzył ten sam wóz dostawczy, który śnił się małemu Alowi. Ojciec zginął na miejscu, matka wyzdrowiała dopiero po wielomiesięcznej rekonwalescencji, zaś ich synek

doznał wstrząsu mózgu; przez długi czas nie mógł mówić. A gdy w końcu zaczął wracać do zdrowia, zapomniał o swoim śnie i niezapowiedzianych Gościach.

TERAZ

Tego dnia Alan Edwards postanawia zostać w pracy nieco dłużej niż zwykle. Jest piątek i wszyscy zbierają się do domu. Alan, idąc korytarzem, spotyka Boba, wieloletniego przyjaciela i od niedawna szefa, który wraca właśnie z wydziałowej stołówki.

– Zostawiłem pod twoimi drzwiami kilka kartonów – mówi Bob. – Dasz sobie z nimi radę? – Lekko się uśmiecha, po czym dodaje: – A może poprosić kogoś, żeby wniósł je do gabinetu?

– Dziękuję, dziękuję, nie trzeba – odpowiada Alan, przeczesując nerwowo siwiejące włosy. – Poradzę sobie, tylko najpierw pójde się przewietrzyć.

W dawnych czasach Bob-kolega zaprosiłby Alana na piwo, jednakże Bob-szef klepie go po plecach i odchodzi, mówiąc jedynie:

– Liczę na ciebie, przyjacielu... – Mówi tak, ale Alan wie, że Bob chce po prostu wykazać się przed radą Wydziału Historii i uporządkować dokumentację jeszcze przed końcem semestru letniego. – Trzymaj się, Al!

Alan – zwany przez większość Wielkim Księgowym – macha do niego i idzie na

spacer, zarzucając na ramię przydużą marynarkę. Nie wygląda w niej najlepiej, ale jemu od jakiegoś czasu nie zależy na wyglądzie, o czym świadczą choćby sprane dżinsy i starte na podszwach buty.

Budynek uniwersyteckiego kampusu położony jest nieopodal parku i jeziora. Alan lubi się tam przechadzać, choć bywa to męczące ze względu na przybywające z roku na roku kilogramy. Na szczęście na Akademickiej Ścieżce Sławy (jak szumnie ochrzciła kawałek parkowej dróżki rada wydziału), znajduje się wiele ławek. Można na nich przeczytać informacje – wygrawerowane na srebrnych tabliczkach – o wybitnych absolwentach uczelni. Alana one nie interesują, poza tą jedną, którą zna na pamięć – widnieje tam informacja o Rachel Edwards.

Jego żona nie żyje od pięciu lat. Alan radzi sobie z tą stratą, choć przyjaciele wiedzą, że to nie do końca prawda. Czasem żali się im, że najtrudniej jest w święta (niekoniecznie dlatego, że sam nie umie gotować, bo przyrządza wyśmienite kanapki z pieczonym indykiem). Twierdzi, że dom, w którym mieszkał z Rachel, pozbawiony zapachu świątecznego ciasta, jest po prostu nie do zniesienia.

Alan wstaje i spogląda na ławkę, po czym odchodzi w stronę budynku. Przy drzwiach wejściowych przykłada kartę do czytnika, a ta, jak to się często zdarza, działa dopiero za kolejnym razem.

Instytut Archeologii znajduje się na czwartym piętrze, a gabinet Ala mieści się na samym końcu korytarza. Pokój jest naprawdę mały, ale upchnięto w nim biurko z komputerem oraz szafę na dokumenty.

W gabinecie jest jednak na tyle miejsca, żeby zostać tam na noc (wiele tygodni temu „na wszelki wypadek” schował w szafie śpiwór i karimatę), a tłuczenie się autobusem wydaje mu się dziś bez sensu. Poza tym nocowanie poza domem z jednej strony go nieco przeraża, a z drugiej ekscytuje. Ostatni raz poza domem spał przeszło trzy lat temu. Wtedy pojechali z Rachel na kamping.

KIEDYŚ

– Pospiesz się! – krzyczał Alan, kiedy Rachel siłowała się z drzwiami do domu. – Dawno już spakowałem wszystkie bagaże i nawet zdążyłem zrobić kilka okrążeń wokół domu – mówiąc to, podskakiwał w miejscu, imitując bieg.

Żona popatrzyła tylko w jego stronę, jednak nic nie powiedziała. Wiedziała, że Alan lubi się zgrywać i być może jedynie pomyślał o tym, żeby obieć dom. Uznała, że przydałoby mu się to, bo ostatnio zaczął przybierać na wadze.

To na pewno przez tę cholerną robotę za biurkiem, którą załatwił mu Bob, pomyślała i ugryzła się w język, bo wydało jej się, że powiedziała to na głos.

– Wiem, co sobie myślisz – skomentował Alan. Patrzył na nią, wciąż udając stojącego w miejscu sprintera. – Jeszcze się wezmę za siebie. No, chodźmy już.

Rachel podeszła do samochodu. Alan otworzył jej drzwi i, kłaniając się nisko, wskazał miejsce kierowcy.

Pomimo wielu obietnic Al nigdy nie zrobił prawa jazdy. Filmy i dobre jechanie – z tego czerpał radość. Jazda za kółkiem? Sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy.

– Zapnij pasy, kotku – mówiąc to, Rachel uśmiechnęła się i dodała gazu niczym kierowca rajdowy przed startem.

Jesteśmy zupełnymi przeciwieństwami, a jednak przeciwieństwa się przyciągają, pomyślała sobie, patrząc z ukosa na Alana, który natychmiast zapiął pasy.

Tworzyli dobry związek, choć Rachel obawiała się, że czasem zbyt go ustawia. Przeważnie jednak uważała, że jest mu to potrzebne, bo większość życia spędził bez ojca, a matka niezbyt sobie radziła z wychowaniem dorastającego chłopca. I to chłopca tak poważnie poszkodowanego i strauumatyzowanego po tamtym wypadku.

Jechali dłuższą chwilę, gdy Alan powiedział:

– Postarałem się dowiedzieć czegoś o okolicy. – Spojrzał na Rachel, wyczekując odpowiedniego momentu. – Wiesz, moja babcia mieszkała w pobliżu, ale niestety nie pamiętam zbyt wiele z tamtego okresu... To znaczący pamiętam jakieś jezioro, ale to raczej nie to samo co Love's Lake.

Rachel podczas jazdy była małowówna, więc tylko skinęła głową. Otworzyła okno. Wiatr zaczął rozwiewać jej długie blond włosy, na których mocno zaznaczały się siwe pasemka; kiedy skończyła czterdziestkę pojawiała się ich coraz więcej.

– Piszą tu – Alan wskazał palcem na przewodnik turystyczny – że Love's Lake jest świetnym miejscem dla wędkarzy.

– Ty i ryby? – zdziwiła się Rachel.

– Oj, daj mi dokończyć! – powiedział Alan z nieco skwaszoną miną – Więc jest to świetne miejsce dla wędkarzy. Radzą jednak uważać na prądy i silne wiry wodne, znajdujące się w kilku zatoczkach. Ponoć pięćdziesiąt lat temu zdarzył się tu straszny wypadek... – Popatrzył na Rachel, która nie lubiła być rozpraszana takimi wiadomościami. – No, co? Tak piszą w przewodniku!

– Nie odbierzesz mi tej przyjemności! – Roześmiała się głośno Rachel, po chwili dodając: – Mam zamiar wypocząć nad Love's Lake jak nigdy dotąd. A, właśnie... Wiesz, skąd wzięła się nazwa tego jeziora? Piszą o tym w przewodniku?

Al dał znać, że jeszcze nie dotarł do tego fragmentu.

– Pamiętam z czasów koledżu, że nazwa Love's Lake wzięła się od zachowania grup młodzieży, które od lat odwiedzają tę okolicę podczas letnich wakacji, no i wiesz... – Popatrzyła znacząco na Alana.

Na pole kempingowe dotarli około południa. Gdy zjeżdżali z leśnej drogi na parking przy polanie, zobaczyli drewniany znak witający ich w „Love Camp”.

Na polanie znajdowało się kilkanaście przyczep kempingowych, każda w innym kolorze, a ponad połowę parkingu (ozdobionego małymi czerwonymi sercami) już zajęto. Rachel zaparkowała i powiedziała:

– Zabierz rzeczy do niebieskiego kampera, a ja pójdę nas zameldować.

Alan bez wahania wziął walizki i ruszył w stronę pojazdu. Postawił bagaże przy drzwiach wejściowych i rozejrzał się wokół. Zauważył emerytów w żółtym kamperze, matkę z dwójką dzieci w zielonym, a w białym samotną panią z pieskiem. Ruchome

domki, jak myślał o nich Alan, oddzielono od siebie wysokimi żywopłotami. Przy każdym pojeździe stał przygotowany grill, a obok niego drewniany stół z ławkami.

Podeszła do niego Rachel i otworzyła drzwi. Była tam mała kuchenka, łazienka z prysznicem, duże łóżko i stół, przy którym mogła zjeść obiad niewielka rodzina... Rodzina, której od lat nie udawało im się powiększyć.

– Myślisz, że teraz nam się poszczęści? – zapytała Rachel. – Rzuciłeś palenie, a lekarz mówił, że to nikotyna wpływa szkodliwie na plemniki.

Przytaknął i podszedł do łóżka. Opadł na nie i wyciągnął się z uśmiechem na ustach. Położyła się obok niego.

TERAZ

Dobiega druga w nocy, kiedy Alan uznaje, że ma już dość pracy na dziś. Plecy go bołą i mimo zażycia kilku tabletek przeciwbólowych, wie, że trudno będzie mu zasnąć.

Jedynie, co może mu pomóc, to gorący i długi prysznic. Niestety, pracownikom instytutu nic takiego nie przysługuje. W toalecie, która znajduje się naprzeciwko jego gabinetu, może zaledwie umyć zęby i ewentualnie nieco się obmyć.

Nadmuchuje materac, gasił światło i wchodzi do śpiwora.

W gabinecie jest ciemno; zresztą jak w całym instytucie i prawdopodobnie na wydziale. Cisza jest wręcz przytłaczająca. Gdzieś wewnątrz, w trzewiach budynku, słychać brzęczenie wentylatorów. Alan koncentruje się na nim, lecz po chwili słyszy coś jeszcze. Coś jakby trzaskanie drzwiami.

Cisza. Żadnych kroków.

Stwierdza, że bezpieczniej będzie zamknąć drzwi od gabinetu. Podchodzi do nich i delikatnie wsuwa klucz w zamek, po czym przekręca dwa razy w prawo. Niepokoi go echo, które towarzyszy tej czynności – brzmi jak odgłos poruszanych kajdan w opuszczonym zamczysku (aleś ty poetycki, mówi do siebie w myślach Alan). Echo rozchodzi się po całym korytarzu, a może i po znajdującej się blisko klatce schodowej.

Łąduje się ponownie i wsuwa w śpiwór. Decyduje się obejrzeć na telefonie film na

którejs z platform streamingowych, korzystając z niedawno zakupionego androida i słuchawek bezprzewodowych.

Długo przegląda spis filmów, po czym postanawia obejrzyć ekranizację książki o zdolnym uczniu, który zatracca się w swojej obsesji odkrywania historii pewnego starca. Choć film go wciąga, to Alan jest na tyle zmęczony, że zasypia po kilkunastu minutach.

Budzi go ból, teraz pulsujący w okolicach miednicy. Na ekranie telefonu widzi dziwaczną scenę pod prysznicami, w której młody chłopak, myjąc się, dostrzega wokół siebie starych i wychudzonych ludzi.

Boże, to ma być przerażające? – zastanawia się Alan. Kiedyś to były horrory... A to? Niejeden żartowniś powiedziałby, że to scena otwierająca kiepskiego pornola.

Wyłącza telefon.

Na korytarzu słychać trzaskanie drzwiami i kroki. Alan gwałtownie wciąga powietrze.

– Tak, w budynku czysto – odzywa się czyjś głos. – Kończę obchód i zaraz wracam. – Te słowa uspokajają Alana. To tylko ochroniarz, składający raport przez krótkofalówkę.

Nie może zasnąć i postanawia pójść do automatu z kawą znajdującego się na końcu korytarza. Podchodzi do drzwi i próbuje delikatnie je otworzyć, ale znów wywołuje to nieprzyjemne echo. Na korytarzu jest ciemno, na szczęście jego telefon ma wbudowaną latarkę.

Przez myśl przechodzi mu, że jest trochę jak Indiana Jones, a nie facet od opracowywania raportów finansowych.

Gdy dociera do automatu, zamawia caffè latte. Czekając, aż papierowy kubek napełni się kawopodobnym płynem, rozgląda się po tablicach ogłoszeń. Wtedy natrafia na ogłoszenie, które przypomina mu, że w czasie wakacji odbywał się nieopodal zjazd skautów. Żeby się odświeżyć mogli po prostu korzystać z uniwersyteckiego jeziora, ponieważ jednak rodzice dzieci bali się bakterii, to uczelnia zgodziła się udostępnić skautom łazienki, które z niejasnych przyczyn były umieszczone w piwnicach.

Postanawia to sprawdzić.

Zejście do piwnicy zajmuje mu kilka minut (co chwilę musi się zatrzymać, bo ból wędruje po kręgosłupie). Jest ciemno, lecz na klatkę schodową i korytarz na parterze dociera jeszcze światło z latarni ustawionych przed budynkiem. W piwnicach nie ma jednak żadnych okien, a nie może znaleźć włącznika światła. Idzie więc powoli, świecąc to w jedną, to w drugą stronę telefonem. Dotyka chropowatej i, jak zauważa ze zdziwieniem, wilgotnej ściany, a gdy na nią świeci, widzi, że farba – niegdyś zapewne zielona, dziś o bliżej nieokreślonym kolorze – odchodzi niczym skóra liniejącego gada. Wzdryga się i pociąga nosem, teraz faktycznie czuje zapach wilgoci.

Zatrzymuje się przed metalowymi drzwiami, na których coś błyszczący w świetle latarki. Po uważniejszym przyjrzeniu się zauważa, że to breloczek z kanarkiem przyczepiony do kluczy tkwiących w drzwiach.

Podnosi latarkę nieco wyżej i widzi napis: „Magazyn”, a poniżej przyklejoną kartkę z informacją: „Tymczasowo wypożyczony Instytutowi Historii Współczesnej”. Faktycznie, słyszał o dostawie eksponatów na zbliżające się piętnaste urodziny jego Instytutu. Chce odejść – plecy ciągle go bołą, choć krótki spacer po wydziale nieco mu pomógł – gdy nagle w głowie świta mu myśl, że może znajdzie tam coś interesującego.

Zna ten rodzaj ciekawości, jest bardzo podobny do tego, którego doświadczył podczas pamiętnego wyjazdu z Rachel, a skoro i tak już nie zaśnie (było piętnaście po trzeciej i wypił kawę), to w zasadzie nie miał nic lepszego do roboty.

Wszedł do środka.

KIEDYŚ

Rozpakowali tylko potrzebne rzeczy, a reszta postanowili zająć się z rana. Udali się na długi spacer wokół jeziora.

Na plaży biegały dzieci, wesoło się śmiejąc. Nieco dalej kilku fanów wędkarstwa siedziało cierpliwie, popijając ukradkiem piwo i klnąc pod nosem, że dzieci płoszą ryby.

Zwrócili uwagę na drugą stronę jeziora – była zaniedbana; znajdowały się tam działki ogrodowe, których zapewne właścicielom „Love Camp” nie udało się jeszcze odkupić.

Wrócili do kampera.

Chwilę później Alan smażył steka i pił piwo. Obok mięsa w małym zawiniątku duży się warzywa dla jego żony.

– Czołem sąsiedzi! – Usłyszeli głos starszego mężczyzny, wracającego w samych kąpielówkach znad jeziora. – Na długo?

– Tygodniowy urlop! – krzyknął Alan. – Pierwszy od wielu lat. Wiesz, jak teraz jest z cenami.

Mężczyzna popatrzył na niego, mrużąc oczy.

– Czyja ja wiem? Dla mnie okej... – mówiąc to, spojrzął na Rachel. – Mogę się dosiąść?

– Tak, czemu nie – odpowiedziała, patrząc porozumiewawczo na Alana.

Mężczyzna podziękował i dał im do rozumienia, że zajdzie najpierw do swojego bordowego kampera.

– Po co go zaprosiłaś? – Alan spytał żonę, gdy facet tylko zniknął z oczu.

– Nie wiem – szepnęła, po czym dodała nieco głośniejszym głosem, widząc zbliżającego się mężczyznę. – Jak się masz? Jestem Rachel, a to mój mąż Alan.

– Tim Robins, miło mi. – Podał rękę Rachel, schylając głowę i symulując pocałunek, po czym uściśnił dłoń Alana, którego bardzo zdziwiła siła, z jaką to zrobił. Wyjaśnienie przyszło natychmiast, bo Tim dodał: – Prywatny detektyw.

Małżeństwo popatrzyło po sobie porozumiewawczo.

– Na urlopie? – zapytali niemal równocześnie.

– Niestety, w pracy.

Zapanowała cisza, której towarzyszyła jedynie miarowa gra świerszczy. Przerwał ją Tim, otwierając puszkę z piwem i podając ją Rachel.

– Dorabiam do emerytury – powiedział Tim, przekazując piwo Alanowi. – A wy czym się zajmujecie?

Alan przedstawił się jako „Indiana Jones księgowości”, czego Tim nie zrozumiał jako żartu, a przynajmniej nie dał tego po sobie poznać.

– Jestem dietetyczką – powiedziała Rachel. – Szkoda tylko, że, jak to mówią, najciemniej jest pod latarnią. – Spojrzała na Alana zjadającego steka.

Rozmawiali tak z pół godziny (o pogodzie, odwiedzanych miejscach, krążąc też ostrożnie wokół tematów politycznych), kiedy Alan nie wytrzymał i w końcu zapytał:

– No, dobrze, my tu gadu gadu, ale nie wiemy, co cię sprowadza nad Love’s Lake? – Zaśmiał się, podobnie zachowała się Rachel. Szybko przestali, widząc minę Tima.

– Wynajęli mnie rodzice zaginionych kilka dni temu nastolatków – stwierdził spokojnym głosem detektyw. Popatrzył na nich, po czym spuścił wzrok. – Kilkoro z nich uważa, że dzieciaki pojechały na koncert. Matka jednej dziewczyny z kolei sądzi, że ma to coś wspólnego z zaginięciem siostry jej babki około pięćdziesiąt lat temu... Tu, nad Love’s Lake.

– Opowiedz o tym coś więcej – poprosił go Alan.

TERAZ

Alan otwiera drzwi i wchodzi.

Po dłuższej chwili udaje mu się znaleźć włącznik. Mruży oczy, gdy zapala światło, i powoli rusza przed siebie.

Magazyn okazuje się znacznie większy, niż przypuszczał. Idzie długim korytarzem, a po jego obu stronach stoją regały z różnej wielkości kartonami.

Zatrzymuje się, sięga po karton znajdujący się po lewej stronie, nieco nad jego głową, i próbuje odczytać widniejący na nim napis. Wydaje mu się, że jest po niemiecku i odruchowo wzrusza ramionami, bo ostatni raz używał tego języka trzydzieści lat temu. Pomaga mu wiedza historyczna, ale – jak na ironię – nigdy nie lubił tej dziedziny nauki; zawsze interesowały go cyferki.

I je tam znajduje: 1945 – czyli czasy drugiej wojny światowej, myśli Alan.

Karton jest lekki, a gdy nim potrząsa, coś grzechocze w środku. Zaciekawiony otwiera pudełko i widzi kawałek drewna. Po dłuższej chwili stwierdza, że to chyba prymitywna zabawka, może samochodzik. Stawia karton na podłodze i sięga po następny. Znajduje w nim grzebień, a w kolejnych pudłach pierścioneł, trochę łusek i odcięty pukiel jasnych włosów (to ostatnie znalezisko przypomina mu o żonie, która miała identyczny kolor).

Postanawia wracać. Odkłada kartony na miejsce i, gdy wydaje mu się, że już skończył, potyka się o pudło z samochodzikiem, który wypada i z rozpędem rusza między regały. Alan nie jest w stanie go złapać. Biegnie za dźwiękiem kół, a zabawka pędzi przez magazyn, przejeżdża przez uchylone drzwi i jedzie dalej ciemnym korytarzem. Uderza w coś i zatrzymuje się.

Alan, ledwo dysząc, w drżącym świetle komórkowej latarki, podbiega do zabawki, schyla się po nią. Gdy się prostuje, na drzwiach dostrzega tabliczkę z symbolem prysznica. Chowa samochodzik do kieszeni i wchodzi.

Sala z prysznicami jest duża i równie obskurna co prowadzący do niej korytarz. Przypomina mu wygląda jak fragment jakiegoś starego schronu; odsuwa od siebie tę myśl.

Rozbiera się, na ławce kładzie ubrania i okulary (co nieco utrudni mu poruszanie się), podchodzi do najbliższego prysznica i odkręca wodę – jest lodowata.

Alan odskakuje i samą dłonią sprawdza, czy coś się zmienia. Już ma dać za wygraną, gdy zaczyna lecieć ciepła woda. Staje pod prysznicem i ciepło rozgrzewa jego ciało. Leje się po plecach, co szybko niweluje pulsujący ból, który zdążył się już teraz zgromadzić w okolicach miednicy i karku. Stoi tam na tyle długo, że w sali zaczyna gromadzić się gęsta para. Nie dziwi go to, bo najwidoczniej po prostu wentylacja nie działa tu zbyt sprawnie.

Gdy kończy brać prysznic, odwraca się po swoje swoje rzeczy. Jest tylko para wodna, a w zasadzie mgła, która zdaje się coraz bardziej gęstnieć.

Gaśnie światło.

Boże, co się dzieje?, pyta siebie wystraszony Alan i po omacku szuka latarki.

Wtedy słyszy kroki, powolne i lekkie.

KIEDYŚ

– Wszystko zaczęło się niewinnie. – Detektyw przypala papierosa i rozgląda się po okolicy. – Jak z młodzieżowego serialu. Grupa znajomych wyjeżdża na obozowisko, bawią się do rana, a gdy się budzą... Kogoś brakuje.

– I zabójcą okazuje się lokaj! – krzyczy Alan, na którego alkohol zdążył już podziałać.

– Cicho – szepcze Rachel i dorzuca drewna do ognia. – Niech pan kontynuuje.

Noc jest ciepła, wieje lekki wiatr. Gasną już ogniska i grille.

– Z rana dzieciaki myślą, że Katy, ta zaginiona dziewczyna, poszła pospacerować i po prostu zapomniała o tym poinformować resztę grupy. Po obiedzie zaczynają się poszukiwania. Wieczorem informują policję. I teraz uwaga. – Tim przygląda się im, po czym mówi: – Podobna historia powtarza się co kilka lat.

– Boże... – komentuje Alan. – To dlaczego ludzie nadal tu przyjeżdżają?

– Z tego samego powodu co my – wtrąca się Rachel. – Nad to i inne okoliczne jeziora przyjeżdżają co roku setki, jeśli nie tysiące turystów. Bary, jachty, hotele...

– Dokładnie tak – mówi detektyw. – Statystycznie rzecz biorąc, te zniknięcia są tak samo częste, jak w centrum Nowego Jorku. Wyszedł i nie wrócił. Ciała nigdy nie odnaleziono.

– Ktoś jednak uważa, że wyjaśnienie jest inne? – pyta Rachel.

– W rzeczy samej – stwierdza detektyw. – Pewien reportażysta, który tak się składa, że jest moim synem, chce nakręcić na ten temat film. To on skontaktował ze mną rodziców zaginionych dzieci. Ja staram się skorzystać z resztek mojego doświadczenia. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Rozmawiali tak jeszcze przez godzinę, kiedy Rachel oznajmiła, że jest zmęczona. Alan zdecydował się zostać, bo Tim w międzyczasie poszedł po butelkę whisky.

– Myślisz, że uda ci się zebrać materiały do reportażu syna? – zapytał Tima, gdy ten wrócił.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – stwierdził detektyw. – Nie udało mi się znaleźć żadnych dowodów wskazujących na to, że zaginięcia nad tym jeziorem coś łączy... Wiesz, w co wierzę?

– W co? – Alan, jako fan filmów przygodowych i strasznych opowieści, zbudował w swojej wyobraźni historię zabójcy znanego jako Love's Lake.

– W alkohol i jego zgubną siłę – mówiąc to, zaśmiał się, po czym nalał po kolejnej setce whisky do dwóch szklanek wypełnionych

lodem. – Młódzież ma to do siebie, że nie zna swoich możliwości, choć oczywiście myśli, że zna. Wlewają w siebie za dużo, jedzą mało lub byle co, no i urwanie filmu gwarantowane. A wtedy to już łatwo się zgubił, spaść ze skały, utopić się i tak dalej.

Alan nic nie odpowiedział. Zastanawiał się dalej... Może to facet w stroju rybaka z hakiem? Zamaskowany zwyrol z piłą łańcuchową? Straszna sekta w strojach z taniego horroru? Nie mógł się zdecydować.

Kiedy tak sobie dumał, Tim przysnął.

– Choć, odprowadzę cię. – Podeszedł do niego i lekko szturchnął. Wziął Tima pod rękę i szli powoli w stronę jego kampera.

– Coś mnie zmogło, wybac – wymamrotał Tim, otwierając drzwi. – Do jutra, trzymaj się.

Alan poczekał, aż stary detektyw się położył. Zamknął drzwi kampera i ruszył z powrotem do siebie.

Był już blisko, gdy nagle się zatrzymał. Poczul nieodpartą pokusę przespacerowania się wokół jeziora.

Szedł, mijając inne kampery. Odpalił papierosa schowanego na czarnej godzinie. Ta w sumie nie wybiła, ale był na wakacjach i trochę wypił, więc to była zawsze dobra wymówka dla Rachel, która na pewno poczuje, że palił.

Akurat szkodzi plemnikom, myślał Alan, brednie.

Szedł, patrząc na gładką taflę wody.

Nagle po swojej lewej stronie zauważył ruch. Gdy się odwrócił, zobaczył małego chłopca, który wyminął go i szedł przed siebie. Chciał go zapytać, czy może się nie zgubił – dobiegała czwarta w nocy – gdy kolejne dzieci zaczęły wyłaniać się zza pleców Alana.

– Co się dzieje? – zapytał, a chłopczyk odwrócił i powiedział:

– On będzie chciał skrzywdzić twoją żonę – Alanowi wydało się, że towarzyszy tej wypowiedzi dziwne, przyprawiające o gęsią skórę, echo. – Od dawna ją obserwuje.

– Kto?! – krzyknął Alan. – Skąd o tym wiesz? Proszę, powiedz mi.

Chłopiec mu odpowiedział, chwilę później zadając pytanie.

Alan stał nieruchomo przez dłuższą chwilę,

po czym skinął głową – było to potwierdzenie obietnicy.

Reszta dzieci odwróciła się i wskazywała palcami chatkę po drugiej stronie jeziora. Znajdowała się blisko brzegu, tuż za rozpadającym się płotem.

Alan ruszył w stronę chatki, okrążając jezioro.

TERAZ

Chwyta latarkę i zaczyna wymachiwać nią we wszystkie strony.

– Kto tam?! – krzyczy przed siebie, ale odpowiada mu tylko głucha cisza. – Jestem pracownikiem Instytut Archeologii, nie jestem złodziejem ani żadnym włamywaczem.

Znów słyszy kroki, lecz pomimo świecenia latarką nie może nikogo dostrzec. Widzi tylko mgłę, a może raczej kłęby dymu.

A może świecę za wysoko, myśli Alan.

Kieruje więc światło latarki niżej. Kilka metrów przed sobą widzi nagiego, najwyżej trzyletniego, chłopca, który mówi do niego w obcym języku, lecz Alan rozumie znaczenie tych słów.

– To moje – mówi dziecko i wyciąga ku niemu rękę.

– Nie mam nic, co mogłoby być twoje! – krzyczy Alan i nagle zdaje sobie sprawę, że jednak ma. Po macku odnajduje leżącą na ławce marynarkę, sięga do kieszeni i wyciąga z niej drewniany samochodzik. Ostrożnie wyciąga rękę ku chłopcu, a ten bierze od niego zabawkę, dotykając go koniuszkiem palca. Jest zimny, choć w łazience jest gorąco.

– Poczuj to, co ja – mówi chłopiec i cofa się, znikając we mgłę.

Alan chwyta się za gardło i zaczyna się dusić.

Pada na ziemię i próbuje złapać oddech. Przeszkadza mu w tym dławiący zapach przywodzący na myśl gorzkie migdały. Bola go oczy. Gdy je lekko otwiera, widzi na około siebie dziesiątki nagich osób, młodych i starych, które w konwulsjach objągają się o siebie i zaczynają na niego przewracać.

Może to sen?, pyta siebie Alan. Nagle ból znika, a on wstaje, łapiąc głęboki oddech.

– Przeprowadź go do nas. – Alan znów słyszy głos chłopca, choć ten nie porusza ustami. – Pamiętasz? Obiecałeś nam coś...

KIEDYŚ

Podchodził powoli do starego, drewnianego domku, który mógłby służyć równie dobrze za schowek na miotły lub nieco rozbudowaną wygodkę.

Obok niego szło kilkanaścioro dzieci. Miały dziwnie piżamy i Alan wiedział, że skądś je kojarzy, nie mógł jednak sobie przypomnieć skąd. Mali więźniowie? Odrzucił tę myśl i wyjął z kieszeni latarkę.

Chłopczyk, który wcześniej wskazał mu domek, teraz pokazywał na jedno z okien. Alan zajrzała do środka, świecąc latarką.

W myślach pytał się, co właściwie tu robi, co też mu strzeliło do głowy, żeby...

Choć na początku stwierdził, że nie ma tam nic szczególnego, to po chwili dostrzegł rzecz niepasującą do całości. Obok gumowych butów, płaszcza przeciwdeszczowego, kompletu wędek, haczyków i pudełek na zanętę, stała duża, brązowa torba.

Gdzieś już ją widziałem, pomyślał Alan i zaraz sobie przypomniała. Podczas jednej ze swoich bezsennych nocy obejrzał film, który polecił mu Bob. Film nosił dziwny tytuł. Coś o pociągu? Jadącym w nocy... Pociąg rzeźnika? Pociąg z szynką? Nie... Wreszcie sobie przypomniał – chodziło o „Nocny pociąg z mięsem” na podstawie książki czy opowiadania jakiegoś faceta od horrorów. Czarny bohater tej historii miał właśnie taką torbę, a w niej...

Obejrzał się za siebie i zapytał – sam w to nie wierzył (było po czwartej w nocy, a on na polecenie jakiś pomyślonych dzieci nachodził właśnie czyjąś własność) – chłopca w pasiastej piżamie:

– Czy mam tam wejść? – Chłopiec skinął głową.

Alan próbował otworzyć drzwi – były zamknięte. Postanowił pierwszy raz w życiu zachować się jak prawdziwy Indiana Jones. Zdjął bluzę, owinał nią rękę i z całej siły uderzył w szybę. Pękła na drobne kawałki, zaś kilka większych utknęło we framudze. Oczyszczył ją z wystających odłamków i zaczął wchodzić do środka.

Wchodząc do środka, obejrzał się za siebie. Przez moment myślał, że dzieci tam nie będzie, że zwariował lub po prostu wypił za dużo. Jednak one tam nadal były i z nadzieją

– widział to w ich martwych oczach – patrzyły na to, co robił.

Podszedł do torby i poświecił na nią. Otworzył ją i znalazł dokładnie to, czego się spodziewał – młotek, tasak, hak i kilka małych noży.

W pewnym momencie zorientował się, że latarka jest mu już niepotrzebna, bo zaczynała świtać. Ułożył rzeczy obok siebie i ponownie zajrzał do torby. Zobaczył pakunek zapięty na rzepy. Kiedy go otworzył, ujrzał ułożone obok siebie pukle włosów.

Spojrzał na dzieci. Niektóre z nich jeszcze tam stały, a inne powoli odchodziły od domku.

Zabójca znad Love's Lake, pomyślał Al, po czym wykręcił numer na policję.

TERAZ

– No i jak tam, mój wielki przyjacielu? – Bob patrzy na Alana, a ten się tylko uśmiecha i odpowiada:

– Wszystko dobrze, wczoraj skończyłem opracowywać dokumentację. – Bob-szef jest zaskoczony i klepie go po ramieniu, mówiąc, że to świetnie – Zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy się spotkać po pracy? Znalazłem kilka nieścisłości i chciałbym o nich porozmawiać.

– Oj, Al, kolego – mówi do niego Bob i próbuje go zbyć. – Wiesz, mam obowiązki. Czy to nie może poczekać?

– Oczywiście, może, tylko że chciałem przy okazji napić się dobrej whisky ze starym kumplem. – Pokazuje na gabinet.

– Noo, dobrze, masz mnie – mówi Bob.

Al prosi go, żeby chwile poczekał i idzie do pokoju socjalnego, by z zamrażalnika przynieść kostki lodu.

Gdy wraca, Bob czeka zniecierpliwiony przed gabinetem.

– No, Alan – mówi, udając człowieka, któremu wyszło gardło. – Czekam na kropelkę, na kropelkę.... – Gdy tak stęka, Alan dochodzi do wniosku, że Bob jest już trochę wyluzowany i wszystko może pójść po jego myśli.

Alan otwiera drzwi i zaprasza Boba-kolegę do środka. Siadają przy małym biurku; Alan na fotelu obrotowym, a Bob na plastikowym krześle.

– Wybacz – mówi Al. – Ale zwykle krzesło zbyt długo mnie nie utrzyma. Rozumiesz... Sok czy cola?

– Cola – Bob uśmiecha się i spuszcza wzrok na brzuch Alana. – Ale dla ciebie chyba soczek, co?

Wielki Księgowy przytakuje i polewa po setce whisky do każdej szklanki, po czym doprawia zawartość colą.

Po niecałej godzinie dochodzą do połowy butelki. Tempo jest szybkie, bo Alan faktycznie pokazuje Bobowi-szefowi tabelki z dziwnymi wydatkami i ten jest nieco zdenerwowany. Widać też, że Bobowi-koledze pojawiły się wypieki na twarzy.

– Zaraz wrócę – mówi Al. – Nie przejmuj się tak bardzo. Mam nieoficjalne szkolenie z kreatywnej księgowości i jakoś uda mi się to ukryć.

– Naprawdę? – pyta Bob, patrząc w milczeniu na cyfry. Alan potwierdza i wychodzi do toalety.

Spryskuje twarz zimną wodą i sięga za śmietnik mieszczący się pod umywalką. Wyjmuje zza niego reklamówkę. Jest tam boczek, kilka kromek chleba i mała butelka wody – wszystko co potrzebne, żeby pozostać w miarę trzeźwym.

Wraca do gabinetu.

– Dobrze – mówi Bob. – Będę ci bardzo wdzięczny, jeśli pomożesz mi ukryć te... dziwne wydatki.

Alan się uśmiecha. Polewa po kolejnej setce, ale nie przelewa jej do szklanek, bo lód się skończył.

– Tak zrobię. – Patrzy na Boba, po czym podaje mu kieliszek. – To zostanie między nami. – Wypijają złotobrazowy płyn do dna.

Rozmawiają o szczegółach jeszcze kilkanaście minut, kiedy Alan postanawia wykorzystać stan upojenia kolegi.

– Powiedz mi, Bob, co się stało, że przestałeś mieć dla mnie czas? Przecież byliśmy kumplami... A po śmierci żony liczyłem na wsparcie.

– Kumplami? – Śmieje się Bob, już mocno wstawiony. – Al, proszę, nie obrażaj się... Byliśmy kolegami z osiedla, pomogłem

ci, jasne, jednak kumple wiedzą o mnie dużo więcej niż ty, naprawdę uwierz mi, że dużo więcej... – Bob patrzy niepewnie na Alana, a ten zachowuje spokój. – Zmieniłeś się po tym wypadku i śmierci ojca; długo nie można było nawiązać z tobą normalnej relacji. Nie chciałem ci tego mówić, musisz jednak wiedzieć, że niektóre dzieci śmiały się, uważały, że jesteś w jakiś sposób upośledzony. Ja byłem tylko dzieckiem i nasze drogi się rozeszły... – Bob patrzył na Alana, czekając na jakąś reakcję. – Al, przecież załatwiłem ci pracę. Mogłem pójść do kogoś innego, ale wiedziałem, że stała praca dobrze ci zrobi. Mieliście kłopoty z Rachel...

Chwila ciszy.

– Tak, rozumiem. – Powiedział Al. – Trudno. Polać ci?

– No, jasne... Nie obrażaj się. – Bob chwycił kieliszek i przechyła, nawet nie życząc mu zdrowia.

Pół godziny później Bob już śpi. Ślina cieknie mu po brodzie i Alan uznaje, że to dobry moment.

– No, chodź – mówi. – Weźmiesz zimny prysznic, to trochę przetrzeźwiejesz i dobrze ci to zrobi.

– Dobra, jak chcesz, kumplu – mówi Bob. – Ja cię naprawdę lubię, kumplu. Nie miej mi za złe...

Alan bierze Boba pod rękę i wyprowadza z gabinetu.

Tym razem z łatwością odnajduje drzwi do sali prysznicowej.

Sadza Boba na ławce, odwraca się i odkręca kurek pierwszego prysznica, nastawiając go na najwyższą temperaturę. To samo robi z kilkunastoma innymi prysznicami.

Pomieszczenie zaczyna wypełniać się parą.

Alan patrzy na Boba, który teraz buja się na ławce i ciężko oddycha.

– Pa, szefie – mówi Alan i kieruje się w stronę drzwi.

– Gdzie... – dyszy Bob. – Gdzie idziesz, Al?

Księgowy odwraca się, patrzy na niego przez chwilę, i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Bob rozgląda się dookoła. Kręci mu się głowie. Chwilę później pochyła się i wymiotuje na spodnie. Wydaje mu się, że para wodna stała się bardziej gęsta. Przypomina mgłę, myśli resztami sił, i próbuje wstać z ławki. Przewraca się na podłogę, łapiąc za serce.

Ma zamknięte oczy, a gdy je otwiera, widzi wiele nagich osób. Chyba małych dzieci.

– Pomocy – mówi rzęzącym głosem.
– Proszę.

Zaczyna czuć zapach gazu i przeraża go to tak bardzo, że mimo klucza w klatce piersiowej i drętwienia lewej ręki próbuje wstać. Znow się przewraca. Próbuje doczołgać się do drzwi.

– Czego ode mnie chcecie?! – krzyczy ostatkiem sił.

– Meine Ehre – mówią jednym głosem dzieci. – Meine Ehre, heißt Treue!

Bob uświadamia sobie znaczenie tych słów i odwraca głowę. Nie może się już ruszyć – czuje dziesiątki zimnych, małych dłoni na swoim ciele i zaczyna krzyczeć.

Ciągną go w głąb mgły.

PÓŹNIEJ

Alan jest podekscytowany. Ogląda film o jakże wymownym tytule „Zabójca znad Love’s Lake”. Dostał od Tima zaproszenie na pokaz filmu dokumentalnego, który ten pomagał przygotowywać pamiętnego lata. Dzięki ostatnim wydarzeniom historię udało się im opowiedzieć do końca.

W końcu Alan pojawia się na ekranie i mówi:

– Kiedy przyjechała policja zadawała wiele pytań, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. – Spuszcza wzrok, czeka kilka sekund i znow podnosi go w stronę widzów. – Wiem jednak, że moja żona mogła stać się jedną z ofiar tego wariata... – Bierze oddech, po czym dodaje: – Na szczęście pomógł mi ktoś, komu będę dożywno wdzięczny.

Na widowni rozlegają się szepty.

– Tak, wiem, że chcielibyście wiedzieć kto – zwraca się do widzów – ale nie mogę zdradzić mojego informatora, bo traktuję to tak, jak tajemnicę dziennikarską.

Syn Tima, jako narrator z offu, mówi:

– Długo trwało, zanim Alan zgodził się na udział w filmie. To detektyw długo na niego nalegał, a ten się odzęgnywał, twierdząc, że „to wzbudza złe wspomnienia”. Ten urlop dla Alana i jego żony mógł się skończyć tragicznie, ale dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności mogli spędzić jeszcze trzy lata razem, zanim dopadł ją złośliwy rak piersi. Lecz nie był to koniec zaskakujących wydarzeń. – Podsumowuje syn Tima, po czym dodaje: – Benjamin Dussander, bo tak naprawdę nazywa się „Zabójca znad Love’s Lake”, to były nazista, który w obozach asystował przy eksperymentach na dzieciach.

Narrator opowiada dalszą część historii i przebieg śledztwa, po czym pyta Alana o niedawne wydarzenia na jego wydziale.

– Bob wypił za dużo i chciał wziąć prysznic w piwnicach naszego wydziału, żeby trochę wytrzeźwieć. Długo nie wracał, a gdy do niego zająrzałem, leżał martwy na podłodze. – Alan ma załzawione oczy, a wśród publiczność słychać wzdychanie.

Narrator kontynuuje:

– Mógł tylko zadzwonić po karetkę. To był zawał. Jednak prawdziwe zdziwienie ogarnęło Alana, gdy pomagając w przygotowywaniu pogrzebu i szukając kontaktu do rodziny, odkrył smutną prawdę.

Alan nabiera powietrza i mówi:

– Najbardziej przeraziło mnie to, że Bob, mój kolega z pracy, był spokrewniony z Dussanderem, którego norę odkryłem przypadkowo kilka lat wcześniej. Prawda wyszła na jaw, dopiero po tragicznej śmierci Boba.

Alan obserwuje publiczność i mógłby się założyć, że wiele osób ma gęsią skórę. Ona sam ją ma...

Na filmie widać teraz, jak operator kamery filmuje zdjęcia szopy Dussandera, bo sam budynek został rozebrany kilka miesięcy później. Na jednym ze zdjęć widoczny jest napis, a poniżej jego tłumaczenie: „Moim honorem jest wierność” i informacja: „przysięga SS”.

Na ekranie pojawia się policjant, który mówi, że Dussander przyznał się do popełnianych czynów i wyznał bez żadnych skrępowań, iż czasem zabijał młodzież i dzieci,

lecz przede wszystkim dorosłych, bo tymi ludzie się mniej przejmują. Podczas ponownego przesłuchania przyznał również, że Bob, jego kuzyn, pomagał mu w sprowadzaniu ofiar, a jedną z nich miała być Rachel. Bob wiedział, że para wyjeżdża właśnie nad to jezioro.

Gdy film się skończył, rozległy się brawa.

– Chciałem ci bardzo podziękować – powiedział Tim do Alana, gdy ludzie się już rozchodzili. – Naprawdę bardzo mi pomogłeś.

– Nie ma za co. – Alan uśmiechał się do Tima i popijał piwo. – To nie był dla mnie żaden problem. Na szczęście nie przeżywam zbyt wielu traum.

– Poważnie? – Zdziwił się detektyw.

– Tak jakoś... To chyba przez wypadek, który miałem w dzieciństwie.

Tim podszedł i objął Alana, mówiąc:

– Wiem, brachu, wiem. – Poklepał go po ramieniu i odszedł w kierunku gości.

Alan rozmawiał jeszcze z paroma osobami i wypił kilka piw. Był w centrum uwagi i była to dla niego niezwykła chwila.

Tej nocy duży Al ma sen.

Melduje się w starym górskim hotelu. W korytarzu i przy recepcji śmierdzi kurzem, starym drewnem i długo gotowanym mięsem. Wielkiemu Księgowemu to nie przeszkadza.

Gdy dociera do pokoju, otwiera drzwi i rozgląda się na około. Słyszy dźwięk skrzypiących kółek, dobiegający gdzieś zza pleców.

– Dzień dobry – odzywa się do niego starszy człowiek, wiozący na inwalidzkim wózku kobietę. Ma przy twarzy butlę tlenową i ciężko oddycha, mierząc go wzrokiem.

Alan kiwa głową

Wchodzi do pokoju, kładzie walizkę i siada na łóżku. Są z nim Goście, tak jak dawniej, gdy był tylko dzieckiem. Odwracają się od niego i wychodzą z pokoju. Idzie za nimi i wystawia głowę przez otwarte drzwi, spoglądając w kierunku starszków – w ich stronę wskazuje kilkanaście dłoni, z chudymi, białymi palcami.

– Dobrze – mówi Alan Edwards, gdy rano wstaje z łóżka. – W końcu obietnica to obietnica.



zinelibrary.pl

NA
KONCU
JUŻ
TYLKO
WRZASK



Drżącą ręką podnoszę żelazną słuchawkę aparatu. Chwila ciszy. Później zwierzęcy pisk.

Czekam, obracając srebro pomiędzy palcami. Na zakrwawionym, ubrudzonym tle moneta odznacza się nieskazitelnością, niczym księżycowa tarcza na bezchmurnym niebie. Jedna szóstka, druga szóstka, trzecia. Pisk ustaje.

Połącz.

— Jestem zmęczony, Clemi. Wykończony.

„W imię ojca”.

— Ale zapłaci za to. Obiecuję.

„I Syna”.

— Złapię diabła kurwia i odstawię...

„I ducha Świętego”.

— ...wprost na najniższy krąg, jebanego piekła.

„Zemsta jest słodka, lecz kiedy przypatrzysz się bliżej, zobaczysz, że to nie cukier”.

— Ale nie tak hop-siup, Clemi. O nie.

„To zwykły substytut”.

— Najpierw go zbawię.

„Zamiennik”.

— Tak, Clemi. Nie ma tutaj błędu. Nie zwabię, a zbawię. Właśnie tak.

„Alternatywa”.

— Złapię, wypiorę z pierdolonych grzechów i odstawię prościutko pod dom.

„Zwyczajny słodzik”.

— W świeżo wykrochmalonej anielskiej kiecce.

„Podobno, patrząc z perspektywy czasu – nieopłacalna”.

— Tak, żeby wszystkie diabły z niego szczyły.

„Ale też podobno, pierdolić podobno”.

— Żeby drwiły do samego końca jebanego świata.

„Inna szkoła wyznaje doktrynę, że jeśli ktoś cię stłucze niczym szklanę...”.

— Do samego końca wszystkich światów.

„...skalecz go”.

— Żeby został zdegradowanym śmieciem.

„Niech krwawi”.

— Dnem dna.

„Nazywam się Frank Aye i jest mi bliższa dokładnie ta szkoła”.

— Pierwszym cwelem w piekle.

„Amen”.

Gdy wychodzę z budki, mały cygan szarpie mnie za płaszcz, wystawiając lepką łapkę, żeby mu nasypać trochę chleba, najlepiej w dziesięciofuntowym papierku. Mówię, że nie da rady. Że moneta, którą przed chwilą wrzuciłem w automat powstała trzy stulecia przed nadejściem krzyżowego gwoźdźca.

Szczył nie puszcza. Piszczy, by mu coś kopsnąć, to powróży. Powtarzam, żeby się raczył odpierdolić, a gdy nie raczy, wyciągam marker i przekreślam mu na dłoni linię życia. Wtedy się łaskawie odpierdziela i mogę w końcu rzucić okiem na ten piękny dzień. Mam na to nawet specjalne powiedzenie: „Spoglądać żaglom pod wiatr”.

Deszcz zalewa ulice. Spieniona woda płynie chodnikami w dół wykoślawionego rynku. Samo miasto wygląda jak wielki tłusty robal rozpačkany na szybko postępu. Poępane i obskurne. Jeśli masz monety wszystko tu załatwisz. Miasto przymykając oka powinno mieć w herbie.

— Jak poszło na „gorącej linii”, Frank?

Emily Rose — lat od dwudziestu pięciu do czterdziestu. Zależy od umalowania, wypicia kawy i ogólnego wkurwienia na świat. Niska. Oczy srebrzysto-miedziane, jakby ktoś przedestyłował wschód Słońca przez piaski Kairu. Powiedzmy... ładna. To, czego Emily nie wie o silnikach, musi być zagadką dla samego Diabła.

I jeszcze jedno. Emily nie nazywa się Emily. Na imię ma... jakoś tam inaczej. Kiedyś wyciągnąłem z niej rogatę gówno i od tego czasu się przyszyła. Teraz znów przypelzła mnie pocieszać. Ona i On. F60.2. Kurwa mać. Mam wrażenie, że pół świata zdążyło już kupić bilet na ten melancholijny pociąg.

— Po coś przylazła? — pytam. Deszcz przyspiesza. Czyli za trzy minuty będzie po powodzi.

Mały cygan pokazuje mi paluchem grupce starszych.

— Ponieważ nie wróciłeś — rzuca, wskazując na idącą w naszą stronę zgraję. — Będzie draka.

Zagwizdać po Ef?

Ignoruję drugie pytanie. Na pierwsze odpowiadam tak... po ludzku.

— Wyszedłem na świeże powietrze, mała, ale wiesz co?

— Wiem — odpowiada. — Ale nie znalazłem w nim świeżości.

Kiwam głową, słysząc, jak to za chwilę będę miał cholernie przejebane. Jakbym teraz brał gorącą kąpiel.

Spoglądam. Czterech z kijami i siódmka kurdupli, przypominających podeptane buty.

Większość wygląda, jakby godzinę temu została dyscyplinarnie zwolniona z armii zbawienia.

Cygan-Prowodyr widzi, że mnie nie ruszają takie gadki, więc postanawia uderzyć w Emily.

— Wypierdolę każdy otwór w twojej gębie! — krzyczy.

Dziewczyna wkłada dwa palce do ust, co mrozi mnie bardziej niż Ice tea, podawana na dworku w Berlinie. Jeśli zagwizdże, za piętnaście sekund przyjdzie ON — Ef-sześćsiąt-kropka-kurwa-dwa.

A wtedy poznamy odpowiedź na pytanie: „Czy można upchnąć jedenaście cyganiątek do dębowej skrzynki?”

— Nie wołaj go, Emily. Panowie lada moment sobie idą.

— Taki chuj. — W dłoni brązowego rzeźmieszka pojawia się nóż. Północny wiatr toczy po ulicy wiklinowy koszyk. Dużo hałasu o nic, a przecież z samej tylko definicji poranki powinny jawić się spokojne.

Wyciągam peta. Pstryk.

— Ty myślisz, że robisz co? — Cygan macha mi ostrzem pięć cali przed guzikami znoszonego płaszczka.

— Najpierw wypalę papierosa — mówię. — Potem spróbuję zasłużyć na waszą nienawiść.

Trochę go tym peszę. Spogląda po twarzach kumpli. Kręci palcem kóleczka przy skroni.

Koślawe pieńki zębów harują w nerwowym rechocie. Biorę drugi mach. Wydech i trzecie, solidne zaciągnięcie. Emily — dzięki Bogu — wyciąga palce z ust.

— Hokus.

Mały cygan łapie się za kałdun.

— Co do jasnej kurwy?!

— Pok...

Rozbiegają się jak utuczone szczury.

— Co to za czary, Frank?

Wzruszam ramionami.

— No jak to zrobiłeś? — nalega. — Hipnoza?

— Takiego zezulca zahipnotyzować? W życiu.

— To jak?

Podaję jej flamaster, mówiąc, żeby narysowała sobie coś na ciele.

— Trucizna — odgaduje.

— Niegroźna. Chyba że zaczniesz żuć.

Wracamy w ulewnym deszczu i w poczuciu fruwającej nad głowami śmierci.

Pokój najtańszy. Dwa wąskie łóżka, dwie szafki, szafa. Wmontowany w ścianę telewizor i tak głęboki dywan, że mógłby wchłonąć dwieście litrów krwi. Emily marnuje wodę pod prysznicem, próbując zmyć nagryzmo-lone kółeczko z przerwami na wymiotowanie. Ja i F60.2 siedzimy naprzeciw siebie. Jem jajka obsmażone masłem na cienkim bekonie. Ef patrzy. Jak zwykle w tym szczególnym towarzystwie jestem niezwykle ostrożny.

Ef-sześćdziesiąt-kropka-dwa.

Osobowość psychopatyczna, dysocjalna – antyspołeczne zaburzenie osobowości. Wysoki. Anorektyczny. Jakby nigdy nie flirtował z pracą fizyczną.

Podobno kiedyś chciał nagrywać filmy skat i takie inne, pojebane z torturami. Nie miał hollywoodzkiego zaplecza ani dościa do rekwizytorni. Wielu by zrezygnowało. On uznał, że obejdzie się bez tego – *if you know what i mean*. Spotkałem go, gdy robił postępy w mówieniu do siebie. Od początku był dla mnie bardziej kształtem niż człowiekiem. Wspólnym krzykiem wydobywającym się z gardła szarżującej hordy barbarzyńców. Niespokojnym odmierzaniem bomby, o charakterystyce domu pełnego poukrywanych zegarów, w których szaleniec poustawiał alarmy. Zatem jeśli wyznam, że był również niezwykle żywiołowy i szybko popadał w zdenerwowanie, niech to stanowi kontekst dla dalszej charakterystyki delikwenta. A zaczęło się od tego, że poprosiłem go o coś dyskretnego.

„Spójrz na to. Do jutra wieczorem ich łby mają leżeć na tym stole”.

Przyjrzał się rzuconemu zdjęciu.

„Kawałek dziecka też przynieść?”

„To nie są dzieci, Ef”.

„Spokojnie, mi to nie robi”.

„Ale mi robi. Nie dzieci”.

„Dwie monety? — spytał”.

„Dwie — potwierdziłem”.

Przybiliśmy układ skinieniami. F60.2 nie wierzy w podawanie dłoni.

Wieczór. Obrzeża miasta. Deszcz ustał. Poznicali ludzie. Kamienica przypomina martwego poetę, który się targnął na linię z miłości.

Emily przebąkuje, że jeśli tylko chcę, możemy wejść tam wszyscy, ale dobrze widzę, że się boi.

— Muszę iść sam — odpowiadam. — Los mi wręczył zapalną bez łebka.

— Po co ta Hamletowska semantyka, Frank?

Gromię ją wzrokiem, który próbuje skontrować uśmiechem.

— Pokażę pierdolonej motyce, że Słońce wcale nie jest takie straszne.

— Nie jest?

— Nie — oznajmiam, chwytając za mo-siężną klamkę w kształcie łapy lwa. — To tylko kolejny Teletubiś.

— Teletubiś-Legion. Demon, który wśród swoich słynie z zajebistości.

Drzwi przy otwarciu skrzypią, ale czy mogło być inaczej?

— Już niczym nie zasłynie.

— Wedle szacunków ma dokładnie sześć tysięcy lat.

— Starszy nie będzie.

F60.2 na odchodne jak zwykle kiwa głową. Emily uracza mnie melodramatycznym uściskiem rodem z patetycznej Casablanki. Niczego nie odczuwam. Czasem nawet obejmując ogień, może być ci zimno. Za to z wnętrza wiekowego budynku słyszę szep:

„Jesteśmy kwintesencją grzechów tego świata. Stanać naprzeciw nam, to jak próbować wypierdolić diabła”.

— To mi odpowiada — rzucam, wkraczając w ciemność. Kompletnie bez planu. Liczę jedynie na sprawiedliwość losu i łut szczęścia, w duszy skrycie wiedząc, że wyjątki nigdy nie będą w stanie obalić reguły. Z drugiej strony czuję się jak ten holenderski dzieciak, zatykający palcem dziurę w grobli. Kiedy wszystko przelatuje przez palce.

Dwadzieścia minut później ciało mnie błaga, żebym usnął, zemdłał albo zmarł. Nie boją tylko te części, w których straciłem uczucie. Za to Baba Jaga już nie patrzy. Głowa

połączona z ciałem jedynie resztkami skóry oraz kipiącą wściekłością.

„Radzę ci popełnić samobójstwo, kundlu, bo kiedy wyjdę, będzie cię to dużo kosztowało”.

— Aha. Mam to na uwadze.

„Tysiące moich dzieci pojawi się tu dokładnie za trzy minuty”.

Siadam i wyciągam papierosa.

— Wsiadasz do pociągu dokładnie za dwie.

SYK.

„Nie dotrzesz w minutę do wyjściowych drzwi”.

— Nawet nie zamierzam wstawać z ziemi.

SYK. POGARDA.

„Co zrobisz, kiedy czas się skończy?”.

— Pytasz, co zrobię, kiedy cię odesłę?

SYK. POGARDA. STRACH.

„Taaak”.

— Poustawiam krzesła na stołach, odstawię wiadro z mopem i wyłączę światła.

SYK. POGARDA. STRACH. PROPOZYCJA.

„Spójrz na to. Mogę ci zaoferować całą ziemską rozkosz”.

Patrzę. Metamorfoza ciągle postępuje, ale już teraz jest na co.

SYK. POGARDA. STRACH. PROPOZYCJA. BŁAGANIE.

„Więc?”.

Papierosowy mach pasuje w tej chwili do sytuacji jak zardzewiałe ostrze do nadgarstka zdradzonej nastolatki.

SYK. POGARDA. STRACH. PROPOZYCJA. BŁAGANIE. WRZASK.

„Wiiięć?”.

— Nie tknąłbym cię nawet pożyczonym kutasem, Pożeraczu.

SYK. STRACH. ZROZUMIENIE.

„Ty to naprawdę zrobisz”.

Gaszę peta ledwie dwa cale za najbliższym ramieniem pentagramu. Ręka złamana, wysadzony bark, potrzaskane przynajmniej trzy żebra i brak buta. Takimi barwami mieni się zwycięstwo.

„Czy... — Głos Pożeracza ulega chwilo- wemu załamaniu. — Czy nie żyłem w tym świecie nazbyt krótko?”.

To nie mnie pyta, tylko tych, co po niego przyszli, ale to ja odpowiadam.

— Nie, ścierwo. Przeżyłeś tyle, ile żyje każdy. Całe swoje życie.

NA KOŃCU JUŻ TYLKO WRZASK.

— No to pożegnajmy się z wariatką.

Pewnie bym nie wstał, ale służki wyszły.

Niepołamana ręką ledwie unoszę słuchawkę aparatu. Czeka, trzymając monetę w połamanych palcach drugiej. Jedna szóstka, druga szóstka, trzecia.

Połącz.

Znajdują mnie opartego o śmietnik dwie przecznice dalej. Oddałem moc. I nie mam tu na myśli analizy.

— No i na co czekasz? — pyta Emily.

— Jakzwykle nakoniec świata — odpowiadam.

Spoglądają po sobie, przekrzykując się ekspresją w gestach. Wyglądają jak dwoje lekarzy, z których żaden nie chce powiedzieć pacjentowi, że umiera.

— Możecie wspólnie.

— To nie on.

Poszło zbyt łatwo, więc gdzieś wewnątrz trochę się czegoś takiego spodziewałem. Zemsta jest jak cukier. Pamiętacie?

— Nie on — powtarzam, wypluwając krwawe skrzepy. Muszę tu leżeć długo, bo już nawet nie przeszkadzam szczerom. Próbuje dźwignąć się z ziemi i... bez nowego serca nie da rady.

— Niewinny nie był — dodaje E60.2. — Zebrał swoje plony.

— Ale... — Organizm bezwiednie uwalnia falę torsji. Zero żarcia w zwrocie. Trochę śliny i od groma krwi.

— Ale?

— Ale to nie on — kończę, wycierając twarz. — Podnieście mnie.

Oczywiście pomaga Emily, bo E60.2 brzydzi się dotyku.





DOM O DWUNASTU TWARZACH

Ksiądz M. Biernat niechętnie opuszczał zaciszną, spokojną plebanię, przylegającą do gotyckiego kościoła, górującego dzwonnicaми nad niewielką wsią, leżącą gdzieś na północnym wschodzie Polski.

Stary i zmęczony prezbiter, odprawivszy poranną mszę, zazwyczaj zaszywał się w małym sadzie, wśród jabłoni i czereśni, siadając na rozkładanym krześle połowym z książką i filiżanką dobrej herbaty indyjskiej. Nie ograniczał się bynajmniej do literatury religijnej. Często sięgał po tytuły sensacyjne lub kryminalne, a ostatnio upodobał sobie wielce krótkie historie grozy, wywołując zgorzienie jego małej, grubej gospodyni, pani S. Kowalskiej.

Nic tak nie poprawiało mu nastroju jak widok niebieskiego, upstrzonego białymi chmurkami nieba, przedzierającego się nieśmiało przez rozłożyste korony owocowych drzew, pośród których swoje koncerty – niemalże nieustannie – odgrywały słowiki i skowronki.

W takiej właśnie scenerii pleban przeżywał życia bohaterów kart pochłanianych przez siebie opowieści, starając się choć na chwilę zapomnieć o tym, co zazwyczaj działo się w kościele. A działo się w zasadzie nic.

Ludzi na mszach dni powszednich nie było prawie wcale, ot kila siwych głów starszych pań, których dzieci i wnuki dawno puciekały do miast. W niedziele natomiast zdarzało się czasami, że swoją obecnością zaszczycali Boga również ich mężowie, przesiadujący przeważnie, z braku lepszego zajęcia, na ławce pod jedy-nym we wsi sklepem. Kapłan dawno przestał ich napominać, gdyż najczęściej zbywali go krótkim: Nie chcemy się panu Jezusowi naprzykrzać.

Inaczej sprawa miała się w Wielkanoc, tudzież w Boże Narodzenie. Wtedy mocno nadgryziony zębem czasu kościół zappełniał się po same brzegi. Niektórzy przybysze, nie mogąc lub nie chcąc znaleźć dla siebie miejsca w środku, stawali na zewnątrz, odliczając,

z pewnością wolno płynące dla nich, minuty do końca liturgii.

Ale nawet wtedy ksiądz czuł bijącą od zebranych ignorancję i niechęć. Doskonale zdawał sobie sprawę, że słowa jego kazań wlatują do ich umysłów jednym, by zaraz wylecieć drugim uchem. Z początku bardzo go to przejmowało. Świeżo wypuszczony z seminarium, pełen energii, za cel postawił sobie nawrócenie całego świata, chcąc zaprowadzić jak najwięcej dusz do zbawienia i królestwa niebieskiego. Było to jednak milion lat temu i często zastanawiał się, czy w ogóle znał dopiero wówczas wyświęconego człowieka.

Zrezygnowany i zniechęcony po jakimś czasie zaczął traktować swoje powołanie jak smutny obowiązek, często zastanawiając się czy nie jest ono jedną wielką pomyłką. Miał w sobie zbyt mało odwagi by porzucić sutannę, uciekał więc w fikcyjne światy, oferowane mu przez rozmaitych autorów.

Jako człowiek starej daty, na dystans trzymał zarówno telewizję jak i komputer, o internecie nawet nie wspominając, toteż jedyną jego rozrywką były książki właśnie i od czasu do czasu włączane przez okrągłą gosponię radio w kuchni na plebanii.

Razu pewnego, gdy siedział na krześle obok hamaka w sadzie, zaczytany w straszne opowieści jakiegoś anglosaskiego mistrza grozy zza oceanu, przyleciała do niego za-aferowana gospodyni. Stała pod rozzielenioną czereśnią i chrząknęła znacząco.

Pleban przeniósł niechętnie spojrzenie z tekstu na kobietę, unosząc powieki znad okularów połówek.

Przyszła Nowakowa, strasznie czymś za-aferowana. Chce się z księdzem natychmiast widzieć.

Nieprzyzwyczajony do odwiedzin parafian proboszcz uniósł brwi w niekłamanym zaciekawieniu. Kiwnął głową i gospodyni chwilę później przyprowadziła starszą, pomarszczoną kobietę w kraciastej chuście na głowie.

– Ratujże dobrodzieju – zawołała tamta, zapominając zupełnie o stosownych powitaniach. – Mój Adaś zaginał. Syn mojej córki, wyjechała do pracy w delegację – Bożesz ty mój, jeśli się nie znajdzie, ona przecie... Nie wybacz mi tego nigdy...

– Spokojnie, szanowna pani, spokojnie – przerwał jej kapłan, starając się panować nad głosem. – Proszę dokładnie opowiedzieć co się wydarzyło.

– Wczoraj wieczorem – zająknęła się starszka. – Wyszedł z kolegami po szkole... Wpadli jak po ogień do domu, zjedli co im podałam i wyszli. Zdziwiłam się, bo oni dużo w komputer razem grają. A tym razem zaraz po podwieczorku już ich nie było.

– Czy wie pani dokąd mogli pójść?

– Mówili coś o lesie za rzeką i tym domu, co to ludzie gadają, że jest nawiedziony.

Ksiądz nie raz i nie dwa słyszał jak we wsi opowiadano sobie o rozpadającej się chałupie, stojącej gdzieś w zagajniku, w którym w młodości często szukał grzybów.

Był człowiekiem kościoła i podobnym bzdurom wiary dawać nie mógł. Odłożył czytana – zanim mu przeszkodzono – książkę na mały, plastikowy stoliczek, obleziony na nogach przez mrówki i inne robactwo, ciągnące do słodczy wiśni, tłoczących się w głębokim talerzu na blacie.

Jeden z nich mówił, że jeśli któryś wytrzyma w środku całą noc, to da mu zagrać w jakąś grę – kobieta straciła wszelkie zahamowania i płakała teraz głośno.

Droga pani, to raczej sprawa dla policji. Ja mogę jedynie zapewnić, że nie zapomnę o urwisach w modlitwie. Wspomnę ich również jutro na porannej mszy. Poza tym pani powinna przede wszystkim sprawdzić, czy w owym domku ich rzeczywiście nie ma.

Policja przetrząsnęła środek, ale nikogo i niczego nie znaleziono! - szloch nieszczęsnej przerodził się w histeryczny jęk. - To siła nieczysta, dobrodzieju! Ratuj, ekscelencjo! Szatan porwał mojego wnuka!

Co też pani za głupstwa opowiada – oburzył się ksiądz. - Jaka siła nieczysta, jaki szatan? Oglądacie tą telewizję i potem wierzycie w takie bzdury! Chłopcy na pewno się odnajdą. Grają teraz pewnie na boisku, albo łapią świerszcze na łące.

Nie, nie i nie! - wrzasnęła J. Nowak, opryskując plebana śliną. - Mówię ojcu, że zło, mieszkające w tej chacie, ich sobie przywłaszczyło! W tobie, ekscelencjo, cała nadzieja! Ratuj ich, ratuj mego wnuka!

Kobieta chwyciła zadziwiająco mocno przegub proboszcza i poczęła składać wilgotne pocałunki na jego pokrytej sinymi żyłkami dłoni.

Tego było już za wiele. Kapelan wyrwał się z jej maniakalnego uścisku, stanął pod jabłonką i sapnął gniewnie jak rozdrażniony baran.

Czyś pani szaleju się najadła? - wydyślał. – Proboszcza po rękach całować? Pani Kowalska, prosiłbym żeby zachowała pani tę pożałowania godną scenę dla siebie.

Gospodyni z początku nic nie powiedziała, tylko bacznie na niego patrzyła.

A ja myślę, że powinien ksiądz tę sprawę zbadać – rzekła w końcu, łapiąc się pod boki. - Głupoty czy nie, pani Nowakowa potrzebuje pomocy, a kapelan jest od pomocy ludziom właśnie.

Duchowny zrobił zawiedzioną minę, opadając z powrotem na zapadające się, polowe krzesło.

Biernat, cały ubrany w wyjściową szatę i ze staromodnym kapeluszem na głowie, wyszedł z plebanii, podciągając kołnierz do góry w naiwnej nadziei, że nikt go nie rozpozna.

Zastanawiając się w myślach dlaczego dał się namówić na to wariactwo, ruszył w kierunku mostu, przerzuconego nad wąską, krętą wstęgą strumienia, nazywanego we wsi górnolotnie rzeką.

Nie wiedzieć czemu, bardzo zależało mu uprzedzić zmierzch, jednak obserwując ciemno różowe kolory nieba zdał sobie sprawę, że wyjdą z tego nici.

Stara kładka mostu zaskrzypiała cichutko pod jego nogami, niepewną konstrukcją dotykając prawie samej wody, której czarna toń sprawiała wrażenie nieskończonej, co zdało się mu śmieszne, zważywszy na miniaturowe wręcz rozmiary małego potoczku.

Zagajnik, przez te wszystkie lata, jakby zdziczał i zarósł bardzo. Kiedy sto lat temu zbierał w nim grzyby, wszystko porastał wściekle zielony mech, a drzewa oddziały od siebie przynajmniej kilkumetrowe odstępy.

Teraz kapelan musiał przeciskać się przez napierające zewsząd konary i gałęzie, ostre jak igły, uważając przy tym, by nie wpaść w lisią norę lub wywrócić się o kretowisko.

Wraz z nadeszłym niespodziewanie zmrokiem, gąk zmienił się w mgnieniu oka. Drzewa bez mała urosły, sięgając po niego swymi długimi, powyginanymi mackami, a ogarniającej wszystko ciemności nie dało się przeniknąć, chyba że kocim wzrokiem.

Ksiądz sięgnął do kieszeni, wygrzebał zapalki i rozpalił mały, roztrzęsiony płomyczek. Pomyślał, że rozsądniej byłoby tu wrócić jutro, jednak po pierwsze chciał mieć tu upokorzenie jak najszybciej za sobą, a po drugie gospodyni zatrąkotała by go swoimi wyrzutami, czego z pewnością jego wysłużony słuch by nie zdzierzył.

Przedzierając się przez coraz gęstsze krzewy i grubsze gałęzie zdało mu się, że widzi w głębinach lasu jakiś kształt... Jakby kwadratowy?

Po chwili wyszedł na niewielką polankę, pośrodku której stała mała, nędznie wyglądająca chałupka. Dzięki swobodnie opadającemu na to miejsce księżycowemu światłu, dało się posuwać naprzód bez strachu przed upadkiem lub wydłubaniem oka.

Chata z zewnątrz nie wyróżniała się niczym szczególnym. Wyglądała jak dawno porzucona szopa.

Ksiądz ruszył z wolna w kierunku trzymanych drewnianym kołkiem drzwi, chwytając tchnienie później za spróchniałą uchwyt.

Nigdy nieoliwione zawiasy skrzypnęły, a rosnące echo potoczyło się po polanie, niepokojąc rosnące dalej drzewa.

Pleban przeląkł się zrazu, że obudził coś mieszkającego w lesie, zaraz jednak napomniał się w duchu, że przecież podobne głupstwa można opowiadać jedynie dzieciom na dobranoc.

Bezsprzecznie biła jednak od tego miejsca jakaś dziwna aura, jakby coś strasznego,

jednocześnie nieznanego krążyło wśród wysokiej trawy i fantazyjnie wygiętych koron drzew. Ksiądz spojrzął na nie w nadziei, że nie wyrwą zaraz korzeni z gleby i nie ruszą na niego, pokacznie krocząca na swych sękatach pniach.

Nagle usłyszał gdzieś w zaroślach cichy szloch, mogący z powodzeniem należeć do kilkuletniego dziecka. Wytężył swoje stare oczy, nadstawił zmęczone uszy, jednak nie zauważył ponadto niczego niezwykłego. Może po prosu mu się wydawało? Nawet gdyby chciał zbadać ów dźwięk, nie miał pojęcia gdzie szukać jego źródła. Niedorzecznie zdało mu się bowiem, że zaatakował go w jednym momencie ze wszystkich stron, jakby dudniąc gdzieś we wnętrzu czaszki.

Otarł chusteczką sperlony pot z czoła, odetchnął głęboko dodając sobie otuchy i wszedł do ciemnej, ciasnej izdebki.

W środku zastało go bzyczenie setek rozżelzonych much, które z niezwykłą zajadłością rzuciły się do jego nozdrzy i ust. Opędźwizny się od natrętnych insektów, kapelan rozejrzył się po czterech kątach. Zapalił kolejną zapalkę, wywołując tym samym długie jak węże cienie, wijące się po zakurzonej podłodze i zarośniętym mchem suficie. Ich syki wpełzły mu do uszu.

Tym co przykuło od razu uwagę mężczyzny były obrazy, wiszące trójkami na czterech jednakich ścianach. Przedstawały portrety ludzi, pod różnym kątem profili, spoglądających zastygłym wzrokiem na nieproszonego gościa. Oprócz nich w izbie znajdowało się tylko małe łóżko, a bardziej materac, spod którego wystawały długie, słomiane igły.

Ksiądz poczuł ogarniającą go nagle senność. Powiedziawszy sobie jednak, że nie da się jej pokonać, począł przeczesać niewielkie pomieszczenie.

Trwało to najwyżej kilka minut, a nie odnalazłszy chłopca i jego przyjaciół, kapelan przysiadł na moment na tapczanie.

Nie wiedząc kiedy, ułożył głowę na worku z sianem i pograżył się w półświadomych marzeniach sennym, obserwując – rozjarzone upiornym blaskiem – gwiazdy na suficie.

Przyjrzał się pierwszemu portretowi. Namalowana na nim twarz mężczyzny

z pewnością mu kogoś przypominała. Jej błękitne oczy patrzyły na niego gniewnie spod zmarszczonych brwi, a zęby zaciskały się w nieznanym uścisku okrucieństwa. Można było czekać na skrzesaną między nimi iskry. Samotna żyła pulsowała wręcz żywą krwią na czole, zupełnie jak strumień, nad którym przechodził w drodze do lasu.

Postać wieczniona na drugim obrazie również wyglądała znajomo. Rozdziawiała gębę w bezgłośnym krzyku, a jej oczy ciskały wszędy błyskawicami wściekłości. Kapelan absurdalnie przestraszył się, że gotowa na niego z ram wyskoczyć i zdzielić ostrym narzędziem, albo jakimś obuchem.

Trzy kolejne wizerunki wyglądały podobnie. Każdy z nich był jednak od poprzedniego bardziej rozeźlony, a akwarelowe mięśnie i ścięgna coraz to bardziej przybierały szaleńczy, furiacki wyraz, nacierając na zeszywniałego nagle jak słupek soli księdza, długimi kopiami niepoohamowanej wręcz grozy.

Na szóstym portrecie kapłan przelotnie dostrzegł, na obliczu tak niesamowicie znajomym, cień uśmiechu. Był to jednak uśmiech daleki od serdecznego ciepła, czy nawet kurtuazyjnego chichotu. Kryła się w nim jakaś groźba... Znał ją. Mieszkała na gotyckich rzygaczach kościoła, którego był proboszczem.

Siódmy i ósmy obraz niczym właściwie nie różniły się od pozostałych, to przy dziewiątym kapłan zatrzymał się na dłużej. Namalowana na nim postać poruszała bowiem gałkami ocznymi, niespokojnie wpatrując się w punkt za plecami księdza.

Gdy ten odwrócił się cały zły potem strachu, zobaczył tylko wpatrujące się w niego upiorne miny z pozostałych portretów.

Przeżegnał się, szepcąc dawno szczerze niewypowiedziane słowa:

In nomine patris...

Dziesiąte malowidło odbiegało od reszty kolorami i obiektem. Wyobrażało bowiem mężczyznę bardzo starego, pogrążonego w jakimś szaleństwie. Chwytał się oburącz za czerep, a między chudymi palcami kłębiły się kępki wyrwanych, mlecznobiałych włosów.

Pleban odetchnął ciężko, a jego serce rozszalało się jak w agonii. Czuł, że źle ukrwione

komory mięśnia trzeszczą niczym stare, żelazne dzwony, w trakcie jesiennej, rozświetlanej gromami wichury.

Na jedenastym płótnie znajdował się ten sam człowiek, co na dziesiątym. Gapił się niewidzącym wzrokiem w otchłań ciemności izby, jak gdyby wprost na mały płomyczek zapalaki duchownego.

Nagle rozwarł usta, niby szykując się do zionięcia fantomowym ogniem. Pleban wyraźnie usłyszał ryk jego gardzieli, poczuł w nozdrzach smród jego oddechu. Cofnął się przerażony, upadając z hukiem na ziemię.

Zapalił nową zapalankę i podszedł do ostatniego, dwunastego obrazu. Na nim, zamiast portretu, zobaczył człowieka leżącego na tapczanie, z głową złożoną na worku z sianem, którego poszarzała skóra obwisła żalostnie, a do mięśni i ścięgien poczęły dobierać się wszelkiej maści owady i robaki.

Jakaś niewypowiedziana groza zastygła na jego bladym obliczu, a martwe, rybie oczy wpatrywały się w gęstniejącą wszędzie pustkę.

Ksiądz obudził się, odkrywając z zadziwieniem, że zza rozchylnych drzwi wpada do środka dziwnej chaty światło budzące się do życia słońca.

Jakież było jego zdumienie, a przede wszystkim przerażenie, kiedy odkrył, że w izbie nie było żadnych portretów.

Były za to lustra.

Kapelana M. Biernata odnaleziono kilka dni później, leżącego bez ducha na słomianym materacu w leśnej chatce, o której mówiono we wsi, że jest nawiedzona. Duchowny powyrywał sobie prawie wszystkie włosy z głowy, a na twarzy zastygły mu uwidocznione żyły z zakrzepłą w środku krwią.

Po zaginionym wnuku pani Nowak i jego kolegach, nie było ani śladu.





POWRÓT DO DOMU

– I jak ci minął dzień, tato? – spytała Iwona.

Nie odpowiedział. Właściwie ostatnio mało mówił. No dobrze, jeśli miałabym być ścisła, odkąd zachorował, nie odezwał się ani razu. Co nie znaczy, że się nie dogadywali. Wręcz przeciwnie – miała wrażenie, że wychodzi im to lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Porozumiewali się bez słów. To szkoda, gdyby musiała się teraz wyprowadzić. I co stałoby się wtedy z tatą? Wolała sobie tego nie wyobrażać.

W dzieciństwie nie miała z nim najlepszej relacji. Ogólnie rzecz ujmując, traktowała go z pewnym lekceważeniem. Działo się to niewątpliwie za sprawą mamy. Iwona dobrze pamiętała dzień, w którym – po tym jak tata kolejny raz nie dostał w pracy spodziewanego awansu – matka, kiwając z politowaniem głową, obwieściła jej dobitnie przy obiedzie: „twój ojciec jest trochę dupowaty”. Tata nic wtedy nie odpowiedział i miał minę, jakby chciał schować się pod stołem.

Potem, jakby dla dopełnienia pasma życiowych porażek, zachorował i sprawy jeszcze się pogorszyły.

– Ale pamiętaj, żeby nikomu nie opowiadać o tym, że tata się zmienił – przypominała mama sugestywnie zniżając głos, gdy Iwona, z tornistrem na plecach, wychodziła rano do szkoły.

Iwonie zresztą wcale nie trzeba było tego przypominać. Strasznie wstydziła się taty.

– Czy nie możecie pójść z nim po prostu do lekarza? – dopytywała ją Marta, jej najlepsza (bo prawdę mówiąc chyba jedyna) koleżanka.

– Bo to nie jest taka choroba...

– A jaka?

– ...

– Czy to zaraźliwe?

– Chyba nie.

– To dlaczego nie mogę do ciebie przyjść?

– Nie bo nie – odpowiadała za każdym razem Iwona, aż wreszcie któregoś razu

Marta obraziła się i przestały się przyjaźnić.

Iwona wyprowadziła się z domu od razu, kiedy mogła – wybrała studia w innym mieście i przeniosiła się do akademika. Studia skończyła, ale niezupełnie. Sądziła, że matka będzie z tego powodu rozczarowana, ale okazało się, że prawie nie zareagowała na tę wiadomość. Najwyraźniej była wówczas całkowicie zaabsorbowana śledzeniem innych, zachodzących w jej własnym życiu procesów. W jej oczach zagościł na stałe cień przeżalenia, gdyż uświadomiła sobie, że faza ekspansji jej wszechświata, znacząca zakupem mieszkania, samochodu, a potem kolejnych szaf, pralek i telewizorów nieodwracalnie przeminęła, a teraz jej uniwersum weszło w fazę kolapsu, zapadania się, kurczenia się ku nicości, którego przejawami było psucie się kolejnych sprzętów (których, z racji niedoboru pieniędzy, nie mogła zastąpić nowymi), rozpad mebli, odłożenie tapet ze ścian.

Iwona nie chciała, by zarażało ją toksyczne przygnębienie matki. Odwiedzała ją coraz rzadziej i w końcu zupełnie straciła z nią kontakt.

Gdy szukała pozostawionych na stole papierosów, wzrokiem niechcący natrafiła na pozostawiony tam feralny świstek papieru – kartkę, którą, gdy dwa dni wcześniej wracała ze sklepu, zastała wetkniętą w drzwi. Kiedy po raz pierwszy ją przeczytała, miała ochotę ją zmiąć i wyrzucić, ale to nie zapobiegłoby przecież obwieszczanej przez nią wizycie. Dlatego położyła ją tutaj, wmawiając sobie, że jeżeli „odpowiedzialnie zajmie się sprawą”, zapowiadane przez nią zdarzenie uda się powstrzymać. Ale teraz (jak pokazywały wskazówki wiszącego na ścianie zegara) zostało do niego mniej niż godzina – i musiała przyznać, że chyba jej się nie uda.

Iwona westchnęła, po raz kolejny dochodząc do wniosku, że najlepszym sposobem reagowania na zbliżające się nieprzyjemne zdarzenia jest niemyślenie o nich.

– Może zjadłbyś coś, tato? – zwróciła się do ojca, próbując zwrócić swe myśli w inną stronę.

Oczywiście nic nie odpowiedział, a kiedy mimo to przyniosła mu z kuchni jabłko, w żaden sposób nie zwrócił na nie uwagi. Jadł równie często jak mówił, czyli wcale. Wyglądało na to, że może się bez jedzenia obywać całymi miesiącami, ba! – nawet latami. Tak jak krokodyle, ale one raz na jakiś czas zjadały jednak coś dużego. Jego zdolność do poszczenia była przy tym o tyle łatwiejsza do zrozumienia, że na co dzień nie wykazywał się prawie żadną aktywnością fizyczną. Cały czas stał w tym samym miejscu. Stał, a może raczej leżał? W każdym razie na pewno nie siedział – w jego obecnym stanie trudno było mówić o siedzeniu.

Kiedy Iwona wychodziła z łazienki, zatrzymała się na chwilę przed starym, pękniętym lustrze.

– Dupowata jak jej ojciec – powiedziała patrząc w swoje odbicie, przybierając pogardliwy ton mamy i krzywiąc się jak ona. Złość wyobrażonej matki sprawiła jej dziwną satysfakcję. Czasem zastanawiała się, co się stało z jej rodzicielką. Prawdę mówiąc, miała nawet co do tego pewne podejrzenia, ale wolała na ich temat nie myśleć, gdyż wstydziła się rozbawienia, jakie w niej wzbudzały.

Kiepsko płatna praca w biurze, jaką Iwona znalazła po niezupełnie ukończonych studiach, okazała się jej największym osiągnięciem życiowym. Spędziła w niej wiele lat, bo właściwie nie miała większych ambicji, ale i stamtąd w końcu ją zwolnili. Właściwie zlikwidowali całe biuro, ale efekt – tak czy inaczej – był ten sam.

Oczywiście próbowała potem znaleźć sobie nowe zatrudnienie. Przed pierwszą rozmową kwalifikacyjną starannie się przygotowywała, żeby wystawić się na sprzedaż jak najlepiej, ale im dłużej się przygotowywała, tym bardziej się denerwowała. Czuła się stara i śmieszna. To zdenerwowanie

osiągnęło swoje apogeum, gdy stanęła przed dwuosobową komisją. Był tam facet w średnim wieku, wyraźnie kierownik, i jakaś elegancko ubrana kobieta, z dziesięć lat od niej młodsza, która przez cały czas coś zawzięcie notowała.

– Proszę spróbować przedstawić nam swoje umiejętności – powiedział facet.

Iwona na chwilę zamarła na krześle obezwładniona stresem, ale wtedy przyszło olśnienie: wstała i zaczęła robić pajacyki. Ruchy pamiętała jeszcze z przedszkola – podskok z rozszerzaniem nóg i klaskaniem nad głową, i powrót do pozycji wyjściowej. I znowu, i znowu. Komisja patrzyła na nią z niedowierzaniem, kobieta aż przestała robić notatki. Widać było po ich twarzach, że zrobiła na nich wrażenie.

– Dziękujemy bardzo, to wszystko – wykrztusił w końcu facet. Iwona ukloniła się z teatralnym rozmachem i wyszła.

Potem była jeszcze na kilku rozmowach kwalifikacyjnych, ale – chociaż miała wrażenie, że pajacyki wychodzą jej coraz lepiej – nikt nie oddzwonił.

Pieniądze szybko się skończyły i musiały się wyprowadzić z wynajmowanej kawalerki. Co miała w tej sytuacji zrobić? Nie pozostawało jej nic innego, jak przełknąć dumę i wrócić do mieszkania rodziców. Próbowała zatelefonować do matki, ale tamta nie odbierała. W końcu Iwona spakowała wszystkie swoje rzeczy w jedną dużą walizkę i po prostu tam pojechała. Na dobijanie się do drzwi nikt nie zareagował, ale na szczęście wciąż miała klucze.

Po ponownym wprowadzeniu się do swego dawnego mieszkania odkryła, że mama gdzieś zniknęła, a od taty – który, jak wiadomo, od czasu swego zachorowania był dość mało mówny – trudno było uzyskać na ten temat jakiegokolwiek informacji. Iwona jednakże, ku swemu niejakiemu zdziwieniu, odkryła jednak, że czuje się teraz w jego towarzystwie nieoczekiwanie dobrze, a mieszkanie rodziców – pełne kurzu, rozpadających się mebli i wspomnień z dzieciństwa – wydało się jej całkiem przytulne.

Niestety: wszelkie znaki wskazywały, że idylla nie potrwa długo. Z korespondencji, którą listonosz wrzucał do skrzynki, szybko wywnioskowała, że czynsz od wielu miesięcy nie był opłacany.

Prąd też był już odłączony. Przychodziły jakieś awiza na pisma z sądu, ale nie mogłaby ich odebrać z poczty, nawet gdyby chciała, bo były adresowane na mamę. No i wreszcie ta wciśnięta w drzwi kartka sprzed dwóch dni, w której zmaterializowały się jej niepokojące przeczucia...

Ktoś zaczął pukać – wpiersz spokojnie i dość cicho, ale z biegiem czasu coraz głośniejsz i coraz agresywniej. Iwona z ociąganiem podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer: na korytarzu stał jakiś facet.

– Kto tam? – zapytała.

– Komornik sądowy, Ireneusz Wlazło.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Iwona i zaczęła wracać do pokoju.

– Proszę otworzyć, bo wrócę z asystą policji – wrzasnął stojący na korytarzu osobnik.

Iwona westchnęła i odsunęła zasuwę. Facet sam nacisnął klamkę i, zmuszając ją do cofnięcia się, wprosił się do środka.

– Czy jest pani właścicielką lokalu? – zapytał.

– Nie.

– To kim pani jest?

– Córką.

– Poproszę jakiś dokument potwierdzający tożsamość.

Iwona sięgnęła do torebki, która wisiała na wieszaku w przedpokoju, i zaczęła szukać dowodu, ale robiła to z ślimaczą powolnością. Myśl o kontynuowaniu interakcji z tym typem z sekundy na sekundę wydawała jej się coraz bardziej obmierzła. Coraz poważniej rozważała opcję zupełnego zamarcia w bezruchu, kiedy komornik, który najwyraźniej znudził się czekaniem, przepchnął się obok niej i wszedł do pokoju.

– Mam prawo przeszukać miesz... – zdążył jeszcze powiedzieć, ale urwał w pół słowa, bo najwyraźniej natknął się na tatę.

Zaciekawiona Iwona zerknęła do pokoju i zobaczyła, że tata przysuwa się do gościa.

– Obożeboże – powiedział Ireneusz Wlazło.

Tata przybliżył do jego głowy swój aparat gębowy i czaszka komornika zrobiła „chrup”.

– Ależ, tato, to był ulubiony dywan mamy – powiedziała Iwona, widząc, jaki zrobił się bałagan, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu. – Mam nadzieję, że pomożesz mi teraz w sprzątaniu.

W zasadzie prośba nie była jednak potrzebna – tata, energicznie ruszając szczękami, żwawo sprzątał już to, co leżało na dywanie. Pod wieczór po nieproszonym, choć zapowiedzianym, gościu pozostało tylko kilka plam.

– A więc wygląda na to, że trochę sobie jeszcze razem pomieszkamy – powiedziała Iwona do ojca. Od dawna nie czuła się tak dobrze.

Na doładowywanym w bibliotece publicznej smartfonie puściła swój ulubiony Kanon D-dur Pachelbela. Tata też bardzo lubił ten utwór. Potrafił dawać temu wyraz całym sobą – rytmicznym pulsowaniem i grą zmieniających się kolorów, która wpiersz obejmowała jeden z członów jego ciała, ale z czasem obejmowała wszystkie pozostałe. Były to swego rodzaju improwizacje osnute wokół głównego tematu; wydawały się mieć głęboko osobisty charakter. Miała wrażenie, że opowiadają historię ich życia.

Iwona z uśmiechem spojrzała tacie w oczy – miała ich teraz tyle do wyboru!

Kiedyś, pod wpływem matki, wierzyła, że ojciec jest żalonym nieudacznikiem, ale teraz, po latach, zrozumiała, że jest głęboko wrażliwą osobą.



RADIO SK
POLSKI PODCAST O STEPHENIE KINGU



A N O M A L I E

Czarne Słońce jak to Czarne Słońce. Wisiało na niebie. Już nie patrzył na nie zza okna. Nie miał po co. Nie świeciło. Po co mu było takie Słońce, które nie dawało promieni? Czasem łaskawie obdarzyło świat przeblyskiem czerni na jego powierzchni, ale nic ponadto.

Było gdzieś, daleko. Nie mógł go dostać. A nawet gdyby próbował się do niego zbliżyć, przyplaciliby ogromną cenę. Więc zostawał tam, gdzie był. W zewnętrznym świecie było jak zwykłe podobnie. Ludzie chodzili po ulicy, sklepy były czynne. Nie było chyba tak źle. On też coś robił, miał swoje zajęcie. Zastanawiał się, czy jedynym sposobem na wymazanie Czarnego Słońca ze swojej świadomości nie jest może jego zniszczenie.

Ale jak miał to zrobić? Ono było wysoko na niebie, a on na ziemi. Więc? Może musiał użyć sposobu. Sposobu, aby ogóle istnieć, skoro ma je za zapomnieć, że ono w ogóle istniało, skoro ma je za oknem? Zagwozdka. Już te latarnie dawały więcej blasku. I czy rzeczywiste stanowilo dla niego tak duży problem? A może miał pozwolić mu żyć?

— Za chwilę wezmę nóż i zmiotę to Słońce z nieba!

Oczywiście nożem dało się je zmiotć. Taki „piękny umysł” jak Jacek potrafił nawet Słońce zdjąć z nieba. A co dopiero przejechać po nim nożem. Momentalnie na Słońcu pojawiły się rysy. Zaczęło broczyć czerwona, jak porzeczeki krew. Westchnęło. Mówiło, żeby nie robić mu więcej krzywdy.

Jacek posuchał. Schował nóż. Przeprosił, na ile to możliwe, Słońce, a ono się zablizniło nie pozostawiając na swojej powierzchni żadnych śladów po ułcutiu.

TALAL FLEISCHMANN

W końcu się odezwalo.

— Odwróć głowę w inną stronę świata. Myślę, że tam są ciekawsze rzeczy niż po tej stronie nieba. Chcę, żebyś nie cierpiał z powodu braku Słońca, jakim jestem ja. Bo ja nie daję blasku. Zrozum to i pogódź się z tym. Jedyne co mogę Ci przynieść to przykrość. Takie już jestem. Że przynoszę ludziom smutek. Taka jest moja natura. I nie chcę też, żebyś mnie więcej ranił. Musimy się rozstać, Ty i ja. Oboje zbierzemy plony z tego rozbratu.

Dla Jacka było to dosyć przykre. Nie mówił, że nie. Ale wiedział, że tak trzeba było zrobić. Miał przez to jeszcze bardziej pograżać się w czarnej rozpacz (tym razem już bez udziału Czarnego Słońca). Co pozostało? Eksploracja innych Wszechświatów. Mały Książę, kurwa mać.



JEJ OCZO-DOŁY

znalazł On czaszkę
samotną głowę
co z martwych liści
miała koronę

widać ją zesłał
przewrotny los
On ją przygarnął
było w niej coś

i tym sposobem
On nie był sam
czytał jej prozę
melodie grał

na imię dał jej
skończona Prawda
kruche jest życie
przypominała

i polski Hamlet
nie był samotny
czekała czaszka
gdy wracał w kąty

bo trzeba cieszyć
się z tego co ma
lepiej ze śmiercią
niż po wieczność sam...

EPITAFIUM

ona znów odwiedziła nekropolię
pod czarnym szalikiem kryjąc łzy
i jak podczas każdej cichej wizyty
zostawiła białe sztuczne kwiaty

on dość często też tu zachodzi
zawsze skrycie pod osłoną nocy
ciężarem myśli spuszczoną ma głowę
i chłód granitu polewa wódką

na tym nagrobku jest epitafium
wryte złością strachem i krzykiem
„niechciana miłość po kres tu leży
tą w którą oni się bali uwierzyć”

SZTUKA NAIWNA

to on jest złym elementem
którego szaleni matematycy
próbują na siłę dopasować
do jakiegokolwiek znanego im kształtu

on jest rostrojonym żołądkiem
tym karmionym przez rurkę
ich akademicką piękną polszczyzną
którą trawi i wydalą jako wulgaryzmy

jest żywą plastyczną masą
z której ich dłonie tak desperacko
i bezskutecznie próbują ulepić
coś na wzór własnego podobieństwa

to oni Frankensteini którzy
zszywają ze swoich koszmarów
i z wygórowanych oczekiwań demona
z sercem wprost z zamrażalki

to oni samozwańczy stwórcy
ci beznadziejni głupcy...

WCZORAJSZE STALOWE MOTYLE

wczorajsze stalowe motyle
przerdzewiały są zmęczeniem
ale jeszcze pragną w duszy
choć raz zatańczyć w niebie

wczorajsze stalowe motyle
hartowane ogniem wodą
zawiasami skrzydeł skrzypią
choć raz wznieść się już nie mogą

wczorajsze stalowe motyle
farba na nich już wyblakła
choć sztuczne i niechciane
one pragną wciąż do światła

wczorajsze stalowe motyle
dla nich tylko jedna rada
żeby poczuć ciepło wiatru
muszą wreszcie się pośladać





MATERIAŁY PROMOCYJNE ZESPOŁU

**KONCERT PROMUJĄCY PŁYTKĘ „WENDIGO”
KRAKÓW, 5 LISTOPADA, 2022, ALCHEMIA**





WROTA PIEKIELNE

I

Trzydzieści lat to wiek, w którym jest się nieśmiertelnym. Człowiek ma wrażenie, że nigdy nie umrze. Jeżeli jest zdrowy, w formie, to nie ma pojęcia, co to serce czy wątroba. Pije, pali a mimo to czuje się Bogiem.

Igor był w takim właśnie wieku, kiedy poznał swoją przyszłą żonę. Ognistoruda Iza wyglądała jak zdzira. Tak, jak zdzira. I to mu się spodobało. Miała mini po pępek i dekolty po pępek. Figurę lalki Barbie. Tak właśnie wyglądała, kiedy poprosiła go o ogień na przystanku autobusowym. Jako że był w wieku nieśmiertelnym, palił jak smok. Odpalił jej fajkę, po czym wsiadł do autobusu i pojechał do domu. Na tym mogłaby się zakończyć ich oszałamiająca znajomość, gdyby nie to, że na drugi dzień kupił samochód. Golf III – niemiecka genialna myśl techniczna – był już trochę wyeksploatowany, ale jeździł i to było najważniejsze. Do roboty i z powrotem wystarczyło.

W piątek po pracy na budowie wsiadł do swojego Golfa, odpalił czerwonego Marlboro i ruszył do domu. Na przystanku znowu stała ona. Wyglądała podobnie jak wczoraj. Wjechał w zatoczkę, odkręcił szybę, wystawił dłoń, w której trzymał oryginalne ZIPPO. Przekręcił kółeczko, płomień buchnął

– Ognia? – spytał. Spojrzała na niego nieprzytomnie. Widać, że intensywnie o czymś myślała. Po wyrazie twarzy wywnioskował, że nie były to wesołe przemyslenia.

– A to ty... nie mam fajek...

– Proszę – wyjął pomięte papierosy. Sięgnęła, włożyła do ust na wpół wykruszoną fajkę. Podstawił jej wciąż palącą się zapalniczkę.

– Igor.

– Iza.

– Podrzucić cię?

– Nie znamy się... – spojrzała na niego badawczo.

– Jak to nie? Gadamy, palimy sobie razem. To już coś – zaśmiał się.

– To już coś – powtórzyła i przyjrzała mu się jeszcze uważniej. – Dobra niech będzie. Jedziesz do miasta?

Miejscowi mianem miasta nazywali niewielkie miasteczko położone na południowym wschodzie Polski. Miejscowość ta zaczęła się rozwijać po tym, jak jakiś biznesmen ze wschodu zainwestował tu w rozrywkę. Wybudował ogromny park rozrywki i hotel.

W hotelu tym przed tygodniem zaczęła pracować Iza. Była kelnerką w części barowej ogromnej dyskoteki w podziemiach Hotelu Innowacja. Jej zadaniem było roznosić do stolików zamówienia klientów oraz sprzątać puste butelki i pełne popielniczki.

Na rozmowie kwalifikacyjnej nikt nie wspomniał, że jej głównym zajęciem będzie unikanie zaczepek natarczywych, podpitych małałatów i grzeczne odmawianie na niedwuznaczne propozycje tak zwanych biznesmenów ze wschodu. Ale nie narzekała. Ze względu na swoją oszałamiającą urodę została kelnerką. Były to także kobiety, które zajmowały się sprzątaniem zarzyganych kibli. Jednym słowem mogła trafić gorzej. Poza tym, mimo dwudziestu siedmiu lat, była to jej pierwsza praca.

Do tej pory była na utrzymaniu babci, z którą mieszkała od dwudziestu lat. Kiedy była siedmioletnią dziewczynką jej rodzice wracali z pogrzebu sąsiada. Miejscowy pijak postanowił sobie w tym dniu urządzić rajd po okolicy swoim maluchem. Wyprostował zakręt. Jej rodzice zginęli na miejscu. Rok później zmarł jej dziadek na raka jelita grubego. Została jej ukochana babcia Genowefa. Za pięć lat miał wyjść z więzienia morderca jej rodziców...

II

Tydzień później byli już oficjalnie parą. W poniedziałek o piątej rano Igora obudził sms od Izy: „Kocham Cię, dobranoc”. Iza różnie w weekendy kończyła pracę. Dzisiaj on wstawał, ona szła spać. Namawiał ją, żeby się przeniosła do jego dwupokojowego mieszkania w mieście. Miałyby do pracy dziesięć minut piechotą. Odmówiła, bo przecież „co ludzie powiedzą?”. Ale wiedział, że to kwestia kilku tygodni.

Wstał, zaparzył kawę i jak co rano usiadł na tronie ze starą gazetą w rękę i Marlboro w zębach.

Potem przemył twarz, zjadł bułkę z kotлетem i sięgnął do szafy po ubranie. Duże lustro na jednych z trojga drzwi ukazało odbicie wysokiego, przystojnego blondyna. Napiął mięśnie.

Nieźle, mruknął z zadowoleniem, widząc swoje wyrobione na budowie ciało.

Jadąc do pracy, wspominał wczorajszy dzień. Kino, obiad w restauracji Hotelu Innowacja, potem pierwszy seks z Izą. Było cudownie. Lepiej niż się spodziewał. Kiedy Iza popatrzyła mu głęboko w oczy i powiedziała: „Kocham Cię”, odpowiedział: „Też Cię kocham, maleńka”. Jeszcze nigdy żadnej kobiecie tego nie mówił. Mimo to przeszło mu to przez gardło tak łatwo jak zwykle „dzień dobry”. Od tego momentu wiedział, że to ta jedyna.

Wjeżdżając na teren budowy swoim Golfem, śpiewał razem z Ryśkiem Riedlem „Whiskey”, które akurat leciało w radiu. Darł się tak, że wypadł mu z ust papieros. Roześmiał się głośno. Był najszcześliwszym człowiekiem na ziemi.

Po pracy znowu podjechał na znajomy przystanek. Czekala na niego Iza. Tym razem ubrana w dżinsy i białą koszulkę na ramiączkach. Na nogach miała znoszone trampki. Włosy upięte ciasno w kok sięgały jej do tyłka. Jesteś piękna, pomyślał Igor.

Wjechał w zatoczkę.

– Ognia? – wyjął swoje ZIPPO.

– A to ty... Nie mam fajek... – zaśmiała się Iza i wskoczyła na fotel pasażera. Miała wolne poniedziałki, więc wieczór należał do nich. – Co robimy?

– Jedziemy do mnie – mrugnął do niej Igor.

– Świntuch – uśmiechnęła się zalotnie.

– No co? Muszę się odświeżyć po pracy, potem pójdziemy coś zjeść. Wieczór zapowiada się ładny, więc możemy się powłóczyć po okolicy.

– OK – cmoknęła go w policzek.

III

O osiemnastej piętnaście wyszli z hotelowej restauracji. Zapłacili zaskakująco niski rachunek. To pewnie dlatego, że Iza tu pracowała i obsługa dobrze ją знаła. Postanowili trochę powłóczyć się bez celu po okolicy. Poszli główną ulicą kawałek, po czym skręcili w prawo, w boczną uliczkę. Tak przeszli kilkaset metrów, trzymając się za ręce i chichocząc. Potem znowu skręcili w prawo, tym razem w niewielkie krzaki, które zamieniły się w las. Po kilkunastu minutach natrafili na solidny płot. U góry wił się drut kolczasty.

– Dziwne... – Zamyślił się Igor. – Kawałek dalej powinna być tylna część hotelu. Po co tu wznosić taki płot?

– Nie mam pojęcia – odparła wesoło Iza – i gównu mnie to obcho... – Przerwał jej głośny, ogłuszający dźwięk. Był bardzo wysoki. Wwiercał się w mózg.

Oboje zasłonili uszy rękami i upadli na kolana. Dźwięk zaczął pulsować i zrobił się niższy. Przeszedł w bas. Dalej pulsował. Ziemia zaczęła drgać, po czym wszystko ucichło.

– Co to było? – Dziewczyna ze strachem spojrzała na Igora.

– Pojęcia nie mam – odparł, podnosząc się z kolan. – Wydaje mi się, że dźwięk wydobyczał się z podziemi hotelu. Nigdy czegoś takiego nie słyszałaś, będąc w pracy?

– Nie. Ale może to temu, że jest tam dyskoteka. Dudni tak, że własnych myśli nie słycać.

– No tak. Dziwne...

– Dziwne – przytaknęła.

Przez najbliższe trzy miesiące nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Zdążyli zapomnieć o dziwnym incydencie na tyłach Hotelu Innowacja.

IV

Szymona obudził jakiś szmer.

Otworzył oczy i spojrzął na podłogę. Na przeciwległej ścianie jego celi, jakieś dwadzieścia centymetrów nad podłogą, księżyc rzucał odbite przez siebie światło słoneczne. Musiała być trzecia nad ranem. Przez dwadzieścia lat w tej przeklętej celi nauczył się odczytywać godzinę z położenia światła rzuconego przez księżyc poprzez małe, zakratowane okienko. Poczul, że jakaś postać usiadła na skraju jego pryczy.

Co jest, kurwa?, pomyślał, zrywając się na równe nogi.

– Witaj, Szymonie. – Usłyszał głos jakby w swojej głowie. – Mam dla ciebie propozycję.

– Kim jesteś? – Szymon krzyknął ze strachem. – Co jest, do chuja?!

– Cicho tam, kurwa, bo ci rano nogi z dupy powyrywam. Noc jest! – odezwał się głos z celi obok.

– Cicho Szymonie, ludzie chcą spać – odezwał się znowu głos znikąd. – Masz już dość gnicia w tej celi?

– Oczywiście, że tak – odparł więzień, tym razem ciszej. – Kim jesteś?

– Przyjacielem. Nie musisz nic mówić, Szymonie. Ludzie chcą spać. Noc jest. Słyszę twoje myśli. A więc nie chcesz już tu gnić, tak?

– Tak – odpowiedział telepatycznie oszłomiony Szymon.

– Ale przecież zażyłeś. Dwadzieścia lat temu zabiłeś dwoje ludzi, jadąc pijany jak świnia swoim autem – postać zaśmiała się szyderczo prosto w jego głowie.

– Skąd o tym wiesz?! – krzyknął Szymon przerażony, ale po tym, jak z sąsiedniej celi wydobyło się soczyste przekleństwo, dodał w myślach. – Kim jesteś, na Boga?

– No, z Bogiem to ja akurat mam niewiele wspólnego. Wróćmy do mojej propozycji. Mogę sprawić, że jutro całkiem legalnie stąd wyjdiesz. Wysoko postawiony polityk zadzwoni gdzie trzeba i każe cię wypuścić. Wśród polityków mam sporo swoich ludzi. – Głos znowu się zaśmiała. – Ale musisz mi obiecać, że kiedy się z tobą skontaktuję i poproszę o pomoc, nie odmówisz.

– Ok, obiecuję. Ale wyjdę stąd zupełnie legalnie? – zapytał z niedowierzaniem Szymon.

– Zupełnie legalnie.

– Jesteś diabłem?

– Jestem twoim przyjacielem – postać poruszyła się na pryczy. Jej oczy rozżarzyły się na ułamek sekundy, po czym znikła. Tak po prostu, bez żadnego „puff” czy innego dźwięku powietrza wypełniającego pustą przestrzeń po znikającej postaci.

Szymon nie zasnął już do rana.

– Tak, kurwa, na pewno wyjdę na wolność za dobre sprawowanie po tym, jak przedwczoraj rozjebałem łeb temu pedałowi na spacerniaku – zaśmiał się ponuro.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy w południe, jeszcze przed obiadem, strażnik otworzył drzwi jego celi i rzekł znudzonym głosem.

– Pakuj się, wychodzisz.

V

W sobotę, trzynastego października, Igor zabrał Izę na obiad. Nie poszli jednak jak zawsze do restauracji hotelu, w którym pracowała, ale pojechali do uroczej knajpki oddalonej o prawie pięćdziesiąt kilometrów. Zamówili pierś z kurczaka w panierce z ryżem. Czas im mijał na snuciu planów na temat wspólnej przyszłości. Zamierzali wybudować dom, mieć dwójkę dzieci i żyć długo i szczęśliwie. Jak w bajce. Nie przypuszczali, że tych wspaniałych planów nigdy nie będzie im dane zrealizować. Zjedli obiad, po czym Igor skinął na kelnera.

– Szampana, proszę.

– Co to za okazja? – Zdziwiła się Iza.

– Wyjątkowa – Uśmiechnął się tajemniczo chłopak.

– Co ty kombinujesz?

W tym momencie podszedł kelner. Postawił na stole dwa kieliszki. Na dnie tego przeznaczonego dla Izy leżał pierścionek. Jego spore oczko połyskiwało, odbijając słabe światło kinkietów umieszczonych na ścianach restauracji. Dziewczyna nawet się nie zorientowała, kiedy Igor ukłękął przed nią. – Kochanie, zostaniesz moją żoną?

– Tak – ledwo wykrztusiła ze łzami szczęścia w oczach. – Oczywiście, że tak – rzuciła mu się na szyję i zaczęła go całować.

– To dobrze, bo już się bałem, że odmówisz
– z przesadną ulgą odetchnął chłopak.

– Kretyn – ze śmiechem rzuciła Iza i znowu ucałowała go namiętnie.

Wrócili do domu o siedemnastej czterdzieści. Iza o osiemnastej musiała być pracy. Szybko przebrała się w seksowny strój kelnerki i wskoczyła na miejsce pasażera Golfa III. Igor ruszył z piskiem opon. Do hotelu wpadła za pięć szósta. Recepcjonista podniósł głowę znad gazety. Dziewczyna machnęła mu dłonią, na palcu której lśniło oczko zaręczynowego pierścionka. Z impetem pchnęła drzwi z tabliczką „Tylko dla personelu”, wskoczyła do windy i wcisnęła guzik z napisem -1. Były też tam guziki z napisami -2, -3 i -4. Kiedyś się pomyliła i wcisnęła -2, ale i tak winda zatrzymała się na -1, czyli na poziomie piwnicy, gdzie znajdowała się dyskoteka. Widocznie niżej niczego nie było, a niższe poziomy do wyboru w windzie były niepotrzebne, albo dodane przez producenta w standardzie.

Tłumy ludzi, jak zwykle w soboty, bawili się w dyskotecę. Jej sława sięgała już daleko poza granice miasta. Młodym ludziom podobało się głównie to, że było tam o wiele taniej niż w innych tego typu lokalach. Wszyscy myśleli, że to tylko na początku tak będzie, żeby przyciągnąć klientów, ale od otwarcia minęło już trochę czasu, a ceny nie skoczyły w górę ani o grosz. A atrakcje były coraz to inne. Striptiz, walki w kisielu, regionalne wybory miss, didżeje sławni na cały kraj, a nawet Europę itd. I to wszystko w cenie normalnego biletu.

Tego wieczoru główną atrakcją była wizyta finalistek miss Polski. Dziewczyny bawily się na parkiecie cały wieczór. Były jednak nietykalne. Jeżeli jakiś krewki młodzieniec którąś zaczął zaczepiać, natychmiast koło niego jak spod ziemi wyrastał ochroniarz i delikwent łądował na chodniku przed wejściem do klubu, żegnany soczystym kopniakiem.

Wieczór upływał bez większych incydentów. Paru zbyt pijanych młodych ludzi wyleciało z hukiem za zbyt natarczywe podrywanie missek i to wszystko. Koło północy wydarzyło się coś co nikogo nie przerażyło. Oprócz Izy.

Nieoczekiwanie muzyka przestała grać. Tłumy ludzi zamarły na parkiecie. Nagle, nie wiadomo skąd, zaczął się wydobywać ledwie słyszalny dla ludzkiego ucha wysoki dźwięk. Po chwili zaczął wibrować. Iza stanęła jak wryta. W części ogromnej sali, przeznaczonej na odpoczynek, były skórzane kanapy i niskie stoliki. Akurat trzymała popielniczkę pełną petów. Kiedy dźwięk zaczął wibrować, upuściła ją, a ta roztrzaskała się o marmurową posadzkę.

Widziała, jak w tym samym czasie dyrektor hotelu, niejaki Ivan Rybakow z wściekłością wpada na salę, podbiega do didżeja i klóci się z nim przesadnie gestykulując. Mogłaby przysiąc, że jego twarz na moment zrobiła się krwistoczerwona... W końcu pochyla się nad sprzętem grającym, przepina jakieś kable i muzyka zaczyna głośno grać, zagłuszając dziwny dźwięk spod ziemi.

Dyskoteka robiła się coraz bardziej popularna. Oficjalnie mieściło się tam 1400 osób, ale Iza była przekonana, że mieści się tam tam co najmniej trzy razy tyle. Dziwne dźwięki ucichły na jakiś czas. Wydawać by się mogło, że wszystko wróciło do normy. Do czasu...

VI

Szymon po wyjściu z pierdła rozpoczął pracę w Hotelu Innowacja jako sprzątac. Początkowo bardzo go to irytowało. Mieszkała na poddaszu u swojego pracodawcy, wraz z dwudziestoma byłymi więźniami. Mieli ogarniać kilometry hotelowych korytarzy.

Po trzech dniach swojej zniechęconej pracy mył korytarz przed pokojem z krótkim napisem na drzwiach: „Prezes”. Klął niemiłosiernie wyzymając brudną szmatę nad wiadrem.

– Kurwa mać, już lepiej było w tym jebanym pierdлу. – Drzwi „Prezesa” powoli zaczęły się otwierać.

– Co do chuja – rzucił z zaciekawieniem Szymon.

Oparł miotłę z narzuconą na nią brudną szmatą o ścianę i pochylił się w stronę otwartych drzwi. Stał tak, że głowę miał wewnątrz pokoju Prezesa, a resztę ciała na zewnątrz. Nagle drzwi gwałtownie się zamknęły, uderzając go w kark. Znalazł się w potrzasku. Nie mógł się ruszyć. Zaczął wrzeszczeć i kląć na czym świat stoi.

– Spokojnie, Szymonie – usłyszał z wnętrza ciemnego pokoju. – Wejdz. – Drzwi powoli zaczęły się otwierać.

Szymon wrzeszczał i kłął niemiłosiernie. Tak się szarpnął, że kiedy drzwi jeszcze nie do końca wypuściły go ze swego uścisku, uwolnił się, nadrywając sobie lewe ucho. Z impetem uderzył o przeciwną ścianę korytarza. Z wewnątrz wciąż ciemnego pokoju usłyszał złowieszczy śmiech.

– Szymonie czy czegoś mi nie obiecałeś? – zapytał głos z wnętrza pokoju.

– To ty... – z zaciekawieniem i strachem odparł Szymon, trzymając się za krwawiące ucho.

– Tak to ja. Wejdz. – Wnętrze pokoju powoli zaczęła ogarniać czerwona poświata. W końcu światło zrobiło się na tyle silne, że Szymon zaczął dostrzegać kontury wystroju pokoju Prezesa. Szafa na dokumenty, mały okrągły stolik z dwoma fotelami w rogu po prawej, i to wszystko. Nic szczególnego. Kiedy czerwone światło, którego źródła nie sposób było określić, wzmocniło się na tyle, że mógł dostrzec wielkie czarne biurko, za którym siedziała jakaś postać – zamarł z rozdziawioną szeroko gębą, ukazując resztki zepsutych zębów. To był on...

VII

– Jesteś pewna, że to był ten sam dźwięk? Może to była jakaś chora zaplanowana akcja didżeja? – Igor trochę sceptycznie podszedł do rewelacji swojej narzeczonej.

– Jestem pewna – odburknęła Iza z lekkim fochem. – Tego dźwięku nie da się zapomnieć.

– No dobra, a z tą windą to co jest nie tak?

– No właśnie, zauważyłam to już wcześniej, jednak uznałam to za mało ważne. Te trzy poziomy poniżej -1 to pewnie standardowe wyposażenie w windach tego typu. Pewnie producent sprzedaje je do podziemnych, wielopoziomowych parkingów... Ale ostatniej nocy dało mi to do myślenia przez ten diabelski dźwięk.

– No fakt, dźwięk był diabelski – przypomniał go sobie, kiedy był z Izą na tyłach Hotelu Innowacja, i przeszedł go dreszcz. Przytulił swoją przyszłą żonę mocniej, naciągnął kołdrę aż na głowę i zasnął w kilka minut później.

VIII

– Igorze, czy nie musisz czegoś zrobić?

– Czego?

– Czy nie musisz kogoś zabić?

– Kogo?

– Izy, twojej przyszłej, niedosłej żony.

Śmiech.

– No muszę.

Igor poszedł do kuchni, otworzył szufladę i wyjął z niej długi, cienki nóż. Wrócił do sypialni. Podszedł do łóżka, w którym spała jego śliczna narzeczone. Kołdra jej się zsunęła do połowy brzucha. W świetle księżycy widział jej śliczną twarz z długimi, naturalnymi rzęsami. Duże, teraz zamknięte oczy. Bujne, rude włosy sięgające do krągłych pośladków. I kształtne sterzące piersi.

Jesteś piękna – pomyślał i wziął potężny zamach. Ugodził ją nożem w lewe oko. Widział wszystko w zwolnionym tempie. Nóż przeszedł przez powiekę i rozsadził gałkę oczną. Poczul jak ostry, spiczasty koniec noża uderzył i zatrzymał się na wewnętrznej części potylicy, przechodząc gładko przez mózg. Najpierw wypłynęła przezroczysto-biała maź, potem bryzgnęła krew.

Iza otworzyła drugie oko i spojrzała na Igora. Uśmiechnęła się. Jej białe zęby w kilka sekund zrobiły się żółte. Niektóre zaczęły pękać z głuchym trzaskiem gałęzi pękających na mrozie. Z ust wypłynęła jej krew, początkowo słaba strużka zaczęła przybierać na sile. W końcu z siłą wody wypływającej z węża strażackiego, rzuciła Igora o ścianę sypialni.

Nóż wypadł mu z ręki. Krew nagle przestała lecieć. Igor upadł na podłogę. Iza wstała z łóżka. Brodząc po kostki we własnej krwi, podeszła do narzeczonego. Złapała go za gardło, spojrzała mu w twarz jednym okiem, roześmiała się, ukazując popękane, żółte zęby.

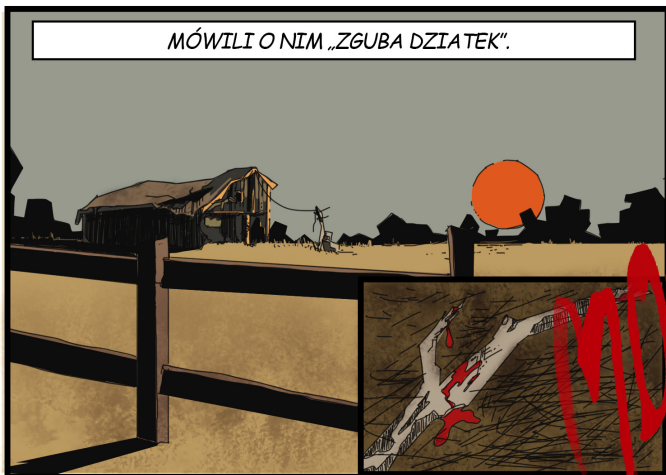
– Witajcie w Piekło – rzekła silnym, męskim głosem.

Igor obudził się złany potem. Szybko spojrzał na Izę. Spała. Co za ulga. Poszedł do łazienki, umył twarz zimną wodą, wrócił do łóżka, mocno przytulił swoją przyszłą żonę. Nie spał do rana. Postanowił, że za żadne skarby nie opowie Izie swojego snu.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

MÓWILI O NIM „ZGUBA DZIATEK”.

„CZERWONY KRĘTACZ!”



MORDERCA

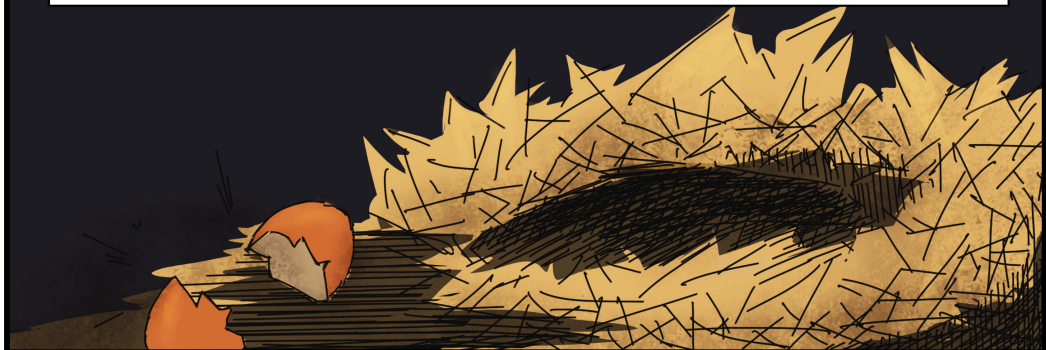


PRZYCHODZIŁ, KIEDY GASŁY ŚWIATŁA, A WSZYSCY SPALI.

PODOBNO WŚLIZGIWAŁ SIĘ PRZEZ DZIURĘ, ALE NIKT NIE WIE GDZIE.

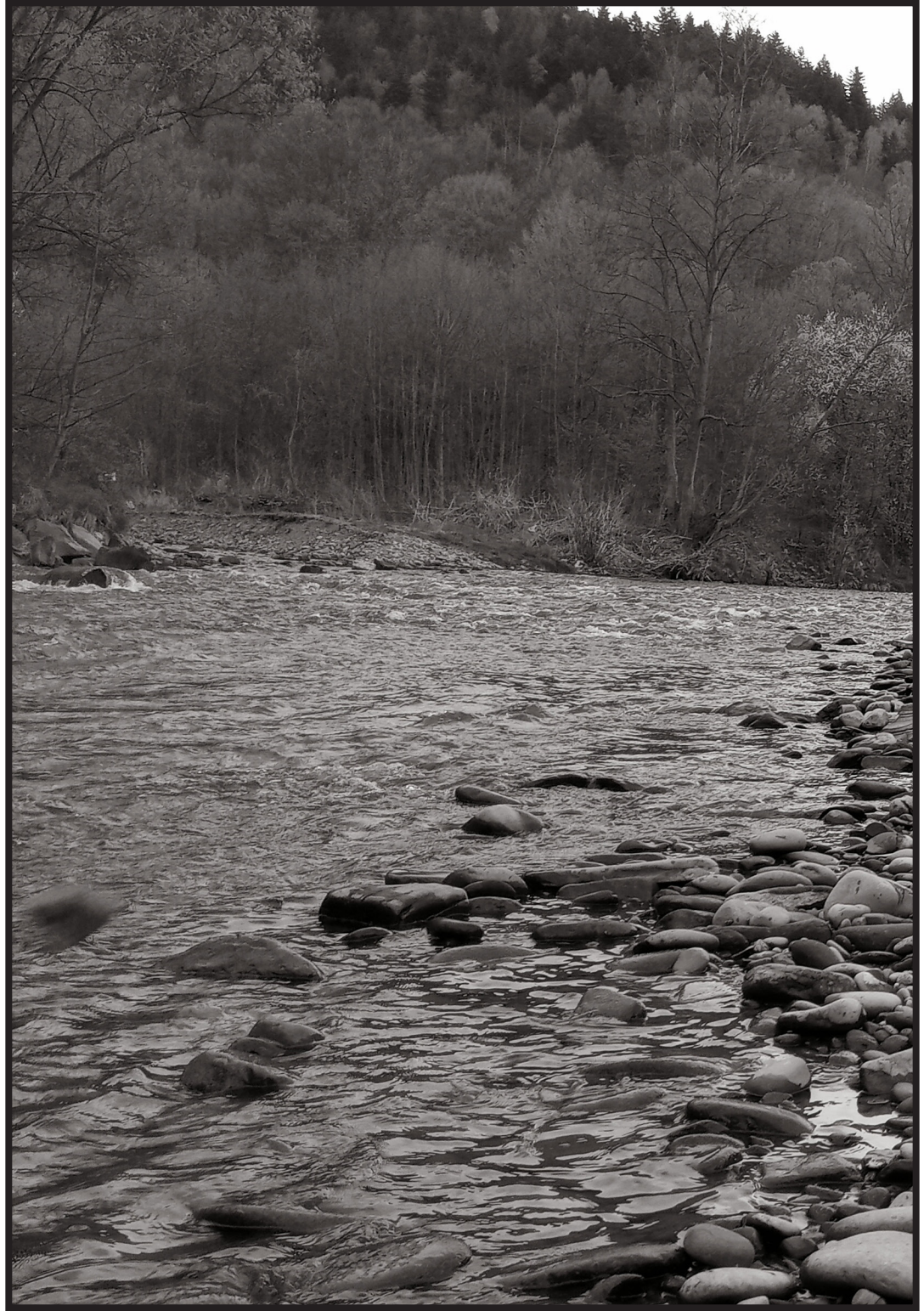


NIE MOGLIŚMY SIĘ BRONIĆ.



DAWNO
NIE BYŁO TU LISA.

WIĘC MUSI BYĆ
POTWORNIE
GŁODNY.



SIWA WODA

Pewnego dnia, w wiosce Jeziorno Białe, zamiast kogutów, wszystkich obudziły krzyki.

– Woda w rzece zbielała! Woda zbielała! – wołał najpierw jeden, potem co najmniej tuzin głosów.

I rzeczywiście. W pośpiechu ubrani mieszkańcy już po chwili stali nad kamiennym brzegiem i przecierali oczy. Jeszcze wczoraj tafla była idealnie przejrzysta, a dzisiaj... Nie można jej było nawet nazwać mętną, była po prostu biała. Tego dnia nikt nie wykonał swoich obowiązków. Kapłan bogini Adah, Akamir, użyczył sali kościelnej na nadzwyczajne zebranie. Wszyscy pomieścili się bez trudu. W pomieszczeniu panował nieprzerwany gwar głosów. Ludzie kłócili się zawzięcie. Mieszkańcy podzielili się na dwa obozy. Jednych, którzy uważali, że wioskę należy uznać za straconą i poszukać innego miejsca do zamieszkania i drugich chcących prosić bogów o pomoc odmawiających zostawienia swoich domostw. Każdy miał inny powód, dla którego opowiadał się po jednej ze stron, dlatego do sporów dochodziło dosłownie między wszystkimi. W końcu na mównicę wyszedł kapłan Akamir. Spróbował uciszyć gawiedź ruchem dłoni, a gdy to nie zadziałało uderzył kilka razy łaską w posadzkę.

– Proszę o uwagę! Proszę o uwagę! – przemawiał spokojnym, lecz donośnym głosem – Wiem, że wszyscy jesteście poruszeni, ale zachowajmy spokój. Inaczej do niczego nie dojdziemy- momentalnie zrobiło się ciszej, jednak nie każdy zamierzał usłuchać.

– Sam se zachowaj spokój! Łatwo ci mówić jak to wszystko przez ciebie! W rzece wszystkie ryby pomarły! Woda nie nadaje się już do niczego poza obracaniem młyna.

– Właśnie! Mam kuzyna, co mieszka tam, na zachodzie. Mówił, że dokładnie tak się samo stało, w niedługo po wybudowaniu tamy. A to wasście na budowę tamy nalegali!

– Proszę, moi mili – kapłan nie da się ponieść emocjom – rozumiem wasze wzburzenie. Zapominacie jednak o dwóch rze-

czach. Po pierwsze, przy naszej wiosce leży przecież jezioro, którego woda, odkąd pamiętamy, jest dokładnie tak samo biała jak w tej nieszczęsnej rzece. To od początku był wyraźny sygnał by nie osiedlać się tutaj. Po drugie Adah i Lateef nad nami czuwają, a to co się dzisiaj stało to znak. Znak, że należy ruszać, by zamieszkać gdzie indziej- poprawił wysoką mitrę z wygrawerowanym trójkątem i nasunął ją głębiej na czoło, czekając, aż mieszkańcy przetrawią jego słowa. Był urodzonym mówcą, w dodatku miał bogów po swojej stronie, więc podnoszące się niepewne głosy sprzeciwu, były natychmiast uciszane przez najbliższych wieśniaków.

– Tak, tak. Jako sołtys popieram te słowa! – Sołtys Czesław, dotychczas nerwowo stojący razem ze wszystkimi, skorzystał z okazji i wspiął się na mównicę. Szybko jednak z niej zszedł, pod ciężarem spojrzenia Akamira i wstydem wywołanym praktycznie zerową reakcją na jego słowa.

– Wiem, że to dla nas wszystkich niezmiernie ciężkie, ale już dziś musimy zacząć przygotowania do wyprowadzki – ciągnął dalej kapłan. – Okres Przejścia się kończy, a musimy wyruszyć przez nadejściem Okresu Śmierci, kiedy mróz uniemożliwi nam przetrwanie. Do tego czasu będziemy musieli pić głównie mleko. Co dzień rano wysłemy też grupkę ochotników do najbliższego strumienia, by napełnili tyle bukłaków ile zdołają. Będziemy je rozdzielać sprawiedliwie, właśnie tu w tej sali. W dłuższej perspektywie takie rozwiązanie nie dałoby rady jednak na teraz musi nam wystarczyć. Niech Adah i Lateef mają nas w opiece - wykonał ręką znak trójkąta.

Sołtys Czesław wyraźnie chciał coś dodać jednak ostatecznie się rozmyślił. Mieszkańcy powoli zaczęli rozchodzić się do swoich chat. Większość z nich, choć niechętnie, musiało przyznać, że Akamir miał rację.

Beolgast, miejscowy kowal, jako jeden z pierwszych wyszedł z kościoła i natychmiast zganił wrokiem córkę. Dziewczynka szybko odskoczyła od drzwi i zaczęła

z wielkim zainteresowaniem przyglądać się chmurom.

– Przecież mówiłem byś została w domu-burknął, jednak bez przesadnej złości.

– Och no, kiedy to tak ciekawe!

– Niestanka, ta ciekawość kiedyś źle się dla ciebie skończy. Jedyne co musisz wiedzieć to to, że opuszczamy naszą wioskę.

– Jak to? Na zawsze?

– Tak – dziewczynka jęknęła.

– Czy w nowej wiosce też będą tak fajne drzewa do wspinaczki? – spytała choć czuła, że nie to było najważniejsze. Cała ta sprawa wydała się jej bardzo tajemnicza i pociągająca, wręcz magiczna.

– No pewnie, nawet fajniejsze.

Wrócili do domu i zjedli zaległy obiad. Niestanka niedługo później położyła się do łóżka. Nie zamierzała jednak spać. Koniecznie musiała się dowiedzieć czegoś więcej. Nasłuchiwała uważnie. Kiedy księżyc wszedł wysoko, zaryzykowała i wyszła z pokoju. Beogast spał jak kamień. Dziewczynka na palcach zeszła po schodach i modląc się, żeby drzwi nie skrzypnęły zbyt głośno, wyszła za zewnątrz. Odetchnęła kilka razy nocnym powietrzem po czym skierowała się w stronę lasu.

Na guślarza patrzono w wiosce kosym okiem. Kapłani nie przebierali w słowach mówiąc o jego pogańskich praktykach lub niezrównoważonej naturze. Jednak tolerowano go, ponieważ jego rady często okazywały się ratować sytuacje, w której wszystkie inne metody zawiodły. Czy to maść na bolące kolana, czy sposób, by krowa zaczęła znów dawać mleko – wszystko to gwarantowało mu nietykalność. Niestanka nie dogadywała się najlepiej z innymi dziećmi, więc większość wolnego czasu spędzała u niego. Uczyla się o ziołach lub słuchała niesamowitych historii o świecie. Chatka guślarza znajdowała się w pewnej odległości od wioski, w zagajniku jagodowym, niedaleko lasu.

Dziewczynka odetchnęła z ulgą widząc palące się w oknach światła. Choć była dzielna, nawet ją samotny, nocny spacer napawał niepokojem. Stała na zamszonym ganku i weszła bez pukania- guślarz nie lubił tego dźwięku.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry Niestanko – odpowiedział jej wysoki, stary głos. Guślarz siedział na prostym krześle przodem do kominka, nad którym gotowała się jakaś tajemnicza substancja. – A właściwie dobra noc. Usiądź proszę.

Dziewczynka usiadła na taborecie przed nim. W blasku ognia jego, długie do pasa białe włosy, zdawały się mienić na pomarańczowo. Podobnie z resztą jak luźna szata. Na kolanach trzymał grubą książkę, którą teraz złożył i odstawił na stolik. Na okładce widniały różne rodzaje kwiatów oraz słowa, których Niestanka nie umiała przeczytać.

– Co cię sprowadza o takiej porze?

– Rzeka.

– Rzeka kazała ci tu przyjść?

– Nie no. To, że jest biała. Czemu tak się stało? Możemy coś zrobić? – Guślarz westchnął i oparł się wygodniej. Widać było, że również długo o tym myślał.

– Teraz już nic. Ludzie musieli by pamiętać o Akono i Tefnut... a nawet to nie oznaczałoby pewnego powodzenia. Poza tym, kapłani Adah na pewno nie będą chętni do rozmowy na ich temat.

– O Akono i Tff... Tenfu... – próbowała dopytać.

– Widzisz, żeby zrozumieć, czemu to się stało, trzeba znać historię naszego świata. A przede wszystkim chcieć ją poznać, a nie wypierać – to ostatnie dodał przyciszonym, lekko poddenerwowanym głosem. – Poza znanymi ci Adah i Lateef istniała jeszcze dwójka bogów. Tefnut, odpowiedzialna za sprawy związane z wodą i Akono mający spajać ją z ziemią, czyli obowiązkami Lateef. Akono zazdrościł Adah władzy oraz ilości jej wyznawców. Jest w końcu boginią wszechwładczą, więc w większości spraw ludzie zwracali się... wciąż zwracają się do niej.

Więc podczas Święta Życia Akono zamienił się w najpiękniejszy z tysięcy wianków, które ludzie puszczały w dół rzek, na jej cześć. Zachwycona Adah natychmiast chciała go przymierzyć, a wtedy Akono zsunął się jej na szyję i zacisnął mocno. Gdyby nie pomoc Tefnut i Lateef, udało by mu się zrealizować swój plan. Adah zrozumiała wtedy, że nie może nikomu tak naprawdę zaufać. Nie chciała zabijać Akono, jednak musiała przecież jakoś

zareagować. Postanowiła przejąć kontrolę nad każdym z bogów, tak by w każdej chwili mogła narzucić im swoją wolę. Aby to zrobić musiała nakreślić na ich czołach potężne znaki blokujące. Akono stchórzył i pokornie dał sobie wyciąć symbol dwóch splecionych okręgów

Za próbę zabójstwa został wyrzucony ze świata bogów. Będzie mógł wrócić dopiero kiedy przeżyje sto tysięcy lat jako człowiek. Lateef również uznał, że tak będzie najlepiej i Adah wyryła mu symbol zaokrąglonego trójkąta. Jednak Tefnut zanadto ceniła sobie wolność. Adah zdążyła zrobić tylko jedno płaskie nacięcie po czym bogini wody zerwała się i uciekła.

Powiadano, że ukryła po malutkiej częście siebie w każdej rzece, oceanie, strumyku a nawet kałuży – dlatego Adah nigdy nie znalazła jej odnaleźć. Wygląda na to, że Tefnut umiera lub się starzeje, bo od jakiegoś czasu, kiedy cokolwiek zaburzy naturalny bieg wody – nie ważne czy tama, czy zwalone kamienie – ta momentalnie bieleje i staje się trująca. Jeziora powstałe przez odłączenie się zakoli rzek również tak mają. Stąd nazwę ma nasza wioska... – Zamyślił się. – Na czym ja skończyłem... A tak! Pozostała więc już tylko dwójka bogów. Adah i Lateef musieli od wtedy troszczyć się o wszystko. Spraw było tak wiele, że przestali odpowiadać na modlitwy. Osobiście uważam, że nie mają dość siły by samemu utrzymać cały świat. Drzewa powoli umierają, w morzach jest coraz mniej wody... W każdym razie, Tefnut i Akono zostali odkryci hańbą i stali się tematem tabu. Boscy kapłani doznali szeregu wizji, w których Adah nakazywała zburzenie ich świątyń. Tak się stało i pamięć po nich prawie zupełnie wygasła. W mojej młodości tę historię znali już jedynie najstarsi i to też z czasów dziecięcych, od swoich babć i dziadków. Opowiadali ją ku przestrodze młodym i zbyt ambitnym. Teraz już niemal nikt nie pamięta, a gdy ktoś choćby coś napomknie, kapłani Adah od razu nazywają takie osoby heretykami. Czy ta odpowiedź cię satysfakcjonuje?

Niestanka siedziała przejęta. Baśnie zawsze ją poruszały, jednak świadomość, że ta nie była jedynie wymysłem przejeźdnego minstrela potęgowała te uczucia.

– Czy wszystko w porządku? Może należał ci herbaty? – dziewczynka pokręciła głową.

– Chyba muszę już iść- wstała i nie patrząc na guślarza podeszła do drzwi. Na jego twarzy, z której rzadko dało się odczytać jakiegokolwiek emocje, malowała się troska. Chciał pożegnać się z dziewczynką jednak ta zdążyła już zniknąć w ciemności.

Biegła jak szybko umiała. Na ciemnym niebie odznaczała się jeszcze ciemniejsza bryła, która służyła jej jako drogowskaz. Była to sporych rozmiarów skała nazywana Pękniętą Skałą, ze względu na pojedyncze, nieregularne wgłębienie na czubku stosunkowo płaskiej powierzchni. To przy niej znajdowało się źródło, od niedawna, białej rzeki.

Niestanka minęła mury wioski i już po chwili znalazła się przy tamie. Weszła na platformę po śliskich drewnianych schodach, po czym do rana próbowała zrobić choćby najmniejszy wyłom. Najpierw ciągnęła za belki, potem próbowała je rozszczelnić zaostrozonymi kamieniami, później już tylko uderzała lub kopała zawzięcie. Zaowocowało to jedynie odrapanymi dłońmi i stopami.

O wschodzie słońca Beolgast zorientował się, że córki nie ma w łóżku. Przeszukał cały dom, potem podwórko i jej ulubione drzewa. Zaczynał się już poważnie denerwować, jednak gdy tylko wyszedł poza drewniane mury dostrzegł drobną sylwetkę leżącą na mostku przy tamie. Niestanka spała, zmęczona i nawet szum wody nie mógł jej obudzić. Beolgast obiecał sobie, że gdy tylko mała wstanie, spyta ją skąd się tam wzięła i niezależnie od odpowiedzi, wymierzy surową karę

Gdy jednak kilka godzin później wszystko mu wyjaśniła, uśmiechnął się smutno i tylko mruknął coś o złym wpływie guślarza. Nie miał teraz czasu zajmować się takimi sprawami. Zgłosił się, wraz z kilkoma innymi mężczyznami, od następnego dnia przynosić co rano bukłaki z wodą. Musiał też pozalać i spakować jeszcze wiele rzeczy, przed zbliżającą się nieubłaganie podróżą.

Wyruszyli niedługo później. Na południe, w stronę morza, gdzie rzek było pod dostatkiem. Myśliwi szli na czele z sołtysiem Czesławem i kapłanami, i pilnowali by pochod nie zbaczał z obranego kierunku. Co jakiś czas

wysyłali do przodu zwiadowców, mających zorientować się czy w pobliżu znajduje się jakieś źródło wody pitnej.

Bardzo szybko zdecydowali się zabić lub wypuścić sporą część krów i świń. Stanowiły zbyt duże obciążenie a dodatkowe jedzenie zawsze było mile widziane. Pierwotnie zamierzali robić tylko jeden postój dziennie. Jednak już trzeciego dnia wędrówki okazało się to niemożliwe, ze względu na dzieci oraz tych najstarszych i najbardziej schorowanych.

Sz szczególnie ciężko podróż znośli kapłan Akamir. Kiedy tylko mógł, oddalał się a wróciwszy po wielu minutach – zawsze mówił coś o bólu brzucha albo „intymnych dolegliwościach”. Pewnego wieczora Niestanka postanowiła pójść za nim. Byli wtedy mniej więcej w połowie drogi i obozowali przy niewielkim strumieniu. Schowała się w krzakach za drzewami i obserwowała uważnie.

Pierwszy raz widziała wtedy kapłana bez jego wysokiego nakrycia głowy. Ze zdziwieniem dostrzegła, że gdy dotknął resztek swoich włosów, kosmyki natychmiast wypadły i przemieniły w wodę. Ciecz spłynęła mu na czoło i rozmasowała nieumiejętnie nałożoną farbę.

Kapłan pochylił się nad strumieniem i zmył ją całą. Kiedy wstał i się odwrócił Niestanka zobaczyła brzydką, źle zagojoną bliznę w kształcie dwóch splecionych okręgów. Mogła przysiąc, że gdzieś już taką widziała lub o niej słyszała, ale za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Zrobiło jej się żal kapłana. „To dlatego zawsze tak głęboko nasuwa tą swoją czapkę”, pomyślała. Mężczyzna wyjął z kieszeni szaty zeszycik i, sądząc po ruchu dłoni, napisał literę „i” lub „l”. Westchnął ciężko. Niestanka poczuła, że patrzy na coś bardzo osobistego, czego nie wypada podglądać. Zawstydzona wróciła do obozu, w którym jej ojciec właśnie pomagał rozpałać ogniska.

Choć wielu zdążyło już zwątpić, w końcu dotarli w miejsce, o którym od tygodni donosili im zwiadowcy. Przecinały się tam dwie rzeki więc uznali, że nada się w sam raz. Wybudowali tam osadę i żyli w niej dostatnie przez długie lata. Pewnego dnia gdy zupełnie już dorosła Niestanka obudziła się obok

męża, usłyszała przeraźliwe krzyki, bynajmniej nie dochodzące z izby jej dzieci.

– Woda w rzekach biała! Woda zupełnie biała!

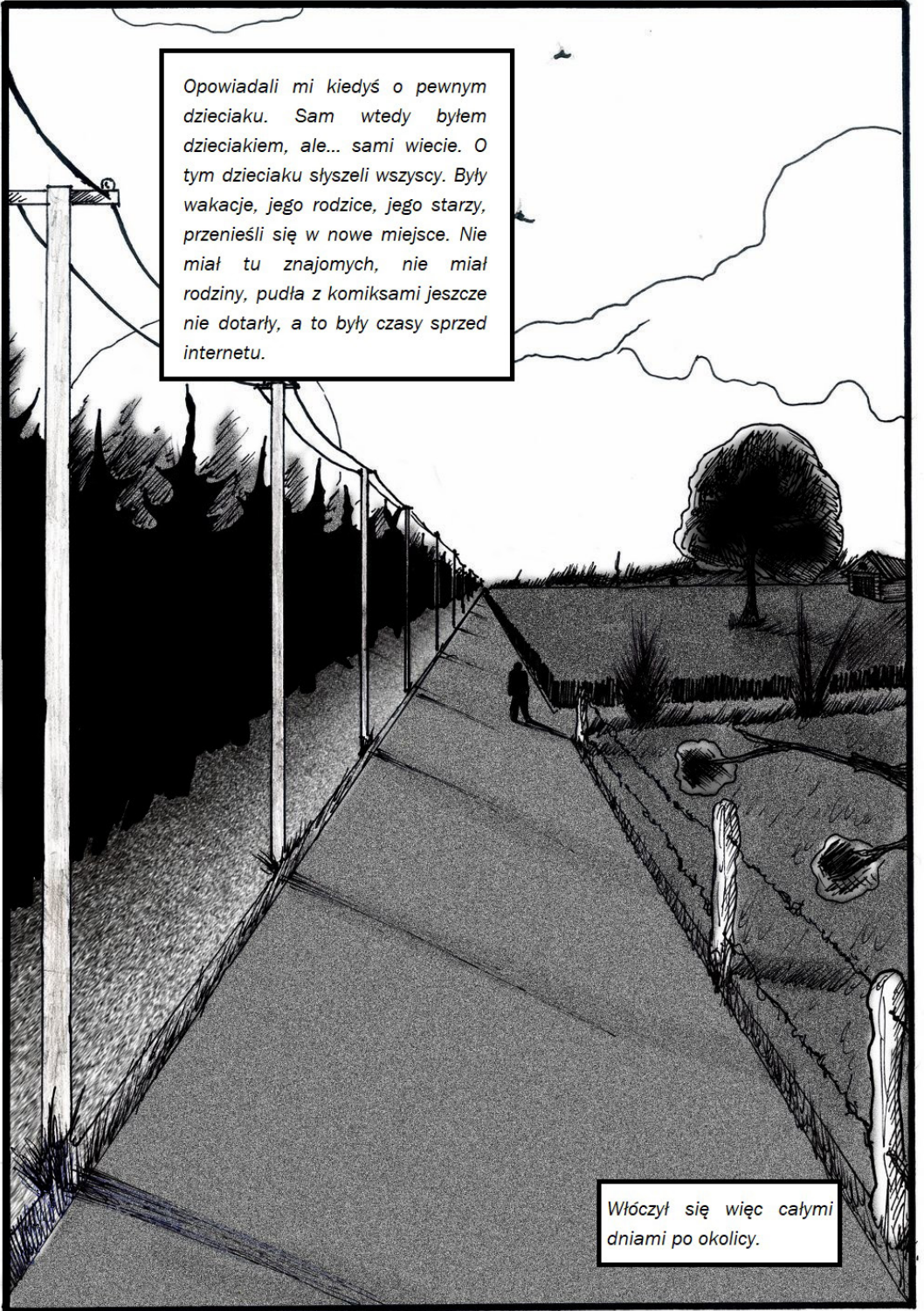
Mieszkańcy zgromadzili się przy korycie i z przerażeniem patrzyli w śnieżnobiałą taflę. Dorośli pamiętali o Jeziornie Białym a nawet młodzieńcza słyszała o prawdziwej pladze zabielenia się wody, która szła z zachodu i rozprzestrzeniała się na wszystkie kierunki świata. Jednak ta sprawa była inna niż wszystkie.

Kiedy przeszli nieco dalej dostrzegli że w pewnym momencie rzeka po prostu się kończy. Tak jakby ktoś przerażał ją w połowie siekierą i zabrał jedną część pozostawiając suche koryto. Wyglądało to zupełnie nienaturalnie. Jakby siły świata zupełnie przestały ze sobą współpracować. Co więcej niedługo potem ktoś zauważył, że długowieczny kapłan Akamir, o którym żartowano, że zdoła jeszcze przeżyć wszystkich, zniknął bez śladu. Pozostał po nim jedynie zeszycik, który również był, a jakże, dziwny. Znalaziono go na biurku w jego pokoju. Były w nim dziesiątki tysięcy zwykłych kresek, napisanych starannie ołówkiem w równych odstępach.

Pewien śmiełek, ze sporą nadwyżką czasu, podjął się policzenia ile ich było. Jeżeli mu wierzyć – równo sto tysięcy. Kiedy ta informacja dotarła poprzez plotki do Niestanki, natychmiast w głowie przeskoczyła jej zapadka. Wróciły wspomnienia. Przypomniła sobie gdzie i kiedy słyszała o stu tysiącach lat. Od razu pomyślała też o splecionych okręgach. Przeraziła się, jednak nie miała do kogo się zwrócić. Guślarz nie żył już przecież przeszło jedenaście lat.

Od tego dnia świat zaczął błyskawicznie umierać. Najpierw zbieleły a w końcu wyschły wszystkie rzeki i morza. Potem rośliny przestały rosnąć a dni zaczęły stawać się coraz krótsze. Dochodziło do anomalii takich jak śnieg w Okresie Życia, nieruchome błyskawice widoczne na niebie kilka dni, sztormowe fale na jeziorach lub monumentalne ludzkie cienie wystające czasami zza chmur.

Nie minęło nawet kilka miesięcy a świat, jaki ludzie znali, skończył się zupełnie.



Opowiadali mi kiedyś o pewnym dzieciaku. Sam wtedy byłem dzieciakiem, ale... sami wiecie. O tym dzieciaku słyszeli wszyscy. Były wakacje, jego rodzice, jego starzy, przenieśli się w nowe miejsce. Nie miał tu znajomych, nie miał rodziny, pudła z komiksami jeszcze nie dotarły, a to były czasy sprzed internetu.

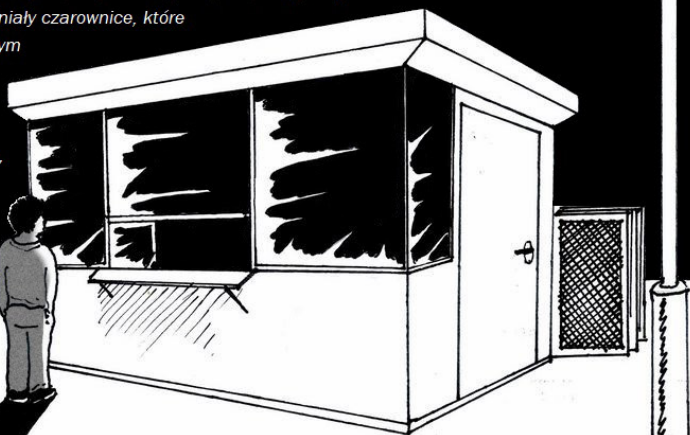
Włączył się więc całymi dniami po okolicy.

Od świtu do
nocy chodził i
chodził.
Patrzył,
odkrywał, jak
to działa.
Był
wszystkiego
ciekaw.. Może
wkurzało go,
że musiał się
przenieść, ale
nie znaczyło
to, że nie
ciekawilo go,
na co może się
natknąć. I
natknął.



Wiecie, kiedyś podobno istniały syreny. Wabiły żeglarzy nagością i
śpiewem. Kiedyś podobno istniały czarownice, które
kusiły dzieci cukierkami, niczym
współcześni pedofile.
A w czasach mojego
dzieciństwa mówilo się o
przeklętych kioskach RUCH-u,
które pojawiały się
nie wiadomo skąd, wabiąc
młodzież pornograficznymi
magazynami na witrinach i...

Wiecie.

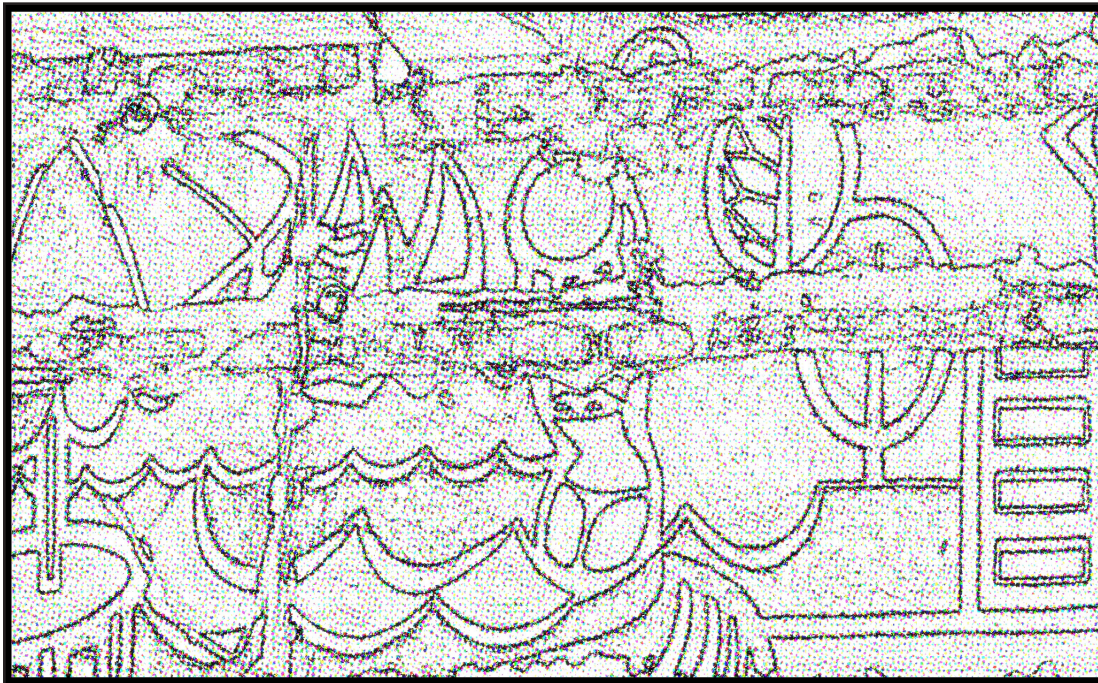


Opowiadali mi o tym, ale kto by w to uwierzył, prawda? A nawet jeśli, który nastolatek, który dzieciak w tym wieku oparłby się pokusie zobaczenia magazynów. Ostrzegali, ale tym ostrzeżeniem robili nam apetyt, bo podobno te pisemka w tym konkretnym miejscu miały okładki nieocenzurowane.



Opowiadali, ostrzegali. Chyba coś musiało w tym być.

Podobno dotąd nikt nie znalazł mojego ciała.



MICHAŁ P. LIPKA ICH BIN GESUND

Mężczyzna był gruby, gruby i stary, jak każdy mężczyzna w tym wieku i o takiej tuszy, i posiadał nieproporcjonalnie do ciała małe rączki. W mroku nocy, w jakim skąpana była sala, w ciemności i nielicznych błyskach światełek aparatury, jak błyski gwiazd, te małe rączki, rączki dziecka wyrastające z ciała tłustego faceta w zaawansowanym wieku średnim, wyglądały jak czułki, nibynóżki albo coś równie niewłaściwego w ludzkim ciele.

I tymi rączkami, tłustymi dziecięcymi rączkami o palcach, paluszkach właściwie, niby mini marchewkach, gryz po gryzie wyciągał z paczki chips po chipsie i wrzucał sobie do ust. Szelest, chrup-chrup i tak raz za razem, w niemal zupełnej ciemności. I jeszcze to mlask. To lepkie mlask, jakby usta miał pełne nie śliny a flegmy.

Lepkie mlask, jak dźwięk, który spoceni pedofile wydają na widok małych dziewczynek nieświadomie siadających tak, że spod ich spódniczek widać dziecięce majteczki w misie albo kwiatki.

Skądś dobiegł czyjś głos mówiący:

– Początków transwestytyzmu należy doszukiwać się w zwykłym, prostym, głupim można rzec prezencie.

Kobięcy głos.

– O, sąsiad się obudził – odezwał się gruby bas z krótkimi rączkami.

Chyba właśnie takimi słowami, ciężko było zrozumieć go przez to mlaskanie.

I chyba mówił do mnie.

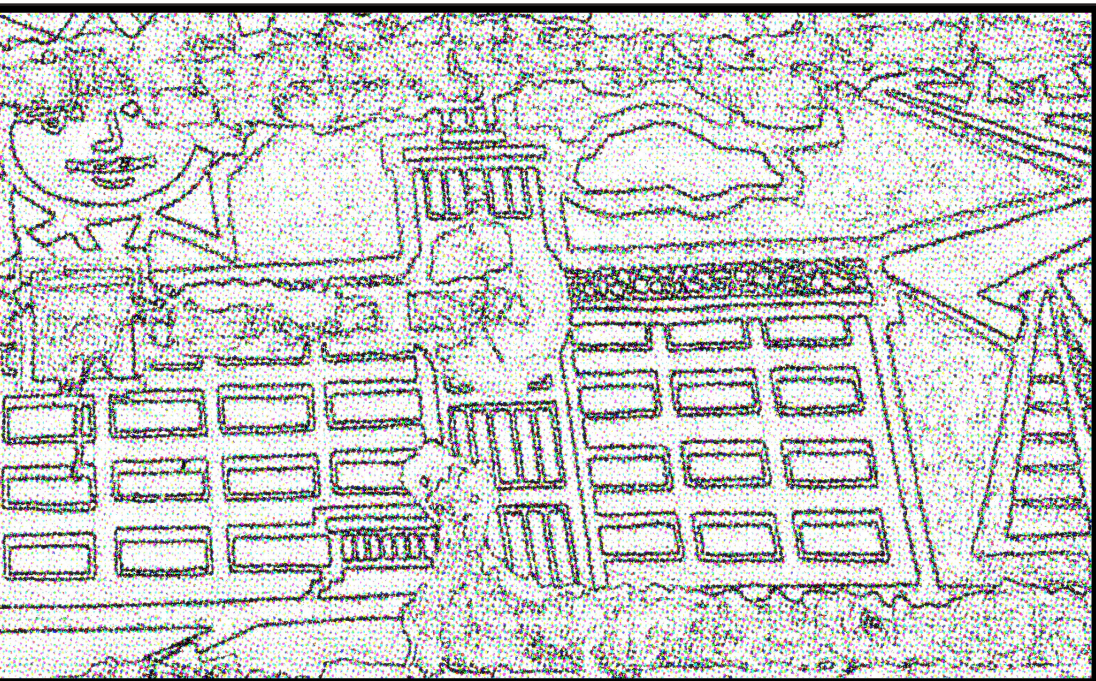
Głos gdzieś w dali, jakby na korytarzu, bo tam musiał być korytarz, krzyknął:

– Wszystko zaczęło się od tego, że jakaś przedwieczna kobieta kupiła sobie sukienkę.

A mlaszczący facet, tłuscioch na łóżku obok, oddzielony ode mnie krótkim przejściem, jak nocnym stolikiem oddzielony był od jeszcze jednego łóżka, na którym spoczywało coś, co wyglądało obecnie jak sarta pościeli, pochrapująca i dysząca nocą, powiedział:

– Może teraz nie będzie tu nudno.

Ugryzł tego chipsa, a może chrupka, mlasnął i zaszeleścił paczką, w tym samym czasie gdy głos na korytarzu, a może w innej sali,



UND FÜHLE MICH GUT

może tuż obok, a może w całkiem innym świecie, ten kobiecy głos mówił:

– Ta kobieta kupiła sukienkę sobie, ale dała ją w prezencie facetowi, bo przecież nie miała praw, nie mogła sama sobie niczego kupić. Liczyła, że facet, jak to facet, odda jej prezent, który mu się nie spodoba, jak wcześniej oddawał jej garnki. Nie sądziła, że ten okaże się tak głupi, żeby to założyć. Żeby to nosić, ale się okazał.

Musiałem zapytać co to, czym jest ten głos, bo facet na łóżku obok, ten o dziecięcych rękach, dziwnie małych, jak na jego ciało, dziwnie bladych, jak na jego skórę i dziwnie dziewczęcych, jak na faceta powiedział:

– To? A to to nasz szpitalny duch. Nie ma się czym przejmować. Duchy też mają swoje prawa.

I wrócił do jedzenia.

Więc wychodziło na to, że leżę w szpitalu. Bywa.

A duch, ten kobiecy duch z korytarza powiedział:

– I wtedy zobaczyli to inni faceci, zobaczyli, że tak można i w ten właśnie sposób zaczął się transwestytyzm.

Szpital wyglądał, jak wyglądać mogła tylko umieralnia. Jak wyglądać mogło hospicjum, w którym nikt nie dbał o dobre samopoczucie pacjentów, chociaż jednocześnie każdy okłamywał ich tak skutecznie, że chodzili weseli, rozpromienieni i gadatliwi. A przynajmniej taki był grubas.

– Z tymi rączkami to był trochę niewypał – powiedział facet o cyckach większych niż niejedna kobieta. Te cycki były spoczone, lepiły się do koszulki i dobijały sutkami na materiale, podrygując, kiedy grubas szedł i mówił: - Ale pomysł był całkiem spoko.

Szedłem po szpitalnym spaceraku, jak kazał mi lekarz. Mówił, że medycyna zrobiła postępy, od kiedy zapadłem w śpiączkę, że spokojnie, mięśnie mam sprawne, dzięki stymulacji i wystarczy się rozruszać, więc próbowałem się rozruszać. Szedłem. A coś w kroczu mnie drażniło. Uwierało. Coś irytowało, chociaż nie wiedziałem co.

Gruby wyjął z kieszeni czekoladowego batonika, odwinął z foli, opakowanie rzuciła w trawę i mówił, mlaszcząc:

– Naprawdę jesteś z czasów, kiedy ludzi dzieliło się na płcie?

Pytał mnie czy naprawdę za moich czasów ludzie dzielili się na kobiety i mężczyzn. Pryskał przy tym słodką od cukru śliną, która lepiała jego koszulkę brązowymi od rozpuszczonej czekolady plamami.

A ja czułem dyskomfort, tym silniejszy, im więcej szedłem.

– Jak to ludzie nie dzielą się na płcie? – spytałem, żeby nie zastanawiać się nad przyczyną.

Szpitalny spaceriak był pełen zieleni, tu i tam unosiły się owady, niczym pyłki roślin – jeśli ktoś miał na coś alergię, miał pecha – a temperatura była dostatecznie wysoka by człowiek, z którym nie chciałem iść, ale który szedł za mną, bo najwyraźniej taki miał kaprys, pocił się, a ja mogłem mieć na sobie strój z krótkim rękawem.

– Wszyscy jesteśmy jedną, wielką, seksualną rodziną – powiedział mlaszcząc człowiek o rękach dziewczynki. – W pewnym momencie podział na płcie nie miał już sensu, było tego za dużo.

Płcie fizyczne, mentalne, płcie dyktowane przekonaniem i chorobą psychiczną, płcie wynikające z urodzenia się w niewłaściwym ciele albo znudzenia sobą.

– Kiedy każdy dostał swobodę zmiany tego, co posiada między nogami – powiedział grubas, wyciągając z kolejnej kieszeni paczkę orzeszków. Teraz każde jego słowo zamiast oddzielone być młaskami, chrupało. Chrupały te wszelkie przerwy, które w tekście pisanym byłyby spacjami. Chrupały, a potem i tak młaskały na powrót. – Kiedy ludzie zaczęli łączyć w sobie różne płcie, sam rozumiesz.

Chrup-chrup. Młask. Łyk. I od nowa.

– Dlatego jesteśmy jedną płcią w multidmianie.

Dlatego na szpitalnych salach każdego umieszczano z każdym. I tak nie wiadomo by, jak dzielić ich wszystkich.

– Dlatego jesteśmy jedną orientacją w multidmianie.

Bo, jak mnie poinformował, powołując się na jakiegoś specjalistę, homoseksualizm nie może istnieć, skoro niczym nie różni się od masturbacji. Skoro i onanizujący się hetero facet, i para gejów tak czy inaczej zadowolą się penisem, nie ma tutaj żadnej różnicy. A skoro jedna orientacja nie istnieje, nie mogą istnieć też inne.

Szliśmy, on chrupał i młaskał, i mówił:

– Pedofilia nie może istnieć, bo każdy kiedyś był dzieckiem, każdy kiedyś dotykał zatem dziecięcych organów rozrodczych.

Więc wszystko jest dozwolone.

– A udowodniono już podróże w czasie? – zapytałem.

Bo najwyraźniej istnienie duchów było czymś oczywistym. Może w takim razie wampiry, wilkołaki i kosmici też istnieli. Istnieli wszyscy ci reptilianie, potwór z Loch Ness pływał sobie spokojnie na oczach wszystkich, objęty ochroną, choć może czasem molestowany przez inne gatunki, a jedynymi prawdziwymi sekretami zostały sekrety majtek kobiety. Kiedyś, za moich czasów, ta tajemnica, wygląd sromu mijanej dziewczyny, była równie wielkim sekretem, jak tożsamość Kuby Rozpruwacza. Rozpalała wyobraźnię niczym tajemnice Strefy 51. Teraz dochodził do tego jeszcze sekret, jaki rodzaj płci znajduje się w tej bieliźnie. Prawdziwa tajemnica, której rozwiązania czasem lepiej nie poznawać.

Gruby jednak nie przejął się moim pytaniem, tylko ciągnął:

– Wiesz, miałem fajny pomysł przeszczerić sobie ręce dziecka. Lubię dzieci, wiesz?

Teraz już wiedziałem.

– To zawsze jakaś nowość. Miałem dzięki temu dwie płcie, jedną fizycznie młodszą od drugiej, ograniczoną do jakichś pięciu procent mojego ciała, w obrębie rąk, ale jednak.

A ja zastanowiłem się, jak się w tym wszystkim połapać. Jak ustalić, z kim się spotykasz. Kogo poznajesz.

– I wiesz – ciągnął między chrup i młask grubas – masturbowanie się rączkami pięcioletniej dziewczynki to była całkiem fajna idea. Dopóki nie przekonałem się, że nie sięgam.

Nie sięga przez swój brzuch. Że jego rączki do ust dają radę podać mu jedzenie, ale zaspokoić go erotycznie już nie potrafią.

– Dlatego czekam teraz na przeszczep. Dostanę ręce dorosłego faceta, kogoś w moim wieku i zdecydowałem się na zmianę płci. – Wrzucił do ust ostatniego orzeszka i wyjął czekoladę. – Będę miał cipkę siedmiolatki. Czekam tylko aż jakaś umrze i będą mogli mi ją przeszczepić.

Czekał, aż któregoś dziecko w hospicjum się przekręci, bo wymyślono, jak szybko i dowolnie zmieniać płcie, ale na lek na raka nie starczyło już funduszy. Tak mi powiedział.

– Oglądałem w katalogu te ich małe kroczka – opowiadał.

Ktoś sfotografował wszystkie te konające dzieci między nogami, by mogły stać się częściami zamiennymi dla każdego chętnego.

– Jedna wyglądała obiecująco. Taka różowa, blada, delikatna. Będzie mi z nią do twarzy.

Zastanowiłem się, jak będzie z tym chodził, jak da radę poruszać się, mając krocze i pewnie biodra siedmiolatki i to takiej, wycieńczonej chorobą i sam się przewróciłem. Zamiast skupiać się na chodzeniu, na odzyskiwaniu sprawności, skupiłem się na wizji pięćdziesięcioletniego spoconego faceta z łysym wżgórkiem łonowym małej dziewczynki i wylądowałem twarzą w trawie.

Bywa.

Trawa przyszłości była wilgotna i pachniała truskawkami. Pachniała czystością i chemią. Prawdziwa trawa zaawansowanej cywilizacji.

– Co ty pierdolisz – powiedział gruby, nie pomagając mi wstać. Nie podając pomocnej dłoni dziewczynki. Jadł tylko, młaskał tę tabliczkę czekolady i patrzył, jak gramolę się najpierw na czworaka, a potem do pozycji siedzącej. Pozycji pół stojącej, kiedy zginam się, jakbym chciał wymiotować, a dopiero potem prostuję, niczym ewoluujący w homo sapiens. – Zmywali dzisiaj schody. Tym truskawkowym płynem. I tu wylali wodę po tej głównianej robocie.

I właśnie taki był ten świat przyszłości.

– Kiedy człowiek budzi się ze śpiączki – krzyczał duch gdzieś na korytarzu – potem boi się zasnąć.

Ledwie go słyszałem, ledwie słyszałem ją, chociaż w tym świecie nie mogłem już być pewny, że to jakakolwiek ona, bo na

szpitalnej stołówce panował gwar. Tu przychodzili tylko ci, którzy mogli, nie było ich więc tak wielu, by całkiem zagłuszyli szpitalnego ducha, ale dostatecznie, by niemal zniknął w szumie ich rozmów.

Ktoś powtarzał:

– Rękę do masturbacji warto zmieniać co kilka miesięcy. Nie, że się psuje, ale człowiek szybko przywyka. A wybór jest duży. Ja ostatnio preferuje drobne dłonie nie-etnicznych Afrykanek.

Ktoś inny perorował:

– Hemoroidy? Co tam hemoroidy, a próbowaliście analu w gumce z wypustkami?

Jeszcze ktoś inny mówił:

– Słyszałem, że niedługo przywiozą transport zwłok z krajów arabskich, gdzie trwa wojna. Dużo rąk, nóg, płci, głów nawet do wyboru.

A grubas o spoconych cyckach, między którymi na koszulce utworzył się ciemny ślad, jak ślad rzeki powiedział:

– W tym szpitalu dzieje się dużo dziwnych rzeczy.

Jadł kebab, przygotowany przez etniczno-etnicznego kucharza, i mówił:

– Jeden z pacjentów z naszego skrzydła został pobity niemal na śmierć.

Kucharz etniczno-etniczny był wymogiem każdej placówki państwowej. Głowę miał innej narodowości niż tułów, każdą z rąk miał innej narodowości niż reszta ciała, każdą z nóg tak samo. Każda część, z jakich składała się jego osoba, była innego pochodzenia i innego wyznania. I w zależności od koźczyny, od elementu ciała, posiadał w niej, w nim inną orientację. To pozwalało mu gotować dania dla ortodoksyjnych żydów i muzułmanów. Dla chrześcijan i wegan. Gejów, lesbijek i pedofilów. Dla każdego.

Ktoś, kto nie chciał by jego jedzenie przygotował czarnoskóry, wszyscy ci biali blondyni o niebieskich oczach, z dumą noszący na piersi medalion ze swastyką, do której mieli pełne prawo, bo tolerancja wymagała tolerowania wszystkiego, dostawał dania ugotowane przez kucharza, którego jedna ręka pochodziła z Niemiec albo Austrii i umiała odpowiednio salutować. A każdy, kto nie chciał, by jego obiad został przygotowany, przez miesiączkująca kobietę, miał do tego

takie samo prawo, jak weganin do dania niezawierającego pochodnych odzwierzęcych.

Proste.

– A wczoraj – ciągnął Grubas temat naszego skrzydła. – Ktoś inny został tak skopany po tyłku, że pękła mu kość ogonowa.

Pomyślałem o własnym dyskomforcie, ale skupiłem się na jedzeniu.

Szpital podzielony była na skrzydła i sale nie według płci, a przypadków. To był jedyny podział, jaki tu stosowano. Wiek też nie miał znaczenia. Wiek, odkąd osoby transwiękowe wywalczyły swoje prawa, nie był żadnym kryterium. Odkąd sześćdziesięciolatek mógł czuć się młodszy o pół wieku i chcieć uprawiać seks tylko z dziećmi w wieku do niego odpowiednim, odkąd rodzice mogli zarejestrować swoją pięcioletnią córkę jako osiemnastoletnią prostytutkę i sprzedać ją do Meksyku, kwestia metryki nikogo już nie interesowała.

A Meksyk miał pełne prawo nie respektować jej wieku i ubezwłasnowolnić na stanowisku, jakie przydzielili jej rodzice.

– Podobno tydzień temu jakaś kobieta wydrapała sobie oczy.

Podobno tuż przed nią jakiś mężczyzna wyskoczył z okna, głową w dół, prosto w barierkę na schodach, która roztrzaskała mu czerep idealnie na pół.

Słuchałem i gryzłem swoją wątróbkę, o ile to nadal była wątróbka, o ile nie było to coś, co po prostu mogło być jako wątróbka identyfikowane, a duch krzyczał:

– Człowiek, który obudził się ze śpiączki, każdy, kto lata spędził w łóżku, musi, ale to musi, jak najszybciej odzyskać sprawność. Odzyskać siły!

– A jeszcze wcześniej – opowiadał spocyny facet o małych rączkach – jakiś zadeklarowany mężczyzna, samiec alfa, poszedł do toalety i własnoręcznie wyrwał sobie jądra. Ciągał je i szarpał, krzyczał, ale wyrwał.

Matko, jak on krzyczał. Jak wrzeszczał.

Jadłem dalej.

Grubas mlaskał.

Ludzie gadali.

Duch krzyczał:

– Sen to oddanie kontroli nad swoim ciałem czemuś innemu. To tak, jak picie czy

ćpanie. Nie wiesz, kiedy się obudzisz i czy się obudzisz, nie masz pojęcia, co wtedy robisz i tak dalej. Ale kiedy już się obudzisz, musisz jak najszybciej brać się do działania.

A czas w szpitalu mijał powoli.

Przytomność straciłem od ciosu. Solidnego uderzenia w głowę, które mogło zgruchotać czaszkę, ale jej nie zgruchotało. Po prostu pozbawiło mnie zmysłów, w jednej chwili zmieniło ze stojącego człowieka, który nawet nie wiedział, że upada, w człowieka starszego o kilka lat, może dekad, przebudzonego w szpitalnym łóżku niedaleko mlaskającego grubasa o dziewczęcych rączkach, ale męskich cykach i sterty chrapającej pościeli, która za dnia okazała się czymś na pograniczu czarnoskórej kobiety w średnim wieku, japońskiej nastolatki i meksykańskiego wąsatego jegomościa, który jeśli nie miał na imię Pedro, na pewno nosił nazwisko Gonzales.

Nie było żadnego pomiędzy. Żadnych snów. Żadnych odwiedzin, których szczątki zapamiętałbym przez szeptane do mnie słowa, czytane lektury czy puszczaną muzykę. Nie zapamiętałem pielęgniarek, które by mnie podcierały, obmywały strefy intymne i zmieniały cewnik, chociaż facet powinien pamiętać każdą kobietę, która miała w dłoni jego penis albo dotykała jego odbytu. Po prostu w jednej chwili stałem, a w drugiej leżałem, z większą ilością zmarszczek i dyskomfortem stref intymnych.

Jeśli spojrzeć na czują się twarz, zmarszczki pokazują jego charakter. Kurze łapki od mrużenia oczu przy pracy w pełny słońcu a te od śmiechu różnią się od siebie tak, jak różnią się od kurzych łapek spowodowanych marszczeniem oczu w grymasie podejrzliwości. Wszystkie te złożenia na skórze wokół ust mogą pochodzić od śmiechu, jak i zaciskania warg zwyczajem starych panien, których nic już nie zadowoli, więc upodabniają swoje usta do pomarszczonych odbytów.

Pedofile mają zmarszczki intensywnie skupione wokół oczu, od wpatrywania się w dzieci, jakby wpatrywali się w coś zupełnie innego. Mają zmarszczki biegnące od nosa w kierunku ust od zwieszania szczęki na widok małych dzieci. Takie zmarszczki miał grubas.

Moja twarz, chociaż czas dodał jej lat i siateczki linii papilarnych, była tak równomiernie naznaczona wiekiem, że nic nie wyrażała.

Więc i ja nie wyrażałem nic. Leżałem. Chodziłem. I czekałem, co będzie dalej.

Ich bin gesund und fühle mich gut, mogłem rzec, jak obowiązkowo pisali w swoich listach do rodziny osadzeni w Auschwitz.

– W pewnym momencie historii ludzkości – opowiadał duch – nabijanie na pal przestało być formą kary.

Jego kobiecy głos niósł się korytarzem, jakby nawiedzał jedną z sal, które mijiałem, idąc kilka razy dziennie do łazienki, idąc do stołówki albo na spacer, ale nigdy tam nie zaglądałem.

W innej sali, dużo dalej i w zupełnie inną stronę ktoś krzyczał, wrzeszczał:

– Przystań, przestań, kurwa, nie rób mi tego, co ja ci zrobiłem?! Ludzie ratunku, to wariatko mnie zabije!

Zwracał się do tego per „to”, „tamto”, jakby coś, co go zabijało, nie miało płci. Bo może nie miało. Ale i nie miało sumienia. Nie miało litości, bo chociaż ten ktoś o męskim głosie wrzeszczał błagalnie, jak wrzeszczyć mógł tylko ktoś u progu śmierci, wariatko nie przestawało.

A duch z innego kierunku, nieprzejęty całym zajęciem opowiadał:

– W pewnym momencie dziejów ludzkości geje z ekshibicjonistycznym zajęciem popełniali zbrodnie, by tylko być publicznie nabitymi na pal. By poczuć w odbycie coś tak wielkiego, pokazać się ludziom i jednocześnie zrobić to legalnie.

Grubas toczył się za mną, jakbym był jedynym człowiekiem w tym szpitalu, podczas gdy ktoś gdzieś indziej płakał, błagając:

– Tylko nie nos! Proszę, nie nos!

A potem piszczał już tylko, jakby był Michaeliem Jacksonem albo japońską aktorką porno udającą nastolatkę.

Tymczasem duch przekonywał:

– Ci sami geje z ekshibicjonistycznym zajęciem, ale w innych czasach i z pasywną naturą, popełniali zbrodnie, żeby zostać zakutymi w dyby, bo wtedy nocą inni geje przychodzili i gwałcili ich analnie. Każda kobieta, poza nimfomankami, unikała takiej kary, ale geje, którzy nie mogli znaleźć partnerów, bo w czasach, kiedy było to nielegalne, ciężko było znaleźć sobie kogoś, chętnie poddawali się takiej karze.

Tak chętnie, że władze w końcu ją zniosły.

Gruby facet o dziewczynskich rączkach szedł i jadł, nachos za nachosem, oblizując z tłuszczu dziecięce paluszki, jakby smakowały lepiej niż kukurydziane trójkąty. Ktoś w tle, z głębi ciemnego korytarza, jak ciemny jest korytarz nocą, gdy masz piętę, sześć lat i wysoką gorączkę i rodzice zabierają cię w środku nocy do lekarza, a świat szumi wokół ciebie, jakby ten szum w uszach zyskał wizualizację, na końcu takiego korytarza ktoś krzyczał, jakby był katowany na śmierć.

A duch mówił:

– To samo był w czasach batożenia, kiedy liczni masochiści zaopatrzeni w kopię kodeksu karnego wybierali, jakie przestępstwa popełnić, żeby dostać batem tyle razy, ile lubili.

A potem umilkł, bo wyszliśmy na dwór, na spaceriak, otoczony lasami, jakbyśmy byli rezydentami jedynego ocalałego miejsca na całej planecie, choć usłyszałem jeszcze coś, co brzmiało jak:

– Ktoś ze śpiączką to też taki masochista. Tylko że taki ktoś powinien jak najszybciej wrócić do zdrowia, do działania i zrobić to, co powinien.

Ale chyba tylko mi się wydawało.

– Kiedyś tu było sanatorium dla ludzi z chorobami płuc – opowiadał grubas, zjadając kupione w automacie czekoladki. Te z białym nadzieniem rozgniał, by ich gęsta, ciągnąca zawartość rozlała się na placach, a potem przyglądał się tym dziecięcym paluszkom, rozciągając między nimi perłowe strużki i oblizywał je, już bez większej uwagi.

Szliśmy po terenie szpitala, między pacjentami, którzy często wyglądali, jakby potwora Frankensteina pozszywać z części ciała multikulturowej wycieczki, która zginęła w wyniku katastrofy lotniczej, i rozglądałem się po okolicy. Po wysokich, zbitych, ciemnych drzewach, po budynku umieralni, jak stary dworek, po ścieżkach, naszym ścieżki wiodące na szafot. A grubas, człowiek wieloryb z nibynózkami dziewczynskich rączek mówił:

– Nic dziwnego, że w takim miejscu straszysz. Wiesz, ilu ludzi wyciągnęło tu nogi? I to jeszcze zanim ich ciała mogły na coś się przydać?

Zanim wymyślono, by fotografować za życia krocza konających dzieci, by ktoś potem mógł wybierać z katalogu, jak chce teraz wyglądać między nogami, kiedy tylko dany pacjent umrze, bo nikt nie potrafił jeszcze klonować tak ważnych części ciała. Zresztą po co by miał, skoro ludzie ciągle umierają? Skoro było, jest i będzie tyle materiału?

– I co z tego, że czasem zdarzają się wypadki – mlasnął grubas. – Ryzyko zawodowe. Hobbistyczne. Jak zwał, tak zwał. Podpisujesz przecież oświadczenie. Niektórzy to lubią. Są ludzie, którzy dla takich wypadków, tego dreszczyku emocji, decydują się na operację.

Mówił o wypadkach takich, jak to, że czyjaś przeszczepiona ręka pobiła go prawie na śmierć. Czyjaś noga skopała komuś dupę. Wydhubała oczy. Urwała jądra.

– Pamięć mięśniowa – tak to określił.

Według tego, co mówił, co opowiadał, nawet jeśli czyjaś noga zmusiła swojego nowego posiadacza do wyskoczenia z okna, nikt jej nie marnował. Zdarzało się, że u innych pacjentów taka kończyzna działa normalnie, więc próbowano do skutku. Bo może i ludzie umierali, może i materiału nie brakowało, ale potrzeby były duże i nic nie mogło się marnować.

Ważne, że klient zapłacił.

– Dlatego zawsze wołałem dzieci. Dzieci nie mają dość siły, by coś ci zrobić. I są takie fajne. Słodkie. Nieświadomie seksowne. To lepsze niż najlepsza modelka – opowiadał, a ja patrzyłem na budynek szpitala, zastanawiając się za którym z okien jest duch i czy nas teraz obserwuje.

– To, co dzieje się tu jest nietypowe – ciągnął grubas. – Za dużo, za często, ale... Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Wzruszył ramionami.

Zawsze musi być ten pierwszy raz. Tak, jak obudzenie się w przyszłości rodem z filmów science fiction, choć i tak dziwnie zafowanej. Nie latały tu auta, rakiety kosmiczne z turystami. Ludzie za to zmieniali płeć, super technika pozwalała człowiekowi szybko odzyskać sprawność, ale szpital wyglądał, jak umieralnia sprzed wieków.

– Zresztą, nuda to – zmienił temat. – Takie rzeczy ciekawe są dopóki są zagadką.

Trudno było nie przyznać mu racji. Tak, jak zagadką był mój dyskomfort w miejscach intymnych. Mogłem obudzić się jako kobieta, mogłem być nieprzyzwyczajony do warg sromowych, ocierać się, ale to nie było to. Nic się tam nie zmieniłem.

– Jaka tam, kurwa, zagadka. – Zaśmiał się posiadacz rączek małoletniej dziewczynki. – Ludzie mają swoje prawa. Niektórzy są molestoseksualni, chcą więc molestować ludzi, którzy sobie tego nie życzą i to im gwarantuje konstytucja.

Bo jaką frajdą byłoby molestowanie kogoś, kto chce być molestowany. To już nawet nie było molestowanie. Tak, jak zgwałcenie kogoś, kto chce gwałtu, gwałtem by nie było. To już była zupełnie inna orientacja.

– Powiem tak, mogłeś podpisać zawczasu dokument o żądaniu niemolestowania. Wtedy wszystko byłoby okej. Co z tego, że w twoich czasach tego nie było? To już twój problem.

Najwyraźniej łatwo było to sprawdzić.

I zaśmiał się tak, że nie pytałem już, kto mnie molestował. Ani czemu to właśnie on chodził za mną dzień w dzień, jakbyśmy byli najlepszymi kumplami. Albo więcej.

– Niektórzy by się cieszyli, że molestowały ich niewprawne łapki dziewczynki.

Puścił do mnie oko.

Chyba słowo niewprawne było tu kluczowe, patrząc na cały ten dyskomfort. Na te otarcia z przodu i z tyłu.

Mogłem chociaż pocieszać się, że skoro to były dziewczynskie palce i dłonie, to taki akt, był aktem czysto heteroseksualnym.

A grubas powiedział:

– Ale co my tak będziemy gadać o suchych pyskach. Chodź do środka, żarcie mi się skończyło.

I ruszył z powrotem do budynku, a ja zastanowiłem się czy na cholesterol i otłuszczone serce, zniszczoną wątrobę i cukrzycę też już wymyślono lekarstwa.

Oby nie.

– Mensa to feministyczne pranie mózgu, by wszyscy myśleli, jak kobiety – mówił duch, kiedy wchodziłem do sali, w której straszyl. Jak w piekle, w korytarzu krzyczeli ludzie bici przez swoje kończyzny, a duch

opowiadał: - Wszystkie te testy powstały po to, by przekonać się, czy każdy myśli tak, jak kobiety, które je układały. Wszystko po to, by wyłapać właściwie jednostki, a resztę wyeliminować. Nazwa mensy nie przypadkiem pochodzi od menstruacji.

A ja powiedziałem:

- Cześć.

Duch leżał na łóżku, chyba nie do końca sprawny fizycznie, ale wyraźnie odzyskujący sprawność, widać to było po ruchach, jakie wykonywał, gestykulując przy swoim wywodzie, a ja powiedziałem:

- Dawno się nie widzieliśmy.

Duch, leżąc w barłogu, w pomiętej pościeli, mówił:

- Skoro człek ma tyle cnót, na co mu jeszcze cnota fizyczna. To prawda znana od dawna. Na nią każdy facet chce złapać kobietę. Przekonać ją do oddania się mu.

A ja patrzyłem na znajomą głowę przeszczepioną do ciała, które do niej nie pasowało.

Grubas raz powiedział mi:

- Tutaj nie marnuje się nic. Żadne głowy, żadne mózgi, nic.

Są bowiem ludzie, którzy nie chcą już być sobą. Tak bardzo mają dość tego, kim właściwie są i życia, jakie prowadzą, że chętnie chcą przeszczepu mózgu albo głowy, byle tylko ktoś inny zaczął kierować nimi za nich samych. I mają do tego prawo. Prawo regulowało nawet to.

A duch mówił:

- Przeszczep to bilet do przyszłości.

Mówił mi to kiedyś, lata temu. Mówiła mi wtedy, kiedy powiedziała, że umiera, ale spokojnie, luzik, jest dobrze.

- Wiem, co robię.

To było przed tym, zanim walnęła mnie w głowę, usypiając na długie lata. Mówiła:

- Żeby nie umierać, wystarczy umrzeć i oddać się na takie części by żyć wiecznie w innych, kolejnych ludziach.

Powiedziałem, że czegoś takiego nikt nie robi, ale tylko się zaśmiała.

- Teraz nie, ale poczekaj.

Twierdziła, że potrafi zobaczyć przyszłość. Że była w przyszłości. Że widziała zagładę. Że widziała, co będzie potem. Że to wszystko to tylko pętla.

- Wystarczy poczekać, przekonywała. A potem można być duchem, legendą, czymś, co trwa nie tylko w ciele, ale i w pamięci.

W pamięci mięśniowej, w genach.

- Wiesz, jak mocno zapamiętają mnie ludzie, których zatłukę prawie na śmierć?

Jak bardzo zapamiętają ją rodziny ludzi, których jej części ciała, zawsze zbuntowane jak ona sama, zabijają?

- Umiesz to sobie wyobrazić.

A ona twierdziła, że nie musi, bo wie, że tak będzie. Że skoro umiała robić z czasem to, co mówiła, że umie, że skoro całe życie potrafiła kierować sobą, swoimi losami, umie zrobić też coś takiego. Jej kończyny potrafią wydłubać oczy i urwać jaja.

- Oddałam się na eksperymenty – mówiła wtedy. – Zamrożą mnie i obudzą się wtedy, kiedy będzie możliwe to, co chcę. Obudzą się w ciele innych.

Już podpisała papiery.

- Ty też się wtedy obudzisz – mówiła, śmiejąc się do łez.

Mówiła, że widziała różne wersje przeszłości i wie, jak walnąć mnie w głowę, żebym obudził się, kiedy jej to pasuje.

Nie pytałem o te inne wersje. Słuchałem. Bywa.

- Wiem jak to zrobić. Wiem, kiedy się obudzisz. Wiem, co będę wtedy robić – mówiła wówczas.

Też to teraz wiedziałem. Chyba. Albo mi to wmówiła. Kiedy seksowana kobieta coś mówi, facetowi może wmówić wszystko.

Teraz zaś, na moje pytanie o te jej teorie o homo na palach i transwestytach w sukienkach żon, powiedziała:

- Muszę być autorytetem.

Musi być taka, jak za życia. Ludzie muszą jej słuchać, musi być w centrum uwagi, a każdy ma jej wierzyć. Każdy ma mieć ją za wzór. Za jedyną słuszną prawdę.

- A ludzie wierzą tylko w to, co brzmi jak teoria spiskowa. Jak wielka prawda ukrywana przed nimi od lat. Wieków. Wierzą w to bardziej niż w jakiegokolwiek fakty.

Ludzie wierzą w to, co jest sprzeczne z ogólnie przyjętymi normami, co idzie wbrew przyjętym prawom i modzie, bo ludzie zawsze się buntują przeciw temu, co

ustalone. Gdy władza jest prawicowa, ludzie kierują się ku lewicy. Gdy rządzi lewa strona sceny politycznej, odbijają się ku prawej. Bo bunt leży w ludzkiej naturze. Cały ten bunt przeciw władzy, bo przecież nikt nie może wiedzieć lepiej od nas, a tym bardziej większość, bo większość to zawsze motloch. Większość nie ma gustu. Większość nic nie wie.

– A jeśli wierzą, to słuchają.

I można nimi manipulować.

Mogła kłamać. O tym wszystkim, co mówiła, że wie. Mogła oszukiwać. Ale udało jej się.

Może tylko oszukiwała. Może jedynie całe życie sprawiała wrażenie, że coś wie i tylko fartem jej się udawało? Że to była wielka tajemnica jej życia? Ważne, że się udawało. I udało tym razem.

Bo ktoś taki, jak ona umrzeć nie może bez konkretnego powodu. Bez przyczyny. Bez pokierowania tym tak, jak chce sam.

A może ktoś taki, jak ona nie chce po prostu umierać sam? Może chce zdzielić kogoś w głowę i zabrać ze sobą, a potem jakoś mu się udaje? Nieważne.

A co teraz? Cała przyszłość do podbicia.

- Pamiętasz, co masz zrobić? – zapytała. Zapytał ten duch pokutujący nocami i dniami.

Ona w innym ciele.

Kiwnąłem głową, bo co miałem?

Może chodziło jej bym ją uratować, odbudować, odtworzył z części w innych ciałach ludzi. A może nie. Wiem, że miała jakiś plan, ale... Chyba zawsze miałem problemy z pamięcią. Chyba zawsze coś mi tam szwankowało, jeszcze przed uderzeniem, ale jak teraz, po tym ciosie, mogłem wiedzieć coś lepiej?

Kiwnąłem głową jeszcze raz. W końcu był czas. W końcu świat wciąż trwał. W końcu była jeszcze przykuta do łóżka.

Miałem czas. Prawda?

04.06.2022 r.



Rysunek z neta





ORZECHA

Zazdrościłem mu całe życie. Wydawał się od mnie lepszy w każdym, nawet najmniejszym calu. Kiedy ja za ostatnie drobniaki kupowałem czerstwy chleb, on zjadał się soczystym mięsiwem, popijając spokojnie wino.

Mój brak umiejętności znajdowania jakiegokolwiek zajęcia wprawiał mnie we wściekłość, gdy myśli swe kierowałem na jego sad jabłoni. Rozległe, ponad dwu hektarowe pole pełne pięknych i urodzajnych roślin było znane w całej okolicy. Mówiło się, że sad dawał najsmaczniejsze w promieniu przeszło pięćdziesięciu kilometrów jabłka. Sam miałem okazję spróbowania jednego z ofiarowywanych mu przez ziemię owoców. Ciężko mi to przechodzi przez usta, ale muszę przyznać, że lepszego nie jadłem.

Co zadziwiające to jednak nie z sadu mój drogi rywal był najbardziej dumny. Bardziej niż jabłonie kochał tylko dwie „rzeczy”: swoją niewinnie piękną małżonkę oraz włoskiego orzecha, monumentalnego w swej wielkości. Było to drzewo starsze od niego samego. Stało w samym centrum rozległego sadu, a jego właściciel zarzekał się, że sukces urodzaju reszty drzew zawdzięcza starym korzeniom orzecha, które niczym uważni rodzice doglądają młodszych korzonków

Drzewo było widać z każdego zakątka sadu, gdyż jego przeszło ponad 30 metro- wy pień górował nad calusienką okolicą, rzucając na obszerną część swój ciężki cień. Sam orzech zwieńczała bujna korona, czujnie spoglądająca na wszystko, co ją otacza. Wiadome jest, że drzewo dawało co roku liczone w głębokich wiadrach dziatki, jednak jego dary nigdy nie były na sprzedaż. Jedynie mieszkańcy znajdującego się przy sadzie domu mieli okazję je konsumować.

Wśród co bardziej szanowanych plotkaczy rozchodziło się podejrzenie, że orzechy z tego drzewa gwarantują nieśmiertelność, dokładnie jak mityczny kamień filozoficzny.

Od dawna myślałem o tym, w jaki sposób zadać memu wrogowi możliwie najdotkliwszy cios. W końcu pewnej nocy, pełnej opiumowych oparów, naszła mnie myśl tak oczywista, że po chwili uderzyłem się ze złości w głowę, zirytowany, że nie wpadłem na nią wcześniej.

Oszołomiony egzotycznym narkotykiem oraz motywującą chęcią działania złapałem za leżący w pobliżu srebrny sztuciec. Na jadalnym stole wyskrobałem obietnicę: „zetnę mu to przekłete drzewo!”. Wystarczyło tylko zaczekać, aż mój wróg opuści swoją norę, a następnie wściekle, wręcz zwierzęco zaatakować.

Mijały długie, ciągnące się jak sprężyna tygodnie, lecz w końcu nadszedł mój czas. Dzisiaj mój przeciwnik opuścił swoje gospodarstwo, na które ja wraz z zapadnięciem zmroku barbarzyńsko napadnę.

Z siekierą w swej prawicy przeskakuję przez niski, drewniany płot, oddzielający dziką łąkę od sadu.

Moje poczynania obserwuje z góry łyśy księżyc. Jednak ten widz nie sprawia mi problemów, a co więcej, mogę podejrzewać, że mi sprzyja, a być może nawet po cichu kibicuje. Wysnuwam takie podejrzenia, gdyż bije od niego - pozwalające mi pracować bez używania lampy - światło.

Pędzkimi krokami zmierzam ku górującemu nad resztą orzechowi. Moje serce z podniecenia pędzi jak w czasie gonitwy. Pod nosem belkoczę do siebie niemające sensu półsłowa, lecz milknę, gdy stoję przed samym drzewem.

Bijąca od niego powaga mnie otumania. Jego pień jest tak gruby, że nie jestem w stanie go objąć. Liczne gałęzie mają na sobie dorodne owoce, które to wiszą na nim niczym perły na kobiecej szyi.

Na sekundę w mojej głowie pojawia się myśl, by poniechać swego zadania i odpuścić memu wrogowi. Jednak pamięć o zadanych mi przez niego krzywdach odpędza ode mnie tę, bojaźliwą idee. Trwożąc się kolejnej chwili słabości, czym prędzej zabieram się do pracy.

Siekiera opada raz za razem, lecz twarde jak gład drzewo nie daje za wygraną. Muszę wymachiwać trzonkiem z całych sił, by ostrze zostawiało na nim jakikolwiek ślad.

Zabiera mi to mnóstwo energii, niesamowicie mnie przy tym męcząc. Z mego czoła wartkim, godnym górskich strumieni potokiem spływa tłusty pot. Niejeden by pewnie odpuścił. Rzucił narzędzie gdzieś w krzaki i klnąc, odszedł, by już nigdy nie wrócić - ale nie ja. Choćbym miał zdechnąć jak najgorszy kundel, to zrobię wszystko, by ten przeklęty chwast padł u mych stóp. Rzucam się więc ze zdwojoną siłą na ten piekielny pień.

Me ślepia płoną ogniem szaleństwa, które napędza mnie do nadludzkiego działania. Pomimo wyczerpania i palącego me mięśnie bólu narzucam drzewu tempo, którego ono nie potrafi dotrzymać. Wywijam narzędziem niczym doświadczony kowal, a z mych zaciśniętych ust leje się gęsta pianą.

W końcu nie wiem po którym, może setnym lub tysięcznym uderzeniu orzech pada wraz ze smutnym świstem.

Dumny z siebie wycieram rękawem oblepiający me oblicze gęsty łój. Większość łowców po udanym polowaniu zabiera część swojej ofiary jako trofeum, ale ja nie muszę zniżać się do ich poziomu, zdecydowanie wystarczy mi fakt, że udało mi się wygrać ten pojedynek.

Chcę już odejść, gdy dostrzegam w dali światło wydobywające się z domu przy sadzie. Ale któż tam przebywa pod nieobecność pana tych włości? No tak, to jego żona! Wypadałoby jej chyba złożyć wizytę, w końcu jak to mówi znane powiedzenie „nieszczęścia chodzą parami”.

Śmiejąc się pod nosem, ruszam ku gospodarstwu.

Skradając się po ganku, spoglądam w niebo, z którego wyczytuje, że za jakiś kwadrans wstanie słońce i wygna nocny całun na zimne, księżycowe pustkowie.

Wiedząc, że muszę się spieszyć, cichutko wślizguję się do środka przez otwarte okno na parterze.

Z ciekawością oglądam wiszące na ścianach burżuazyjne obrazy, przedstawiające okoliczne pejzaże oraz portrety nieznanymi mi osobistości, a także obwącjuje egzotyczne kwiaty, emitujące szalone, wcześniej mi nieznane aromaty.

Na jednym z regałów dostrzegam tokaj. Zatrzymuję się na chwilę, by jedynie zasmarkować odrobinę tej substancji. Smak jednak mnie hipnotyzuje i kończy się na całej butelce. Rozlewające się po mych trzewiach ciepło alkoholu sprawia, że zapominam, po co tutaj przyszedłem. Na szczęście do mych uszu dolatują odgłosy czyichś nadchodzących kroków, które przywracają mi chociaż częściową trzeźwość.

Chowam się za drzwiami, cierpliwie czekając na ofiarę.

Zwierzęce emocje rwą me ciało od środka, gdy słyszę skrzypienie otwieranych drzwi. Zza nich wylania się słodka, żeńska istotka. Bez chwili namysłu rzucam się na panią domu, obalając ją. Zduszam jej krzyk mokrymi od wina ustami. Przerazona, próbuje mnie z siebie zrzucić, lecz jestem dla niej za silny. Chciwie ruszam swą dłońią w górę jej miękkich jak kocia poduszeczka ud.

Pierwsze promienie porannego słońca oświetlają pokój przez znajdujące się nad nami okno. Próbuję ją ponownie pocałować, lecz tym razem sprytnie kąsa mnie w polik, zadając mi tym atakiem ból nad wymiar okazały. Targany palącym jak kwas bólem

spadam z niej, a me zakrwawione oblicze oświetla słońce.

Patrzę w jej oczy, w których pojawia się zaskoczenie i niedowierzenie. Widać, że chce coś powiedzieć, ale jej dolna warga trzęsie się, nie pozwalając jej na przetworzenie swoich emocji w werbalne zdanie. W końcu uspokaja swoje skołatane ciało i głowę. Jedyne co wyszeptuje to: „Dlaczego to zrobiłeś kochanie?”

Kochanie!?

Czuję, jak moim ciałem wstrząsa gorąca fala. Wraz z nią przychodzi prawda, a odchodzi szaleństwo.

Co ja najlepszego zrobiłem!?

Wyciągam ku swej żonie rękę, lecz ona złęczniona na jej widok tylko odsuwa się ku ścianie. Widząc to, padam na plecy i wije się jak robal, którym jestem. Me kości przeszywa nieludzki ból, a serce wydaje się bić tak wściekle, jakby miało lada chwile wybuchnąć. Młode płuca pobierają tak wiele tlenu, że pęcznią i wbijają się od środka w moje kości, powoli je przy tym łamiąc. Me ślepe gałki oczne zalewa fala krwi, a pomiędzy krwawiących zębów wydobywa się mój ostatni, pełen żalu okrzyk:

Rozerwałem swój świat własnymi dłońmi!



KONGLOMERAT
PODCASTOWY

MATEUSZ „WOLFGANG” OSZUST

JAKOŚ TO BĘDZIE



Czasami zastanawiam się, jak odejdę. Czy będę wydawał z siebie ostatnie oddechy w towarzystwie kochających dzieci, wnucząt, prawnucząt i ich potomków? Albo spłonę w niespodziewanym pożarze lub innym wypadku? A może doznam zawału podczas łamania przysięgi małżeńskiej? Scenariuszy jest wiele, jednej bardziej pożądane, inne mniej. Jednakże jestem pewien, że los, jaki spotkał mojego sąsiada, nie łapie się na listę wymarzonych sposobów na odejście z tego świata.

Marcin Borowski, aka upierdliwy drań, włókł się po podwórku, podziwiając trawnik otępiałym wzrokiem. Jego ruchy były wolne i sztywne, ubrania zaś zniszczone jakby padł ofiarą napaści. Obraz nędzy dopełniały liczne rany, odsłonięte kości w paru miejscach oraz zaschnięte ślady krwi. Kilka lat temu taki widok wywołałby odruch współczucia lub lęku.

– Kolejny zombiak – westchnąłem. Nasz były sąsiad odwrócił w moją stronę, jakby usłyszał te słowa. Jego spojrzenie było puste i nie przejawiało nawet iskry inteligencji. Złośliwa osoba mogłaby, stwierdzić, że chociaż to pozostało bez zmian. Zombie wydał z siebie jakiś niezrozumiały jęk, po czym ruszył w pościg za wiewiórką, która przebiegła niedaleko.

– Coś się stało kochanie? – Za plecami zabrzmiał głos Marty, robiącej listę zakupów dla naszego syna. Chłopiec niecierpliwie dreptał wokół stołu, zastanawiając się zapewne, na co przeznaczy resztę pieniędzy.

– Nic istotnego. Borowski skończył jako zombiak i ściga wiewiórki na naszym podwórku.

– To nie dobrze, lubiłam go – powiedziała bez cienia emocji, po czym odwróciła się w stronę chłopca. – pamiętaj, żeby naładować broń. Kolejny sąsiad był nieostrożny i zaraził się. I nie zapomnij kupić kurczaka na obiad.

Kobieta w odpowiedzi otrzymała jedynie przytaknięcie głowy. Chłopak odebrał banknoty na zakupy, po czym wybiegł, trzymając

w jednej ręce torbę, w drugiej zaś strzelbę. Niedługo później słychać było odgłosy wystrzałów. Były to ostatnio równie naturalne dźwięki, co poranny ptasi śpiew.

Sprawdziłem, czy Agnieszka odczytała moją wiadomość, spoglądając jednocześnie, co jakiś czas w stronę żony. Ciągle nic. Podałem się nerwowo po szyi.

– Będę zbierać się do pracy. Zrobisz zakupy na dzisiejszego grilla? – zapytała Marta. Ściszyłem dźwięk w telewizorze. I tak pokazywali głównie w kółko te same obrazy żołnierzy, walczących z hordą zarażonych. Nic ciekawego.

– A kto ostatecznie będzie?

– Maciej i Ewa nie odpowiadają, więc można uznać, że albo też skoczyli jako zombie, albo w najgorszym przypadku obrażli się. Łukasz i Sylwia nie przyjdą. Zbierają odpady i przerabiają je na broń dla najuboższych. Ostatnio chwaliła się na insta włócznie wykonaną z noża kuchennego i rury od odkurzacza. Będzie natomiast Grzesiek. Jeszcze Olek ma przyjść z nowym kolegą. – Słowo „kolega” ledwo przeszło przez gardło kobiety, jakby było za duże, by precyzyjnie się przez wąską krtani. – Cieszę się, że powoli wraca do siebie po wydarzeniach z Kacprem.

– Miejmy nadzieje, że ten facet nie będzie chciał go schrupać – zażartowałem. W odpowiedzi otrzymałem jedynie zniechęcone spojrzenie.

– To może lepiej będę zbierać się. Muszę po drodze zgranać Grzeska.

Grzesiek oczywiście spóźnił się. Gdy moja cierpliwość przekroczyła kolejne granice, wysłałem następną ponaglącą wiadomość, po czym odpałem radio, by zabić trochę czasu. Niestety zamiast muzyki dostałem kolejny raport o liczbie zakażonych, informacje o kolejnych obostrzeniach, kolejne przypomnienie o tym, żeby unikać kontaktu z zakażonymi oraz oczywiście, żeby nie lekceważyć uporczywego śwędzenia,

ani żadnych obrażeń mogących świadczyć o infekcji. Korzystając z okazji, spróbowałem znowu skontaktować się z Agnieszką, ukrytym pod siedzeniem tajnym telefonem. Ostatnia wiadomość była sprzed 3 dni. Wysłała mi wtedy zdjęcie w czerwonej sukience, którą sprawiłem jej podczas naszego poprzedniego spotkania. Podobny prezent dałem kiedyś Marcie, zanim ogień namiętności zgasał, jak zapalka zanurzona w ciemnych odmętach oceanu. Przy drzwiach pojawił się nagle Grzesiek.

– Wybacz za spóźnienie stary. Miałem wczoraj ciężki dzień i trochę wypilem – tłumaczył się mężczyzna, drapiąc się po nieogolonym policzku. Przytaknąłem, chowając ponownie telefon i odpaliłem samochód.

Droga przebiega spokojnie, choć w dziwnie napiętej atmosferze. Jakby dawne żarliwe dyskusje przeniosły się do głów, w których myśli kotłowały się jak szalone. Gdy opuściliśmy beztróskie tereny Środy Wielkopolskiej, zostaliśmy powitani przez olbrzymi billboard z napisem „Chronię swoich bliskich, nie zatajam kontaktu z zakażonymi”. Grzesiek prychnął pod nosem.

– Może więcej osób zgłaszałoby się, gdyby mieli jakąś lepszą alternatywę niż eutanazje. A co z tym twoim znajomym, co twierdził, że wszystkie zombie to spisek i przebierańcy? – rzucił, przerywając nieznośną ciszę.

– Chyba dołączył do spisku, bo dzisiaj ganiał wiewiórki na moim podwórku. Zmienimy temat, mam dosyć ciągłego gadania o tym szajsie.

– Będziesz musiał przyzwyczaić się.

Nie chciałem myśleć o tym zbyt długo. W sumie nazywanie zakażonych zombie sporo ułatwiało. Pozwalało łatwiej postawić grubą granicę między nami a nimi. Tak naprawdę ten nieszczęsny wirus nie zmienia ludzi w nieumarłych. Zamiast tego sprawia, że zakażeni stają się agresywni i rzucają się na każdą napotkaną osobę. Skojarzenia z zombie biorą się z ich behawioru i wyglądu. Gdy nie ma nikogo w pobliżu, zachowują się

otępiale, do tego stopnia, że ignorują wszelkie obrażenia oraz zakażenia prowadząc do martwic, co nadaje im upiornego wyglądu. O dziwo trawiące zapewne ich ciało stany zapalne, najwyraźniej im nie szkoda. Szacuje się, że wirus daje objawy jedynie u około pięćdziesięciu procent zakażonych, czyniąc z reszty jedynie nosicieli choroby.

Wjeżdżając do Poznania, zauważyłem billboard reklamujący miny na zombie, który przedstawiał narysowaną szczęśliwą rodzinę oraz eksplodujących w tle zakażonych. Przypomniało mi to, że miałem kupić coś dla młodego, za świetne oceny z zajęć na strzelnicy. Wreszcie godziny spędzone na strzelankach i kilka zdewastowanych klawiatur na coś przydały się.

Spojrzałem na Grzeška. Zachowywał się dziwnie. Jego zawadiacki uśmiech Hana Solo został zastąpiony przez chłodną i zamyśloną mimikę Morfeusza z Sandmana.

– Co się dzieje? Zwykle to ty jesteś tym niezamykającym usta – zapytałem, próbując także oddalić myśli o własnych problemach.

– W sumie nic nowego. Trochę zmęczony jestem. Miałem kiepską noc.

– Rozumiem. Myślałem ostatnio, żeby zorganizować takie spotkanie ludzi ze studiów. Skrzyknąć na przykład Radka, Gochę, Miśka i parę osób, by wspominać stare dobre czasy. Co o tym myślisz? – Spojrzałem w stronę przyjaciela i wymusiłem na sobie uśmiech. Grzesiek westchnął.

– Gosia wyjechała z kraju przed pandemią i do dzisiaj nie może wrócić. Natomiast Radek po śmierci Ewy izoluje się od reszty świata.

– Nic nie mówiłeś. Co się stało?

– To, co zwykle. Pojechali na wakacje w góry. Niestety pojawiło się nowe ognisko. Udało się im wrócić, lecz Ewa była już zakażona. Zauważyła, że jest coś nie tak, gdy pojawił się świąd, jakby świerzbu dostała. Najlepsze jest to, że nie mieli żadnego kontaktu z zakażonymi. Albo spotkała kogoś będącego przed przemianą, albo jakiś brudas celowo jej coś podrzucił. „Brudasami” określane są osoby zakażone, które celowo zarażają innych.

– Nie wiem, co powiedzieć. To tragiczna historia. Od jak dawna wiesz?

– Od wczoraj. Gdy dowiedziałem się miałem straszego doła. Wypiłem chyba wszystko, co miałem w barku. A wiesz, co mnie tak dobiło? Fakt, że nie miałem siły, by udawać, że tego typu historię jeszcze mnie ruszają – odparł, wpatrując się w okno Grzesiek. Zastanawiałem się, co odpowiedzieć, lecz żadne słowo nie wydało się odpowiednie, więc pozwoliłem, by znowu zapanowała cisza.

Niestety na drodze do parkingu znajdowała się najwyraźniej nowa ochronna. Grupa zombie krążyła powoli po ulicy z ponuro opuszczonymi głowami. Nie wyglądali jakby planowali usunąć się. Grzesiek wyciągnął rewolwer i już chciał zaproponować alternatywny wjazd, lecz wcisnąłem pedał gazu i z rozpędem uderzyłem w przeszkodę, jak kula w kręgle.

Zaparkowałem auto. W tym czasie pasażer wziął kilka głębokich oddechów i spojrzał niepewnie w stronę powstałego dzieła namalowanego ciałami, krwią i innymi płynami ustrojowymi. Spostrzegawcza osoba mogłaby dostrzec ostatnie delikatne ruchy lub ciche pojękiwania, zbliżających się do kresu swego żywotna istot, które niegdyś szczyliły się mianem ludzi.

– Uważaj, jak będziesz wychodzić. Mogą jeszcze ruszać się – powiedziałem, po czym wyjrzałem na wszelki wypadek przez okno. Grzesiek przełknął ślinę i ruszył za mną, lecz zatrzymał się przy jednym z potrąconych.

– Stary, czy to nie jest przypadkiem twój szef?

W drodze do domu zrobiliśmy zakupy. Ciągłe moje myśli jednak odpływały w kierunku Agnieszki. Z odmętów pamięci wyłaniały się przyjemne wspomnienia. Jej słodki głos. Drobne usta delikatnie całujące szyję. Złociste włosy sprawiające, że podczas każdej rozmowy masz wrażenie, jakbyś obcował

z anielskim bytem. Wszystkie te miłe obrazy jedynie podkręciły niepokój, który ścisłał niczym wygłodniały boa.

Spojrzałem przez okno, szukając czegoś, co pozwoli zjechać myślom z tego ciemnego toru. Niegdyś naturalnym widokiem, jaki można było dostrzec, gdy człowiek zaszczycił świat zewnętrzny swoim wzrokiem, były kolumny drzew, kolorowe (i niekiedy uciążliwe) ptactwo lub inna zwierzyna. Drzewa jednak wycięto, koty zaś przetrzebiły populację skrzydlatych śpiewaków. Dzisiaj naturalnym elementem fauny miejskiej stały się otepiałe hordy zakażonych, kroczących jak lunatycy, aż ich parodia życia nie zostanie przerwana przez przeszywającą kulę lub ostrze. Na pokrętnych chodnikach Kaponieiry dostrzegłem kolejne zmienione postaci. Przypominały w tej chwili bardziej przerażająco realistyczne posąg, niż śmiertelnie niebezpieczne potwory. Przejechaliśmy obok, kierując się w stronę wyjazdu z Poznania.

Kątem oka dostrzegłem jakiś czerwony kształt. Spojrzałem w lusterko i serce prawie mi stanęło. Ujrzałem wykrzywioną blond postać o znajomych kształtach. Odziana była w krwiste czerwona suknię. Nim zdążyłem zareagować, postać zniknęła. Czyżbym zaczął z tęsknoty popadać w obłąd? W głębi duszy miałem nadzieję, że to jest właściwe wyjaśnienie. Tak bardzo zaplątałem się w gąszczu myśli, że przez resztę drogi nie zaszczyliłem Grzeska nawet słowem. Szczęśliwie i on wciąż nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę.

Wjechaliśmy na osiedle i zbliżyliśmy się do domu. Ujrzeliśmy jednak ponownie ciemne sylwetki niespodziewanych gości. Snuły się powolnym, ospałym krokiem. Westchnąłem zmęczony i sięgnąłem po broń. Jakoś to będzie, pomyślałem. Jedyne uporczywie śwędząca szyja nie dawała mi spokoju.

UNSLAKABLE
HORRORS FROM
OUTER SPACE
PARALYZE
THE LIVING
AND RESURRECT
THE DEAD!

PLAN 9 FROM OUTER SPACE

with
BELA LUGOSI
VAMPIRA
LYLE TALBOT

A J. Edward Reynolds Production
Produced and Directed by
Edward D. Wood, Jr.

DCA

THEY WON'T STAY DEAD!

A B&W 78 Production

NIGHT OF THE LIVING DEAD

They keep coming back in a
bloodthirsty lust for
HUMAN FLESH!...

Pits the dead against the living
in a struggle for survival!

Starring **JUDITH O'DEA** - **DUANE JONES** - **WARIKYN EASTMAN** - **KARL HARRISON** - **JUDITH RIDLEY** - **KATH WAYNE**

Produced by Robert W. White and Hal Ashby. Screenplay by George A. Romero. Directed by John A. Russo. © White Walk Productions. Released by Embassy.

PET SEMATARY

THE

amc **WALKING DEAD**

CZY FILMY O ZOMBI MOGĄ NAS CZEGOŚ NAUCZYĆ?

- Wstańcie umarli, będziem żywych żarli!

- Wstajemy, wstajemy, a trzymajcie ich!

(zasłyszane w dzieciństwie)

Półtoragodzinny, czarnobiałny film japońskiego reżysera Sabu (Tanaki Hiroyuki) „Miss Zombie” (2013) w 78 minucie staje się filmem kolorowym, by po kolejnych trzech powrócić do starej konwencji. Dialogi nie tłumaczą tej zagadki – film oszczędnie posługuje się słowem, jak zresztą – w przypadku głównej bohaterki, młodej dziewczyny-zombie – i mimiką. Wszak jako żywy trup ona grać twarzą nie może. Wagę niektórych scen podkreśla muzyka (w zasadzie nie jest to muzyka w europejskim tego słowa znaczeniu a nastrojowy, posępny akompaniament) i każdorazowa długość ujęcia. Dużą rolę ma sposób poruszania się bohaterki: do ostatnich scen jest bardzo powolna, ledwo posuwa nogami – dopiero zmuszona do ataku lub ucieczki potrafi biec oraz jej reakcja na otoczenie. Przez większą część filmu jest doskonale obojętna na zachowanie ludzi wokół niej – potem niespodziewanie się to zmienia. Właśnie ten szereg diametralnych zmian jest kluczem do sensów filmu. Do pewnego momentu bohaterka jest zombi, potem nagle człowieczeje. Zaszło coś takiego, co pozwoliło jej na parę chwil znów stać się człowiekiem. Co to było?

Człowiek żyje. Zombi – „ciało człowieka pobudzone po śmierci na skutek czarów do aktywnego działania, jedna z postaci literackiego i filmowego horroru” (Walc 1997, s. 458) [przypis 1] – to żywy trup. W starszych [2] – sprzed „Nocy żywych trupów” George A. Romero z 1968 roku – wersjach motywu, wykorzystujących wierzenia *voo-doo*, jest całkowicie bezwolny i wykonuje rozkazy; w młodszych (od filmu Romero) – z reguły kieruje nim kanibalistyczny głód [3]. Polując na ofiary albo jest powolny i niezgrabny, albo dynamiczny, szybki, bardzo niebezpieczny,

jak w nowszych produkcjach typu „28 dni później”, „World War Z” [4] (z Bradem Pittem w roli głównej), czy na przykład w filmach południowokoreańskich [5]. Zabić go można tylko niszcząc mózg, inne uszkodzenia martwego martwego ciała nie dają rezultatu.

Różny bywa poziom umysłowy nowoczesnego zombi. Z reguły jest drapieżnym zwierzęciem, nie potrafi mówić i uczyć się („Fido”, „Kingdom”, „Noc żywych trupów” i wiele innych produkcji). Ale bywa, że jest pełnosprawny umysłowo („Powrót żywych trupów 3”, „Smentarz dla zwierząteków”, „iZombie”), lub też rozpoczął ewolucję w tym kierunku („Miss Zombie”), zaczyna tworzyć społeczność („Ziemia żywych trupów”) lub też już ją tworzy („Wszechstronna dziewczyna”, „Duma i uprzedzenie, i zombi”) i coraz skuteczniej walczy z ludźmi.

Typowy *image* zombi zakłada martwy wzrok, widoczny rozkład i rany, a w ogóle większość filmów o zombi rozwija estetykę *gore*, z lubością eksponuje możliwie jak najkrwawsze, najobrzydliwsze i najokrutniejsze sceny, a ewolucją motywu kieruje albo charakterystyczna dla kultury masowej chęć maksymalizacji efektów atrakcyjnych dla miłośników tego gatunku (zombi są więc coraz to obrzydliwsze, groźniejsze i coraz ich więcej na planie), reguła homogenizacji przejawiająca się m.in.w mieszaniu się gatunków rozrywkowych (w pewnym momencie zombi zaczęły przypominać wampiry [6] („iZombie”) i wice wersa („Plaga Wampirów”), pojawiły się filmy zombi detektywistyczne („iZombie”), apokaliptyczne („Żywe trupy”, „28 dni później”, „Z Nation”) [7], historyczne („Kingdom”), wojenne („Zombie SS”) [8], westerny („Cowboy Zombies”) itd, science fiction („Plan 9 z kosmosu”, „Inwazja porywaczy ciał”), o groźnych zwierzętach

(„Zombieboby”), swoiste robinsonady [9] („Alone”), a nawet romantyczne komedie („Drugie życie Beth”, „Burying The Ex”).

Ponadto filmy o zombie często bywają parodiowane – stąd dużo jest komedii w rodzaju „Martwicy mózgu” (patrz także: „Fido”, „Wysp żywych trupów”). Swoje pięć groszy dołożyły i gry komputerowe – w niektórych filmach, jak np. cała seria kontynuująca „Resident Evil” – pojawiły się fabuły o zapożyczonej z komputerowych gier kompozycji, zakładające pokonywanie przez bohaterów kolejnych „leveli”. Panuje też praktyka tworzenia remake’ów (np. „Smentarz dla zwierzaków” 1989, 2019; „Świt żywych trupów” 1978, 2004; „Noc żywych trupów” 1968, 1990).

Generalnie w swojej masie filmy o zombie tworzą gatunek tylko rozrywkowy, sporo produkcji jest szmirowatych, trywialnych, a przede wszystkim jest ich bardzo dużo (w swojej niewielkiej w sumie kolekcji posiadam obrazy nie tylko amerykańskie (jest ich najwięcej) i angielskie, ale także japońskie, rosyjskie, hinduskie, indonezyjskie, greckie, serbskie, czeskie, południowokoreańskie, nowozelandzkie, hiszpańskie, włoskie, niemieckie, australijskie, kanadyjskie, francuskie, norweskie, irlandzkie, austriackie, belgijskie; profesjonalne i amatorskie).

Nic zatem dziwnego, że w polskiej refleksji kulturoznawczej i filmoznawczej niewiele jest większych opracowań na temat tej produkcji („Narracje zombicentryczne” Kseni Olkusz są raczej o literaturze) i – póki co – dominuje spojrzenie hobbystyczne (Rzadkowski 2021). Ale jeśli poważniej spogląda się na ten filmowy gatunek (a są ku temu powody [10]), to na ogół dostrzega się w nim rodzaj lustra odbijającego przeszłe i współczesne społeczne niepokoje, które kiedyś wiązały się np. z Wielkim Kryzysem („Białe zombie”) [11], systemem kolonialnym [12] („Wędrowałam z zombie”, „Revolt of the Zombies”, „Wąż i Tęcza”), zimną wojną i strachem przed komunizmem („Inwazja porywaczy ciał”), przemian obyczajowych końca lat sześćdziesiątych („Noc żywych trupów”) [13], a teraz dotyczą: nadmiernego konsumpcjonizmu („Świt żywych trupów” [14], „I Am a Hero”), strachu przed starością czy też nieopanowanej chęci zatrzymywania młodości i utrzymania idealnego ciała [15] („Ze śmiercią jej do twarzy”), rozwoju

wielkich korporacji („Resident Evil: Dome-na zła”), prac nad bronią masowego rażenia (cała seria: „Powrót żywych trupów”), strachu przed zagładą niesioną przez epidemię [16] („Contracted”, „Contracted: Phase II” [17]), zjawiska społecznego wykluczenia [18] („Miss Zombie”), szeroko rozumianej obcości [19] („Z Nation”) – i wtedy tego typu obrazy rozpatruje się jako metaforę, zobrazowanie naszego lęku.

Motyw zombie jest też świetnym katalizatorem ludzkich zachowań. Stąd zdarzają się swoiste studia egzystencjalne poświęcone psychicznym skutkom samotności („28 dni później”, „Alone”), a najczęściej socjologiczne. Na przykład już II sezonów „The Walking dead” pokazuje, jak w obliczu totalnej katastrofy ludzie się organizują, troszczą o przetrwanie – albo na odwrót: walczą między sobą (także np. „28 dni później”, „Z Nation”), starają się zaspokajać swe pragnienie władzy czy bogactwa.

Czyli filmy o zombie mogą być analizami ludzkiej psychiki i społecznych prawidłowości. A w naprawdę nielicznych, lecz bardzo interesujących przypadkach filmy te mogą być też swoistymi moralitetami – traktatami na temat człowieczeństwa. Odpowiadać na pytania o to, kiedy człowiek przestaje być człowiekiem, albo na odwrót: jakie warunki musi spełnić, by z poziomu zezwierzęcenia się podnieść i z powrotem powrócić do standardów ludzkich.

Przeistoczenie się człowieka w zombi w większości filmów jest albo wynikiem zarażenia się, albo skutkiem działania promieniowania czy jakiejś substancji, lub też skutkiem ugryzienia. Bywa, że nie jest pokazane, albo zachodzi momentalnie. W trzech interesujących mnie tu filmach człowiek przestaje być człowiekiem stopniowo. Są to dwie części „Infekcji” oraz tragikomedia „Drugie życie Beth” (USA) – „Life After Beth”, w reżyserii Jeffa Baena z 2014.

Zarówno w „Infekcjach”, jak i „Drugim życiu Beth” zanik człowieczeństwa ma charakter cielesny, psychiczny i moralny.

W obu „Infekcjach” zarażenie się głównych bohaterów *zombizmem* odbywa się poprzez stosunek. W ciągu trzech dni pojawia się nieczułość ciała na temperaturę otoczenia

i ciągle poczucie zimna, niezwykle silne odczuwanie dźwięków, krwawienie z oczu, krwawe wymioty i krwotoki z narządów płciowych, wysypka w ich okolicy; tworzą się nieogojące się, ropiejące rany, wypadają włosy, zęby, paznokcie, z otworów ciała wychodzą robaki, gniją oczy – proces rozkładu za życia pokazany jest bardzo obrazowo, zwłaszcza kiedy w części pierwszej choruje Samanta – początkowo piękna dziewczyna. W przypadku Beth proces jest prostszy – po prostu na ciele i twarzy pojawiają się i rozszerzają rany.

U Beth proces psychiczny zaczyna się od przerw w pamięci, potem (także u Samanthy) następuje dezorientacja i utrata nawyków życia codziennego. Beth przestaje kontrolować popęd seksualny [20], pojawia się zmienność nastrojów. U niej i Samanthy następują napady agresji (przy czym Beth staje się niezwykle silna). Na końcu Beth nabiera niezaspokajalnego apetytu na ludzkie mięso, a Samantha po prostu rzuca się na ludzi, i ich zagryza. Natomiast bycie zombi niekoniecznie musi oznaczać utratę języka (Beth do końca rozmawia, choć niezbyt logicznie) i umiejętności myślenia [21].

W obu wypadkach na pierwszy ogień idą członkowie rodziny. Być zombi więc oznacza: być zwierzęco agresywnym, mordować wszystkich łącznie z najbliższymi i praktykować kannibalizm. Zanika jakkolwiek przejaw moralnego insynktu [22].

Jednak nie od razu. Bo choć procesu stawiania się zombi nie można powstrzymać, a rezultat jest wiadomy, to przecież można w trakcie przemiany można zachowywać się różnie. Tu istnieje moralny wybór. „Drugie życie Beth” tej problematyki nie rozwija – Beth staje się zombie cały czas kochając swojego Zaka i nie zdając sobie sprawy i z własnej sytuacji, i z potworności swego wyglądu – dzięki temu budzi współczucie, a film jest tragikomedią [23]. Natomiast wspominaną różnicę postaw ilustrują fabuły obu części „Infekcji”.

Bohaterką pierwsze jest Samantha – zbuntowana przeciw religijnej matce eks-narkomanka, młoda, piękna lesbijka (jej matka przypuszcza, że to przez „chęć bycia oryginalnym”). Która przeżywa kryzys swego związku z dominującą Nikki. Co prawda zarażenie następuje wskutek seksu z mężczyzną wykorzystującym jej utratę

przytomności, ale następnie – jak stwierdził jeden z recenzentów – „Bohaterka, coraz bardziej wyalienowana, gnije nie tylko cielesnie, gnije przede wszystkim od wewnątrz” (Nowicki 2014). Zdając sobie sprawę ze źródła i sposobu zakażenia dba przede wszystkim o to, żeby kochanka nie dowiedziała się o niczym, a kiedy ta dowiaduje się jednak (od trzeciej lesbijki, aspirującej do wdzięków Samanthy) i zrywa związek, gdyż miłość traktuje ideologicznie i nie chce mieć nic wspólnego ze „zdrajczynią”, która spała z mężczyzną – Samantha zabija je obie. Następnym krokiem jest zamaskowanie „niedostatków urody” i zarażenie chłopaka, który szczerze ją kochał. Nie wiadomo przy tym, czy jest to próba zemśczenia się na losie, który skazał ją na śmierć, czy też psychicznego ratunku, którego spodziewa się po prawdziwym uczuciu. Pewny jest tylko krańcowy egoizm takiego uczynku. Potem zostaje tylko przemiana, zagryzienie matki, która do końca próbuje ją ratować i śmierć od policyjnej kuli.

Część druga filmu opowiada kolejną historię – ostatnie trzy dni życia zarażonego przez Samanthę chłopaka. Riley, pracujący na co dzień w ośrodku opieki nad narkomanami przechodzi przez to samo piekło przemiany, ale już wiedząc, że czeka go śmierć, a nawet już stając się zombi stara się jakoś powstrzymać rozwój epidemii, która szaleje w Los Angeles. Próbuje współpracować z policją, a przede wszystkim znaleźć pierwotnego roznosiciela zarazy, co mogłoby pomóc w uzyskaniu leku. Tuż po przemianie, będąc już żywym trupem ratuje jeszcze życie policjantce. Oczywiście jako zombie zostanie zastrzelony, ale jego druga śmierć zyska jakiś sens. W trakcie swojej choroby nie ulegał atakom agresji, nie mordował. Wydaje się więc że – mimo rozkładu ciała – moralnemu rozkładowi nie uległ.

W świetle fabuły opisanych filmów wiemy już co traci człowiek, stający stając się zombi. Niespodzianki tu nie ma. Wraz z życiem i cielesnym pięknem mogą minąć uczucia, społeczne związki, moralność, a pozostaną agresja i dziki apetyt (no i oczywiście siła oraz względna nieśmiertelność, bo tylko zniszczenie mózgu ostatecznie zabija potwora).

O wiele ciekawsze rezultaty dało reżyser-skie spojrzenie z drugiej strony: próba sformułowania warunków, które muszą zostać spełnione, aby zombie choćby częściowo znów stał się człowiekiem.

W sposób najprostszy odpowiedziały na to pytanie takie obrazy jak „Ziemia żywych trupów” lub „Duma i uprzedzenie i zombi”. Żywe trupy uczłowieczają się, tworząc własne społeczności. Czy to będąc na początku tej drogi, czy to przejawiając większe zaawansowanie [24] są już w stanie działać podstępnie, układać i wykonywać plany walki z ludźmi.

Z nieco większym skomplikowaniem mamy do czynienia w produkcji „Powrót żywych trupów 3”. Zakochany chłopak, nie mogąc pogodzić się ze śmiercią dziewczyny przemienia ją w zombi i jakoś nie zostanie zjedzony, gdyż dziewczyna nadal go kocha i powstrzymuje jakoś swój apetyt, w czym pomaga jej ból, który sobie zadaje kalecząc swoje ciało.

Nieco tajemniczo odpowiada na to pytanie „Krew na piasku”. W zasadzie jest to jeden z wielu filmów pokazujących świat zombie-postapokaliptyczny. Niezbyt poważnie traktująca życie była striptiserka, Molly, ucieka przez pustynię. Podąża za nią głodny zombi (jest z rodzaju powolnych, nierozumnych, silnych ludożerców). Molly, unikając ataku i sprytnie wykorzystując sytuację, po jakimś czasie (być może odczuwając przyływ instynktu macierzyńskiego) zaczyna przejmować się jego losem i w konsekwencji jak gdyby go oswaja, bo zombi zaczyna zachowywać się co najmniej jak wytresowane zwierzę. Powstrzymuje się od ataków, słucha poleceń... Tak jakby odczuwał coś na kształt wdzięczności czy przywiązania. A może tylko wydaje się tak bohaterce, która pod wpływem przeżyć sama staje się bardziej człowiecza, przestaje myśleć tylko o sobie i w rezultacie postanawia wrócić po porzucone dziecko.

Jeśli jednak interpretacja – zakładająca, że zombie rzeczywiście zaczął odczuwać jakieś pozytywne emocje – jest słuszna, to w filmie mamy do czynienia z sytuacją, gdy uczucie wzbudza uczucie, motywem obecnym np. w baśniach o śpiącej królewnie czy dziewczynie całującej żabę – zakłętę królewiczą.

Jednak niektóre, rzadkie filmy przynoszą niemal całe rozprawy o człowieczeństwie. Mam na myśli trzy: „Wiecznie żywy”

z 2013 roku w reżyserii Jonathana Levine’a, „Wszeczhronna dziewczyna” z 2016 roku w reżyserii Colma McCarthy oraz „Miss Zombie”, od przywołania którego zacząłem ten szkic.

Bohaterem: „Wiecznie żywego” jest młody (bo młodo zginął) zombi „R”, który mieszka wraz z innymi na opuszczonym lotnisku. Potrafi wypowiedzieć parę słów, ale wyraźniejsze wspomnienia zyskuje [25] wtedy, gdy zje mózg ofiary, której pamięć w rezultacie częściowo przejmuje. I tak, pożywiwszy się mózgiem zakochanego chłopaka, przejmując jego uczucie do dziewczyny i ratując obiekt tej miłości. Wywołuje to oczywiście nieporozumienia z innymi zombi, więc odprawia dziewczynę do zmilitaryzowanej, ludzkiej enklawy i odchodzi. Po powrocie na lotnisko odkrywa, że inne zombi również wykazują oznaki uczuć. Na nieszczęście istnieje także inny gatunek zombi – szkielety. Straciły ciało i nawet te resztki człowieczeństwa, które jeszcze mają „normalne” zombi i tylko mordują: ogłosiły polowanie na „R” i dziewczynę. „R” udaje się do zamieszkałego przez ludzi, umacnionego miasta, aby ostrzec ukochaną i przekonać ludzi, że zombi się zmieniają i ponownie mogą zyskać człowieczeństwo. Czyniąc to ma świadomość, że w każdej chwili może zostać już „do końca” zabity. Na szczęście jego ciało się przemienia, serce zaczyna bić, krwawi i z pomocą ukochanej udowadnia, że jednak staje się człowiekiem.

Pomagają mu także z lekka uczłowieczeni *współplemięcy*, rozpoczynając walkę ze szkieletami które postanowiły zaatakować ludzką enklawę. Film kończy się zwycięstwem zjednoczonych ludzi i zombi, a kłeską i wytopieniem szkieletów, po czym zombi zostają przyjęci do ludzkiego społeczeństwa i rozpoczynają mozolną drogę ku pełnemu człowieczeństwu.

Film jest kolejną realizacją motywu Romea i Julii [26] i w popularnych źródłach informacji jest zakwalifikowany jako komedia. Nie wykluczam, że sprzyjają temu cechy użytej angielszczyzny, ale oglądany w innych wersjach językowych nie śmiesz, komedii nie przypomina – nie jest to też horror, bo nie straszy. Generalnie zaliczyłbym go do gatunku *fantasy*.

Powracając do interesujących nas rozważań wyliczmy, jakie warunki musi w świetle

fabuły tego filmu spełnić zombie, aby stać się człowiekiem:

1) Musi odzyskać pamięć (niekoniecznie swoją), aby zyskać jakieś cechy osobowości: wolę, zdolność do reagowania na bieżącą sytuację egzystencjalną i układania planów – do tego niezbędne jest rozróżnienie przeszłości, terażniejszości i przyszłości; możliwe jest wtedy także przypomnienie sobie języka i organizowanie się w grupy.

2) Konieczne jest także uczucie miłości w szerokim tego słowa znaczeniu.

3) Ponadto musi pojawić się gotowość do wyrzeczenia się egoizmu i poniesienia ofiary. Sam „R” co prawda szczęśliwie jej nie ponosi, ale jego towarzysze – zombie stają do walki z przeciwnikiem okrutniejszym i silniejszym od nich.

Akcja „Wszechstronnej dziewczyny” przebiega w postapokaliptycznym świecie. Ziemię opanowała plaga zombizmu wywołanego przez tajemniczy grzyb, dla którego, wskutek szczególnej symbozy, ciała ludzkich zombi są niezbędne jako środowisko rozwoju. Większość zombi pozbawiona jest inteligencji i skupiona wyłącznie na zdobyciu mięsa (wyczuwają je głównie zapachem), aczkolwiek drugie ich pokolenie (dzieci zarażonych matek – „zrodzone” z w ten sposób, że przyszły na świat wyzerając od środka wnętrzości swych rodzicielek), choć nieumiejące mówić, zachowuje zdolność do organizowania się w prymitywne hordy.

Istnieje wszelako grupa „dzieci” mających wysoką inteligencję i potrafiących zachowywać się jak zwykli ludzie, aczkolwiek w momentach odczuwania apetytu ujawniają swą prawdziwą, drapieżną naturę. Dzieci te trzymane są w wojskowej bazie jako materiał do eksperymentów służących planowanemu wyprodukowaniu szczepionki.

Badania obejmują też nauczanie. Ich nauczycielką jest Helen, główną bohaterką – sympatyczną i zdolną uczennicą zombi, Melanie, na której życie z kolei czyha doktor Caldwell. Potrzebuje do badań mózgu i rdzenia kręgowego Melanie.

Po „zdobyciu” bazy przez zombie Helen, Melanie, Coldwell i paru żołnierzy wędrują po ogarniętym przez epidemię kraju, przeżywając przygody typowe dla filmów w tym gatunku. Osobliwy jest ten fakt że z niebezpieczeństw ratuje ludzi Melanie, występując

nawet przeciw swojemu gatunkowi – dzikim „dzieciom”. Gdy jednak w pewnym momencie Coldwell proponuje Melanie świadome poświęcenie się dla ludzkości, Melanie pyta ją, czy może już być uznana za człowieka, a gdy uzyskuje potwierdzenie – odmawia: „Dlaczego mamy za was umierać. Po prostu Ziemia już nie jest wasza” i skutecznie się broni. W zakończeniu ostatni ocalały na Ziemi człowiek – Helen – uczy ocalałe „dzieci”. Mimo więc fizycznej śmierci ludzkości – ludzka kultura przetrwa.

Rozpatrywana z punktu widzenia interesującej nas problematyki fabuła filmu, jak i w przypadku poprzedniego obrazu wskazuje na następujące wyznaczniki człowieczeństwa:

1) Pamięć – w tym wypadku społeczną, kulturową, bo przecież naukę szkolną można uważać za przekazywanie zawartości tej pamięci.

2) Miłość – bo tworzące się pomiędzy Melanią i jej nauczycielką uczucie fascynacji i przywiązania można uznać za rodzaj miłości.

Natomiast wspomniana odmowa „poświęcenia się” jest aktem samoświadomości i wolnej woli, ale ofiarą nie jest na pewno. Moim zdaniem bohaterka jednak taką poniosła (a w każdym razie gotowa była ją ponieść dla dobra innych ludzi) wcześniej, kiedy – mając do dyspozycji tylko gołe ręce – zdecydowała się na walkę z przywódcą dzikich dzieci, chłopcem wyższym, silniejszym i uzbrojonym w kij bejsbolowy.

Jak czytelnik tego szkicu zapewne się już domyslił, za film o zombie najwyraźniej i najpełniej formułujący myśl o istocie człowieczeństwa uważam obraz japoński, od omówienia którego rozpocząłem ten artykuł. W tym miejscu przypomnę jego fabułę: Do zamożnego domu doktora Teramoto, jego żony Shizuko i kilkuletniego synka Keneschi trafia, jako podarek, młoda kobieta – zombi. Początkowo całkiem bezmyślnie czyści taras willi, otrzymując w zamian jedzenie. Wierciorami udaje się do miejsca, zamieszkania, obrzucana kamieniami przez dzieci i kaleczona przez miejscową chuliganerię. Pracujący w domu Teramoto robotnicy, gwałcąc ją; pozytywne zainteresowanie wykazują tylko

Shizuko i Keneschi. Do przełomu dochodzi w momencie, gdy dziecko przez przypadek ginie – i matka zmusza „służącą” do ugryzienia chłopca i ożywienia go jako zombi.

Równocześnie martwy i żywy Keneschi, ignorując matkę, przywiązuje się do miss Zombie, która ze swojej strony dba o niego jak może, karmiąc go ludzką krwią. W dodatku gospodarz zaczyna się nią erotycznie fascynować. Shizuko nie wytrzymuje, doznaje ataku agresji (to właśnie ona zacznie zachowywać się jak zombi) i w rezultacie zabija męża i robotników. A oba zombie uciekają przez nią w panice – miss Zombie, biegnąc, trzyma chłopca za rękę – traktuje go jak swojego syna.

Uciekając, młoda zombie przypomina sobie, jak po zarażeniu straciła dziecko i rekonstruuje w pamięci ostatecznie ciąg wypadków, który doprowadził ją do domu Teramoto. Od tego momentu działa i myśli jak człowiek – rozpoczynają się kolorowe kadry. Rozwiązanie akcji jest następujące: bohaterka zombie potyka się i pada, Schizuko chce ją zastrzelić z pistoletu, ale rezygnuje dostrzegając, że Keneschi stara się ją ocalić. Nie mogąc tego znieść – zabija się. Keneschi chce „ożywić” matkę ugryzieniem, ale nie daje rady – dokonuje tego miss Zombie. Keneschi przytula się do ożywionej matki – na ten widok bohaterka filmu przejmuje pistolet i strzela sobie w głowę, unicestwiając się. Przyczyn tego czynu film nie wskazuje, ale można przyjąć, że to ofiara złożona dla dobra Shizuko i Keneshi, albo akt prawdziwie ludzkiej rozpaczki po kolejnej stracie dziecka – tym razem „przybranego” [27].

Podsumujemy: w świetle tego i innych filmów jakie warunki powinny być spełnione, aby ożywiony trup, wiecznie głodny kanibal, drapieżny zombi, znów stał się prawdziwym człowiekiem.

Umiejętności intelektualne, logiczne myślenie nie kreują człowieczeństwa – bywają filmy, gdzie zombi myślą i są sprytnie („Duma i uprzedzenie, i zombie”; Powrót żywych trupów, Smentarz dla zwierzaków), używają narzędzi („Noc żywych trupów”), nawet mówią („Duma i uprzedzenie i zombie”, „Drugie życie Beth”, „Smentarz dla zwierzaków”), ale nie przestają być sobą.

Odczuwanie emocji także nie wystarczy. Zombie mogą nie tylko odczuwać niepokój, dawać

upust agresji, ale nawet nawet odczuwać popęd seksualny („Burying The Ex”, „Drugie życie Beth”, „Smentarz dla zwierzaków II”). Skłonność do nawiązywania związków społecznych także – jak już wspomnieliśmy – nie jest im obca. Co więcej: zombie mogą w ograniczonym stopniu przejawiać wolę, najczęściej złą, polegającą na dążeniu do zaspokojenia morderczych lub innych, równie złych ambicji („Smentarz dla zwierzaków II”). Pamięć o przeszłości, bez której nie można być konkretną osobą także nie wszystkim zombie jest odebrana.

Natomiast jakie w świetle omówionych czterech filmów możliwości bohatera-zombie wracają mu jego człowieczeństwo? Warunki konieczne są dwa:

1) Miłość – ale ta czysta, jak matki do dziecka (wszelki aspekt cielesny uczucia w kontekście zombi staje się przerażający, śmieszny lub obrzydliwy) [28].

2) Wyrzeczenie się egoizmu i gotowość do złożenia altruistycznej, dobrowolnej ofiary dla dobra innych.

Okazuje się więc, że podstawowe prawdy europejskiej, chrześcijańskiej kultury głośić można nawet za pomocą filmów o zombie [29].

PRZYPISY

[1] Czary pobudzają go do życia w filmowej klasyce gatunku (np. „Białe zombi”), w późniejszych produkcjach przyczyną może być albo ugryzienie działającego zombie („iZombie”), albo promieniowanie („Noc żywych trupów”), wirus („Contracted”), grzybek („Wszechstronna dziewczyna”), pasożyty („Kingdom”), zatrucie chemiczne („Powrót żywych trupów”), lub po prostu siła nieczysta („Burying The Ex”, „Smentarz dla zwierzaków”).

[2] Lata 1932-1967 to okres klasyczny filmów o zombie, dobrze opracowany (Rzadkowski 2021, s. 11-56; Has-Tokarz 2010, s. 309; Plesnar 2011, s. 110; Marcela 2015, s. 109-114). Ta tradycja była jednak kontynuowana przynajmniej do końca lat osiemdziesiątych („Wąż i Tęcza”).

[3] Choć niekiedy po prostu praktykuje zło („Smentarz dla zwierzaków”, „Smentarz dla zwierzaków II” wg. prozy Stevena Kinga). Te i im podobne filmy – i stojąca u ich podstaw proza stanowi pewne połączenie tematu zombie z ujęciami charakterystycznymi dla filmów

o opętaniu przez diabła lub demony.

[4] Zdaniem Pawła Ścigaja historia „szybkiej” odmiany filmów o zombi być może zaczyna się od tych tytułów (Ścigaj 2020, s.165-166).

[5] Np. „Kingdom”, „Zombie express”. Szybkość przemiany w zombie, pomysłowość i sprawność w walce, dynamika ruchów naprawdę urozmaicają akcję filmu i budują napięcie.

[6] Np. w „I zombie” bohaterka na co dzień przypomina bardzo bladą dziewczynę, a swoją naturę, jak wampir, zdradza tylko w określonych wypadkach. W zasadzie różnica między nią a wampirzycą jest ta tylko, że nie potrzebuje ludzkiej krwi a ludzkiego mózgu. Z kolei wampiry z „Plagi wampirów” mają niski stopień inteligencji, potworny wygląd, są skłonne do wpadania w szal i szybko się mnożą. Przypominają więc zombie.

[7] Podaję po jednym przykładzie, czasem po dwa, ale naprawdę można je liczyć w dziesiątkach.

[8] Akcja co prawda nie toczy się podczas wojny, ale bohaterowie walczą z jej pozostałościami – zombie w mundurach.

[9] Bohaterowie nie są co prawda uwięzieni na bezludnych wyspach, ale w swoich mieszkaniach, a wokół – przynajmniej do pewnego momentu - tylko zombie.

[10] Por. „Historia kultury zombie to historia monstrum, które rozpoczęło swój żywot na rubieżach systemu kinowego i stopniowo przeniosło się do centrum doświadczenia medialnego, zarówno w sferze twórczości korporacyjnej, jak i niezależnej. Zombie jest również alegorią, coraz częściej wykorzystywaną do przedstawienia sprzeczności nawiedzających współczesną kulturę popularną. Według Kyle Bishop: „[zombie] to »maszyna znacząca«, która stała się »alegorią chwili«, wchłoniętą nie tylko przez przemysł rozrywkowy, lecz także przez dyscypliny akademickie i zawodowe poza filmem i kulturoznawstwem, jako istotny element dociekań i badań krytycznych. W ciągu ostatnich trzydziestu lat wzrosło zainteresowanie różnych dziedzin nauki postaciami zombie. Z potworów przeistoczyły się one w matryce kulturowe za pomocą których dyskurs filozofii czny, debaty na temat świadomości, pamięci, życia, śmierci mózgowej, faux

morts oraz modeli matematycznych do badania pandemii zbiegają się z analizą problemów społecznych, politycznych, kulturowych, rasowych i technologicznych.” (Lino 2019, s. 39-40).

[11] Patrz Bomba 2018, s. 201; Marcela 2015 s. 111

[12] Patrz Bomba 2018, s. 202; Marcela 2015 s. 105-106

[13] Patrz Bomba 2018, s. 204; Marcela 2015 s. 114-115

[14] Film ten często jest przywoływany jako przykład metafory konsumpcjonizmu (Lesiak, Syska 2015s. 936; Has-Tokarz 2010, s. 310; Marcela 2015, s. 141). O „I Am a Hero” wspomina się rzadko, choć ma ciekawe satyryczne pomysły: np. w jednej ze scen kobieta-zombie usiłuje się dostać do galerii handlowej mamrocząc: „Muszę mieć te buty”. Zombie powtarzają bowiem ostatnie słowa i zachowania przed śmiercią.

[15] Por. Marcela 2015, s. 141; Bomba 2018, s. 205.

[16] Por. Afeltowicz, Wróblewski 2018.

[17] Szczególnie wymowne są w tym filmie nawiązania do epidemii AIDS.

[18] Patrz Bomba 2018, s. 206; Marcela 2015 s. 123-124

[19] Olkusz 2017, s. 298-302

[20] Motyw zombie da się interpretować także z punktu widzenia Freudowskiej teorii tłumienia popędów (Marcela 2016, s. 301)

[21] W różnych filmach pojawiają się różne rozwiązania. Zombi mogą być tylko niebezpieczne i zwierzęce, ale też mogą przejawiać spryt i umiejętności niezbędne podczas łowów, a nawet pełną inteligencję, Natomiast (w każdym razie odkąd zaczęły pożądać ludzkiego mięsa) amoralne są w każdym przypadku, chyba że umieją swój apetyt tłumić.

[22] W zasadzie w każdym od 1968 roku filmie o zombie upadek moralny następuje – wyrazistym jego przejawem jest np. mordowanie ukochanych czy członków rodziny (np. „Noc żywych trupów”, „Powrót żywych trupów”, „Smentarz dla zwierzaków”, „Smentarz dla zwierzaków II”. Z drugiej strony, jeśli żywy trup się od tego powstrzymuje („Powrót żywych trupów 3”) lub też stara się temu przeciwdziałać („Dzień zmarłych”) jest to widoczną oznaką tego, że coś ludzkiego jeszcze się w nim kołacze. Ale proces odczłowieczania nieczęsto staje się przedmiotem długiej, poważnej analizy.

[23] Istnieją też całkowicie komediowe ujęcia motywu, np. „Burying The Ex”.

[24] Nie jest mi znany film pokazujący rozwinięte, cywilizowane społeczeństwo, w skład którego na równych prawach wchodzi zombie. Podobne społeczeństwo wymyślił jednak Terry Pratchett w „Świecie Dysku”. Por. Gemra 2019, s. 217-219.

[25] Podobnie bohaterka „I zombie”, dlatego może prowadzić udane śledztwa, gdyż po zjedzeniu mózgo ofiary przejmuje jej wspomnienia, talenty i umiejętności (np. językowe).

[26] Szczegółowy katalog aluzji, patrz Koryciński 2016, s. 92.

[27] W tym wypadku aktem wyrzeczenia się egoizmu i poniesienia ofiary byłoby „ożywienie” matki Keneshi. Gdyby tego nie zrobiła dziecko-zombi co prawda by cierpiało, ale tylko ona by się nim opiekowała.

[28] Rzecz jasna w świetle omówionych tu filmów – możliwe jednak, że gdzieś pojawił się motyw seksu z zombie pozbawiony obrzydliwości, choć trudno mi sobie takie rozwiązanie wyobrazić.

[29] Świadomie nie mówię o kształtowaniu się jakiegoś nowego podgatunku. Właściwe powstanie gatunku „filmów o zombie” – bardzo szeroko rozumianego, takiego, w którym obecność ludożerczego „żywego trupa” jest głównym, a może i jedynym gatunkowym wyznacznikiem, miało miejsce w 1968 roku. A. Bielańska wspomina za D. Głównią o licznych sequelach „Nocy żywych trupów”, które „były sequelami wyłącznie z tytułu – filmy o zombie z oryginałem łączyło tylko to, że były... filmami o zombie” (Bielańska 2015, s. 527). Właśnie tak w kulturze popularnej rodzą się podgatunki i gatunki. Natomiast wcześniejsze produkcje, te spod znaku *voo-doo*, skłonny jestem za G. Łęcickim uważać za jedną z odmian podgatunku horrorów „odwołujących się do rozmaitych wierzeń, kultów i religii” (Łęcicki 2021, s. 24). Teraz, a konkretnie gdzieś od 2010 roku trwa kolejny etap powolnej ewolucji, która być może zrewolucjonizuje postromerowski gatunek filmów o zombie, ale na razie za wcześnie o tym przesądzać.

Artykuł opublikowano pierwotnie w książce: M. Butkiewicz (red.), *Film jako emanacja piękna*, Warszawa 2022., s. 125-139.

BIBLIOGRAFIA

Afeltowicz Ł., Wróblewski M., **Epidemie, nowocześnieść i apokalipsa zombie**, „Kultura Współczesna” 2018, nr 2, s. 89-100

Bielańska A., **Spadkobiercy neorealizmu i włoskie kino gatunków**, w: T. Lubelski, I. Sowińska, R. Syska, Historia kina, t. 3, Kino epoki nowofalowej, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2015, s. 477-534

Bomba R., **Figura zombi jako uosobienie krytyki kultury**, „Kultura i Historia” nr 33 / 2018, s. 200-207

Gemra A., „**Spojrzyć z innej perspektywy**”. „Świat dysku” Terryego Pratchetta i wybrane problemy współczesności, Oficyna Wydawnicza „Atut”, Wrocław 2019

Has-Tokarz A., **Horror w literaturze współczesnej i filmie**, Wydawnictwo Uniwersytetu Marie Curie-Skłodowskiej, Lublin 2010

Koryciński M., **Romeo! Czemuż ty jesteś zombie! O filmie „Wiecznie żywy” Jonathana Levine’a**, w: K. Olkusz, **Zombie w kulturze**, Ośrodek Badawczy Facta Ficta, Kraków 2016, s. 87-96

Lesiak M., Syska R., **Renesans hollywoodu: kino amerykańskie lat siedemdziesiątych**, w: T. Lubelski, I. Sowińska, R. Syska, Historia kina t. 3, Kino epoki nowofalowej, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2015, s. 883-967

Lino M., **Opowiadanie przestrzenne w transedialnym świecie „The walking Dead”** (przełożył F. Cieślak), „Tekstualia” 2019, nr. 3, s. 35-54

Łęcicki G., **Filmowe sposoby budzenia i wyrażania emocji na przykładzie kina grozy**, w: M. Butkiewicz (red.), **Film jako przekaz emocjonalny**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa 2021, s. 11-54

Marcela M., **Monstruarium nowoczesne**, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2015

Marcela M., **Kultura (jako źródło cierpień) zombie**, w: K. Olkusz (red.), **Światy grozy**, Ośrodek Badawczy Facta Ficta, Kraków 2016, s. 295-306

Nowicki A., **Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową**, portal „My name is death”, 20.06.2014; <https://hisnameisdeath.wordpress.com/2014/06/20/zycie-jako-smiertelna-choroba-przenoszona-droga-plciowa/>; dostęp 17.03.2022

Olkusz K., **Etiologia martwej obcości. O chodzących zwłokach, przywróconych do życia i powróconych w narracjach serialowych (przeгляд)**, w: J. Hańderek, N. Kućma (red.), Wykluczenia, Ośrodek Badawczy Facta Ficta, Kraków 2017, s. 287-308

Olkusz K., **Narracje zombiecentryczne. Literatura – Teoria – Antropologia**, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2019,

Plesnar Ł. A., **Hollywood pod znakiem Wielkiego Kryzysu**, w: T. Lubelski, I. Sowińska, R. Syska, Historia kina t. 2, Kino klasyczne, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2011, s. 73-134

Rzadkowski Ł., **Leksykon żywej śmierci, T. I 1932-2000**, Wydawnictwo IX, Kraków 2021

Ścigaj P., **Zombie jako wyzwanie dla refleksji teoriopolitycznej i dydaktyki nauk politycznych**, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Politologica” 25 (2020), s. 163-182

Walc K.: **Zombie (zombi), żywy trup** (w:) T. Żabski (red.), Słownik literatury popularnej, Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1997, s. 458-459



FILMOGRAFIA

28 dni później (28 Days Later – Wielka Brytania), reż. D. Boyle, 2002

Alone (Alone - USA), reż. J. Martin, 2020

Białe zombie (White Zombie - USA), reż. Victor Halperin, 1932

Burying The Ex (Burying The Ex - USA), reż. J. Dante, 2014

Contracted (Contracted - USA), reż. E. England, 2013

Contracted: Phase II (Contracted: Phase II - USA), reż. J. Forbes, 2015

Cowboy Zombies (Cowboy Zombies - USA), reż. P. Winters, 2016

Dzień zmarłych (Day of the Dead - Kanada), reż. S. Konstansky, 2021 (serial TV)

Krew na piasku (It Stains the Sands Red – Kanada/USA), reż. C. Minihan, 2016

Duma i uprzedzenie i zombie (Pride and Prejudice and Zombies - USA/Wielka Brytania), reż. Burr Steers, 2016

Drugie życie Beth (Life After Beth - USA), reż. J. Baena, 2014

Fido (Fido - Kanada), reż. A. Currie, 2006

I Am a Hero (Ai Amu a Hiirou - Japonia), reż. Shinsuke Sato, 2015

Inwazja porywaczy ciał (Invasion of the Body Snatchers - USA), reż. Don Siegel, 1956

iZombie (I Zombie), reż. M. Fields, J. Bloom i inni, sezon 1 2015, sezon 2, 2015-2016, sezon 3 – 2017 (także 4 – 2018 i 5 – 2019)

Kingdom (King-deom - Korea Południowa), reż. Kim Seong-hun, sezon 1 2018, sezon 2, 2020

Kingdom: Ashin of the North (Kingdom: Ashin of the North - Korea Południowa), reż. Kim Seong-hun, 2021

Martwica mózgu (Braindead – Nowa Zelandia), reż. P. Jackson, 1992

Miss Zombie (Misu zonbi - Japonia), reż. Sabu (Tanaka Hiroyuki), 2013

Noc żywych trupów (Night of the Living Dead), reż. G. A. Romero, 1968

Noc żywych trupów (Night of the Living Dead), reż. T. Savini, 1990

Powrót żywych trupów (Return of the Living Dead – USA), reż. Dan O'Bannon, 1985

Powrót żywych trupów 3 (Return of the Living Dead III - Japonia / USA), reż. B. Yuzna, 1993

Plaga Wampirów (Stake Land - USA), reż. J. Mickle, 2010

Plan 9 z kosmosu (Plan 9 from Outer Space - USA), reż. Edward D. Wood Jr, 1959

Resident Evil: Domena zła (Resident Evil - Francja/Niemcy/USA/Wielka Brytania), reż. P. W.S. Anderson, 2002

Revolt of the Zombies (Revolt of the Zombies - USA), reż. Victor Halperin, 1936

Smentarz dla zwierzaków (Pet semantary - USA), reż. M. Lambert, 1989

Smentarz dla zwierzaków (Pet semantary - Kanada/USA), reż. K. Kolsh, D. Widmyer, 2019

Smentarz dla zwierzaków II (Pet semantary II - USA) reż. M. Lambert, 1992

Świt żywych trupów (Dawn of the Dead - USA/Włochy), reż. G. A. Romero, 1978

Świt żywych trupów (Dawn of the Dead - Francja/Japonia/Kanada/USA), reż. Z. Snyder, 2004

Wąż i Tęcza (The Serpent and the Rainbow - USA), reż W. Craven, 1988

Wędrowałam z zombie (I Walked with Zombie - USA), reż. Jacques Tourneur, 1943

World War Z (World War Z - USA), reż. M. Forster, 2013

Wszechstronna dziewczyna (The Girl with All the Gifts - USA / Wielka Brytania), reż C. McCarthy, 2016

Wysp żywych trupów (Shaun of the Dead - Francja/Wielka Brytania), reż. E. Wright, 2004

Ze śmiercią jej do twarzy (Death Becomes Her - USA), reż. Robert Zemeckis, 1992

Ziemia żywych trupów (Land of the Dead / George A. Romero's Land of the Dead - Kanada/FrancjaUSA), reż. G. A. Romero, 2005

Z Nation (Z Nation - USA), twórcy: K. Schaefer, C. Engler reż. J. Hyams, R. L. Goldenberg, D. Merchant i in. 5 sezonów 2014, 2015, 2016, 2017, 2018 (serial TV)

Zombie express/Ostatni pociąg (Boo-san-haeng - Korea Południowa), reż. Yeon Sang-ho, 2016

Zombie SS (Død snø - Norwegia), reż. Tommy Wirkola, 2009

Zombieboby (Zombeavers - USA), reż. Jordan Rubin, 2014

Żywe trupy (The Walking Dead - USA), reż. G. Nicotero, M. E. Satrazemis, D. Boyd i in., 2010-2022 (11 sezonów)

INFO O AUTORACH

(A)nonim – brak info.

Browarski S.M. Piotr - niczym AS polskiej literatury, Andrzej Sapkowski, on również jest absolwentem ekonomii, jednak odkąd pamięta jego prawdziwą pasją było pisanie szeroko rozumianej fantastyki. Przez często bardzo krytyczne podejście do tematu, niechętnie wyciąga swoje dzieła z szuflady, ale plotka głosi, że jest na zaawansowanym etapie prac nad debiutancką powieścią, rozpoczynającą zaplanowany na siedem tomów cykl. Lubi bawić się konwencją, nie ograniczając się jedynie do jednego, konkretnego gatunku, chociaż jak sam przyznaje tajemnicza, niezrozumiała mistyka (a'la magia Tolkiena czy Martina) i wymachiwanie mieczem w ramach klasycznej high fantasy od zawsze najbardziej go pociągały. Ma za sobą również przygodę ze studiami filozoficznymi, które (nad czym ubolewa po dziś dzień) musiał przerwać ze względu na przebrzydłe, dorosłe życie i związany z nim grafik w pracy. Obecnie mieszkaniec Irlandii z utęsknieniem wyglądający powrotu do Polski.

Burzyński Piotr – zawodnik Liceum Plastycznego im. Stanisława Wyspiańskiego w Jarosławiu i Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego na specjalizacji grafika/linoryt w pracowni prof. Tadeusza Nuckowskiego. Zajmuje się ilustracją, komiksem, malarstwem i grafiką warsztatową. Aktualnie inspiracji szuka w „Śnieniu” Gaimana, w szerokich horyzontach J.H.Williamsa III, w ścianie dźwięku Jóhannssona i w ciszy na księżycu LV-426. Publikował m. in. w magazynie kulturalnym „Projektor”, w trybnie poświęconej kulturze i sztuce „Stoner Polski”, magazynie krytyki komiksowej „Zeszyty Komiksowe”, w trybnie społeczno-kulturalnej „Gniazdo Szeptunów”, magazynie

Asocjacji Komiksu w Toruniu „AKT”, kwartalniku literackim „Strona Czynna”, magazynie literackim „Malkontenty”, w zinach komiksowych Cemęt i Darmozin oraz antologiach komiksowych „Legendy”, „Kto szepcze w ciemności” i „Pandemia 2020”. Z żoną Renatą, która również jest plastykiem, prowadzi stronę na facebooku pod nazwą Świetlik Burzyński.

Fleischmann Talal – brak info.

Flont Mateusz - dziennikarz i prasoznawca; kataloguje, archiwizuje i digitalizuje zbiory inicjatywy www.zinelibrary.pl., publikował m.in. w „Chaos w Mojej Głowie”, „Lampie”, „Innym Świecie”, „Alercie”, a także w „Nowościach Toruńskich”, „Gazecie Olsztyńskiej” i „Magazynie Perkusista”.

Henzel Jarosław – pracuję jako magazynier, jestem szczęśliwym mężem i ojcem. Uwielbiam literaturę grozy. Za największego twórcę tego gatunku uważam S. Kinga i G. Mastertona. Ostatnio odkryłem Edwarda Lee. Jestem też wielkim fanem cięższych brzmień, które ze względu na domowników, muszę ograniczyć do minimum. Podczas pisania słucham Marilyn Mansona. Muzyka daje mi natchnienie i odskocznnię od codzienności. Moje hobby to sprzęt audio z lat 80/90. Zbieram kasety magnetofonowe i video.

Kajtoch Wojciech – literaturoznawca i językoznawca, badacz języka zinów, szczególnie subkultury metalowców; autor wielu książek, m.in. „Bracia Strugaccy (zarys twórczości)” [1993], „Świat prasy alternatywnej w zwierciadle jej słownictwa” [1999], „Językowe obrazy świata i człowieka w prasie młodzieżowej i alternatywnej” [2008], „Szkice o fantastyce” [2015], „Szkice językoznawczo-prasoznawcze” [2016];

w latach 2012–2018 pełnił funkcję redaktora naczelnego „Zeszytów Prasoznawczych”; pracował w Instytucie Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego (Zakład Ośrodek Badań Prasoznawczych).

Kalisiak Hihi – urodzony w Gorzowie Wielkopolskim w 1996 roku. Studiował projektowanie komunikacji na Uniwersytecie Wrocławskim w latach 2015–2020. W 2021 roku ukończył kurs fotografii profesjonalnej autorską metodą Krzysztofa Solarewicza i Filipa Zawady w Ośrodku Postaw Twórczych we Wrocławiu. W latach 2020-2021 fotografował wydarzenia dla portalu dlaStudenta.pl oraz był edytorem magazynów wydawanych przez Stowarzyszenie Novum. Od 2022 jest fotografem biura poselskiego Agnieszki Dziemianowicz-Bąk. Jego zdjęcia w 2022 wystawiane były we Wrocławiu i w Gorzowie Wielkopolskim, a w 2023 w Poznaniu i w Szczecinie.

Krajewski „Mundek” Edmund – kończę liceum i coś tam potem zrobię, ale utożsamiam się z dmuchawcem co tak lata sobie wszędzie i jest niezdecydowany. Lubię bardzo muzę, młodą i dziwną najbardziej. Ludzie z Poznania mogą mnie kojarzyć jako tego co najwięcej tańczy na koncertach. A także interesują mnie komiksy i ziny. Organizuję z koleżankami poznań zinfest (zapraszam!). Szukam ciągle nowych sposobów tworzenia, od rysowania, przez śpiewanie, aż do gotowania. A moje ulubione tematy twórcze to: słowa, humor, sprawy społeczne, codzienność, alienacja, tożsamość.

Kuźnicka Szawi – mam na imię Szawi i chodzę do trzeciej klasy liceum na profilu humanistycznym. Piszę odkąd byłam absolutnie mała ale tak poważniej odkąd

miałam 14 lat. Bardzo to lubię i chciałabym pisać zawodowo w przyszłości. Z radością tworzę też rysunki do swoich prac. Gram na gitarze, często maluję i uwielbiam kwiaty, szczególnie te niebieskie i fioletowe. Z przyjemnością czytam innym na głos, lubię jeździć na rolkach i tańczyć. Moja ulubiona książka to „Cień wiatru” Zafóna. Bardzo chciałabym kiedyś mieszkać gdzieś blisko lasu, żeby móc często przytulać drzewa, słuchać ich szumu i turlać się po trawie z pagórków zbierając przy tym pyłki kwiatów na całe ubranie. Mam dużo marzeń, ale większość z nich jest dosyć prywatna, za to mogę napisać, że bardzo chciałabym kiedyś pójść na basen.

Lipka P. Michał – miłośnik literatury, filmu i komiksów - horrorów w szczególności. Autor książek „Księga Twardowskiego”, „Szafran”, „Polski ‘Produkt’ Komiksowy”, „Men’s True Akcja”, „Impregnant” i „W pełni Miesiączek”. Scenarzysta i rysownik komiksowy („Darmozin”, „Krwawnik 2”), publicysta – głównie w dziedzinie popkultury, komiksów, mangi i anime – i recenzent współpracujący do tej pory z najróżniejszymi portalami, jak Nerdhaim, Kostnica, Dzika Banda, Sztukater, Planeta Marvel czy Gotham w deszczu. Publikował także w „Grabarzu Polskim”, „Szortalu na wynos”, „Magazynie histeria” „Silmaris”, „Mangamix Neo”, „Kawaii”, „Bramach grozy” i „Fabularie”. Ostatnio znalazł się wśród laureatów ogólnopolskiego konkursu „Południowe Podlasie w innym wymiarze”.

Łabędzki Jacek – Nazywam się Jacek Łabędzki. Jestem z Pieńska. Pracuję, jako pracownik fizyczny. Nie mam żony, ani dzieci mam psa. . Moim głównym hobby w przeszłości, było zakładanie ulotnych, średnio-udanych, lokalnych zespołów ogólnie mówiąc punkowo - rockowych. Moje pisanie, ma początek w tworzeniu tekstów do tychże

kapel. A od około trzech lat, swoje teksty (wiersze?) wrzucam do sieci na różne strony poetyckie. Moje wypociny, pojawiły się też w dwóch charytatywnych antologiach Peronu Literackiego, oraz w jednym numerze Bezkresu. Swoją twórczość określiłbym jako połączenie prowincjonalnego mędrkowania z post-pijackim smutkiem. Kierunek dalszej mojej drogi, jest nieznany.

Oszust Mateusz – urodziłem się w Chełmie, mieszkam w Poznaniu, a pracuje w Środzie Wielkopolskiej. Jestem nauczycielem biologii i hobbystycznie próbuje swoich sił z pisaniem. Moim debiutem (i zarazem jedyną opublikowaną na papierze historią) jest opowiadanie „Oko za oko”, które pojawiło się w drugim numerze Imaginarium Wielkopolskim. Moją pasją jest biologia, gry fabularne oraz historia.

Pietrzyk „Canulas” Rafał – przygodę z pisaniem zacząłem około 2008r. Przez pierwsze lata koślawe makabreski upychałem w szufladzie. Spróbowałem szczęścia na kilku portalach literackich portalach, pod czujnym okiem lepszych, szlifując warsztat i nabywając nieco oglądy odbiorczej. Moje teksty ukazywały się m.in. w Wydawnictwie Proza Współczesna, Białym Kruku, Histerii, Antologii horroru — Obscura 2 oraz Snach Umarłych — rocznik 2022. Jestem również współwydawcą czteroczęściowej antologii (TW) Trening Wyobraźni, gdzie wspólnie z grupą przyjaciół przymierzamy się do wydania kolejnych tomów oraz autorem książki 500 mil do domu. Za swoje największe osiągnięcie uważam zaistnienie na łamach magazynu Twórczość, gdzie trafiłem jako współautor ciepło przyjętego opowiadania: Pocztówki z Ochrydy. Zainteresowania pozaliterackie ciężko jednoznacznie sprecyzować, ale na czoło peletonu wysuwają się na pewno sport i militaria.

Przybysz Agnieszka - ilustratorka „Spaghetti Komiksu” z antologii „Darmozin” i współautorka wspólnie z Michałem Lipką) opowiadania „Słoneczko” wyróżnionego w konkursie „Mordercy – Horror w 100 słowach” wydawnictwa Gmork. Jej grafiki pojawiły się też w antologii „Krwawnik 2” czy „Mangamixie Neo”. Również współautorka publicystyki poświęconej mandze i anime publikowanej w magazynie „Kawaii”.

Rymarczyk Piotr (ur. 1970) – doktor socjologii, czasem wykładowca, czasami tłumacz, ale ogólnie rzecz biorąc lumpenintelektualista. Pisać, w znaczeniu tworzenia form fikcji literackiej, zaczął późno. Publikował incydentalnie (jedno opowiadanie w „Nowej Fantastyce”, dwa w „Bez Dogmatu”). Celem, do którego zmierza, jest reanimacja surrealizmu poprzez krzyżowanie go z popularnymi gatunkami literackimi, takimi jak horror, weird czy urban fantasy. Większość jego utworów utrzymana jest w klimacie psychodelicznej – i często pośmiertnej – dystopii. Ceni pisarstwo Volodine’a, wczesnego Pielewina i późnego Burroughsa.

Saczuk Krzysiek – Pochodzę ze Szczecina. Lubię wszystko co dawne i mroczne. Czasem coś napiszę. Ale rzadko.

Sklero Repo aka Entetotentu – raper z Jarosławia. Tworzył takie skałdy jak Strefa JB, T.P.A.Z, współpracował Aspekt, Trzy Dwa, Wahadło i inne. Mor W.A., Fu, AbradAb & Gutek, Pezet Noon, Wychowani na błędach, Don Guralesko, Molesta Ewenement, Fokus, Flexxip i inni. Obecnie trwa praca nad drugą płytą Repo Korzeń oraz projektem Wake up Adina.

Szewczyk Dominik – pisarz fantastyki lubiący się w tematyce grozy i słabości umysłu. Doceniony w konkursach literackich, w tym PFFN, stypendysta ZAIKSU. Tworzy opowiadana, powieści, a także scenariusze do gier i komiksów. Lubi zaskakujące zakończenia i starannie poprowadzoną historię. Jego miniatury występują wraz ze zdjęciami Eweliny w fantastycznonaukowym projekcie Objawienie Apokalipsy.

Szewczyk Ewelina – artystka malarka, ukończyła grafikę w Społecznej Akademii Nauk. Maluje portrety i abstrakcje, choć muza sztuk co chwilę namawia ją na nowe kierunki i motywy. Niekiedy łapie wytchnienie od płótna i siada przed ekranem tabletu. Tworzy ilustracje i animacje. Dziś widzisz komiks, a co zobaczysz jutro? Sprawdź na Instagramie i Facebooku @ewelinaszewczykart. Umiejętności Eweliny czasami występują w duecie z...

Szydłowski Kacper – Studiuję na WSAiB w Gdyni, a sam mieszkam w Gdańsku, jestem aktywny zawodowo. Pasjonuje się sportem (rugby, squash, piłka nożna) oraz literaturą. Spośród pisarzy najwyżej sobie cenie – Franza Kafkę, Brunona Schulza oraz Witolda Gombrowicza. Jestem dumnym lokalnym patriotą, zakochanym po uszy w otaczających mnie zewsząd wąskich ulicach, kolorowych kamienicach, bujnych lasach oraz zimnym i płytkim morzu. Publikowałem dotychczas na łamach kilku czasopism – tych papierowych, jak i internetowych, oprócz tego przed trzema laty został wydany mój zbiór opowiadań.



POCZYTANE

AUDIOBOOKI & SŁUCHOWISKA

ODNAJDŹ GROZĘ NA YT!



**I NIE
TYLKO!**